

1

ANTOLOGIA TEKSTÓW

uczestniczek wyzwania
“Nie mogę, bo piszę”



„Nie mogę, bo piszę”

NR 1

antologia tekstów uczestniczek pierwszej edycji wyzwania
„Nie mogę, bo piszę” (marzec - sierpień 2025)

Oddaję w Twoje ręce pierwszy numer antologii "Nie mogę, bo piszę" z tekstami uczestniczek intensywnego wyzwania pisarskiego trwającego od marca do sierpnia 2025 r.

Jeśli masz ochotę dołączyć do wyzwania i wydać swój tekst w kolejnej antologii zapraszam Cię po szczegóły aleksandramakulska.pl

Miłej Lektury!

Aleks ♥

Autorki:

- | | |
|-------------------------|-------------------------|
| 1. Aleksandra Apostel | 17. Karolina Kulikowska |
| 2. Beata Banaszczyk | 18. Monika Kumosińska |
| 3. Ewa Brzeska | 19. Agnieszka Ładocha |
| 4. Klaudia Chrapko | 20. Agnieszka Malec |
| 5. Eliza Corre | 21. Joanna Michta |
| 6. Beata Drozdowicz | 22. Julia Roguszcza |
| 7. Sylwia Duda | 23. Magdalena Sala |
| 8. Agnieszka Dziedzic | 24. Monika Solaniuk |
| 9. Klaudia Gawor | 25. Sandra Solińska |
| 10. Magdalena Gonçalves | 26. Joanna Szałkowska |
| 11. Justyna Graczyk | 27. Aga Szukuć |
| 12. Michalina Jaruga | 28. Angelika Walkowiak |
| 13. Kamila Kamińska | 29. Monika Wereszczuk |
| 14. Sabina Kasoń | 30. Natalia Wrzesień |
| 15. Kasia Klein | 31. Maja Zduń |
| 16. Magdalena Król | |

Spis Treści

Fikcja	6
Aga Szukuć „Po równo”	7
Agnieszka Dziedzic „Za granicą wzroku”	11
Agnieszka Ładocha „Zaskakujące spotkanie”	14
Agnieszka Malec „Granica”	20
Aleksandra Apostel „Small talk”	23
Angelika Walkowiak „Szach-mat”	25
Beata Banaszczyk „Dzień Radości”	27
Beata Drozdowicz „Sandefjord”	31
Eliza Corre „Woda”	33
Ewa Brzeska „Doroczna Konferencja Rozwoju Kompetencji Miękkich Branż Ezoterycznej”	36
Joanna Michta „Lustro”	39
Joanna Szałkowska „Brak granic a upadek, upadek nową granicą?”	41
Julia Roguszcza „W odbiciu nieba”	44
Justyna Graczyk „Co pokazało lustro Chantal?”	46
Kamila Kamińska „Cerebrum”	49
Karolina Kulikowska „Maevel”	53
Kasia Klein „Po kawałku”	63
Klaudia Chrapko „Granice: Czyli o tym dlaczego warto się wkurwić”	65
Klaudia Gawor „Zapasy na zimę”	68
Magdalena Gonçalves „Krąg zmian”	70
Magdalena Król „Agata Córa Lasu”	73
Magdalena Sala „Przyjaciel?”	82
Maja Zduń „Lustro Matyldy”	85
Michalina Jaruga „Ogień”	90
Monika Kumosińska „Woda”	94
Monika Solaniuk „Pamiętniki z wakacji”	98
Monika Wereszczuk „Supet”	101
Natalia Wrzesień „Oko”	103
Sabina Kason „Przyjaźń i inne korzyści”	113
Sandra Solińska „Mieć czy nie mieć”	119
Sylvia Duda „Lustro”	123

Non-Fiction	132
Co to znaczy "być kobietą" w 2025 r.?	132
Eliza Corre „Mała Kobieta”	133
Monika Kumosińska „Być kobietą”	134
Monika Wereszczuk „Wolność?”	138
Moje wyjątkowe miejsce	141
Agnieszka Dziedzic „Ogród Botaniczny w Krakowie zaprasza na zwiedzanie”	142
Agnieszka Malec „Zakamarki”	151
Ewa Brzeska „Szpiegowo”	154
Klaudia Chrapko „Bieszczadzki ptaj”	158
Sylvia Duda „Moje wyjątkowe miejsce”	163
Co to znaczy być odważną?	167
Aleksandra Apostel „Złote zasady kobiety odważnej”	168
Joanna Szałkowska „Odwaga”	169
Kamila Kamińska „Niech tli się”	171
Karolina Kulikowska „Odwaga”	173
Podróż, która mnie zmieniła.....	174
Joanna Michta „Grecja? Nigdy więcej”	175
Michalina Jaruga „Ne mutlu Türk'üm diyene”	179
Monika Solaniuk „Podróż, które mnie zmieniła”	184
Sabina Kasoń „Każda podróż mnie zmienia”	186
Co oznacza dla Ciebie "bycie pięknym człowiekiem"?	188
Beata Drozdowicz „Odwaga bycia piękną”	189
Magdalena Sala „Bycie pięknym człowiekiem”	190
Historia jednej przyjaźni.....	192
Agnieszka Ładocha „Powiedziałam „TAK”... przyjaźni”	193
Maja Zduń „W drodze”	195

Fikcja

AGA SZUKUĆ

Po równo

Jasia wyteęzała wzrok zza kuchennej firanki, aby sprawdzić, co robi jej nowa sąsiadka Barbara, jednocześnie starając się nie zdradzić swojej pozycji obserwacyjnej. Choć okulista od dawna zalecał jej zakup okularów, nie traktowała tej opcji poważnie, dopóki do domu obok nie wprowadziła się rodzina z Białegostoku. Teraz naprawdę przydałby się sokoli wzrok jej męża, Staśka, ale ten w ogóle nie przejawiał zainteresowania stosunkami sąsiedzkimi i odmawiał współpracy. Jasia wiedziała to już od dawna — na mężczyzn nie ma co liczyć!

Janina nie była wścibska, nigdy w życiu! Nawet jeśli wypytywała sklepową w lokalnym „Wodniku” o to, co kupują inni ludzie z wioski, zawsze kierowała nią wyłącznie troską o odpowiednią dietę i finanse mieszkańców Płociczna. Gdy pytała listonosza o to, kto pobiera renty lub emerytury, robiła to tylko dlatego, aby dowiedzieć się czy ktoś nie ma przypadkiem problemów finansowych (choć Janina w sumie nigdy nikomu nic nie pożyczała. Jej świętej pamięci mamusia zawsze powtarzała, że pożyczanie pieniędzy to zapraszanie biedy do domu. A Jasia nie zamierzała być biedna! Ale przecież wspomóc można i słowem...). Prosto ujmując Janina wykazywała po prostu zdrowe zainteresowanie lokalną społecznością i dobrobytem sąsiadów. To samo tyczyło się rodziny Kopalików, którzy przeprowadzili się na wieś pół roku temu.

Dom po starej Cyprysowej długo stał pusty. Z pewnością nie bez znaczenia był fakt, że Jasia opowiadała potencjalnym kupującym o okolicznościach zgonu poprzedniej właścicielki. Lucyna Cyprys była w momencie żegnania się z życiem dość wiekowa, ale pewnie mogłaby jeszcze pożyć kilka lat, gdyby nie zatruiła się suszonymi grzybami kupionymi na szkolnym bazarku. Nie byłoby jeszcze tak źle, gdyby sąsiadka zmarła w szpitalu, jak robią to porządni ludzie. Jednak Lucyna przytuliła wielkiego żniwiarza na swoim ganku, prawdopodobnie szukając pomocy. Pech chciał, że Janina była wtedy z mężem w Egipcie. I tak stara Cyprysowa wyzionęła ducha sama, bez świadków i tuż przy posesji Jaśki. Zdaniem Janiny takie sytuacje to jeszcze jeden dowód na to, że trzeba interesować się sąsiadami, aby zapobiegać tragediom. Po całej tej akcji z Lucyną tygodniami nikt nie chciał przyjąć zaproszenia do niej na grilla, bo pechowo najlepsze miejsce

na biesiadowanie było w bezpośrednim sąsiedztwie miejsca zgonu. Do tego zaraz po śmierci Cyprysowej ogórki (do tej pory będące chlubą Janiny) w ogóle przestały rosnąć. Jak pech to pech!

Bogatsza w to makabryczne doświadczenie Jasia postanowiła być bardziej uważna w stosunku do nowych sąsiadów. Barbara od początku jej nie pasowała. Płocicznie to porządna wioska, pełna ludzi szanujących tradycję. Ten kod pocztowy do czegoś zobowiązuje, a Barbara nadal myślała, że mieszka w Białymstoku. Kolorowe ubrania, buty, które bardziej pasowałyby do nastolatki niż czterdziestolatki z dwójką dzieci — Janina nie mogła na to patrzeć. Stasiek powiedział parę razy, że nowa sąsiadka to nieźła szprycha, ale na pewno mówił to tylko z grzeczności. Przecież zawsze podobały mu się eleganckie kobiety, takie jak Jasia — z nienachlaną urodą i ponadczasowym stylem.

Niestety, nie tylko wygląd Barbary psuł nastrój sąsiadce. Problemem okazały się też ciasta, które nowa mieszkanka Płociczna zaczęła przynosić regularnie do kościoła, aby częstować nimi księdza Wędzonkę i przybyłych wiernych po porannej mszy. Ludzie niby chętnie brali dokładki sernika i ciasta drożdżowego, ale przecież to wcale nie świadczy o jakości wypieków. Polak nigdy nie odmawia darmowego jedzenia. Janina osobiście była zdania, że takie próby wzbudzenia uwagi i podlizywanie się duchownym było godne pogardy. Ona sama nigdy nie zniżyłaby się do tego poziomu. Oczywiście czasem przynosiła księdzu talerz pierogów z kapustą, ale tylko dlatego, że Wędzonka był wątły, a jego gospodyni nie potrafiła gotować tak dobrze jak Janina. Nie mogła pozwolić, by ten biedak znosił kulinarne męczarnie.

Janinę denerwował też fakt, że tuż po przeprowadzce Barbara dostała posadę w urzędzie gminy. Do takiej pracy należałoby wybrać kogoś z doświadczeniem, kogoś charakteryzującego się troską o lokalną społeczność. I co z tego, że Baśka władała trzema językami, po co komu angielski w Płocicznie? A ten tytuł magistra? Nastąpiła jakaś durna moda na edukację! Jasia też by mogła sobie skończyć studia, ale jako poważna kobieta postawiła na rodzinę. No bo czy ta cała Barbara miała czas zadbać o męża i dzieci, zdobywając te papiery?

A jeśli o mężu mowa — nowy sąsiad Gienek był ewidentnie zaniedbywany przez swoją żonę. Jasia obserwowała go często, gdy bez koszulki (za to z widocznym sześciopakiem) kosił trawę. Pot lał mu się wtedy po nagim torsie, mięśnie ud niemal rozrywały materiał spodni, a rozporek... Nie, nie, nie chodzi o nic zdrożnego. Jasia po prostu za każdym razem boi się, że Gienek kosi trawę tak bez kapelusza, a udary chodzą po ludziach. Ktoś musi być w pogotowiu. Ta cała Baśka pewnie nie wiedziałaaby co robić, gdyby doszło do wypadku, nie to co Janina, która obejrzała wszystkie sezony „Doktora House’a”.

Podsumowując, życie Jasi od momentu pojawienia się nowych sąsiadów stało się mniej przyjemne i wypełnione obowiązkami. Od pół roku spędzała całe dni obserwując,

dopytując, komentując i oceniając, a gdy nocą leżała w łóżku myśli o Barbarze drażniły jej mózg tak jak wykrochmalona kołdra szoruje świeżo ogolone nogi. Chwilami czuła się jak przysłowiowa królewna na ziarnku grochu, z tym, że ziarnko urosło już do rozmiaru kuli armatniej i z każdym dniem uwierało ją coraz bardziej. Janina musiała coś z tym zrobić!

Jasia nigdy nie pozostawała bierna. Gdy myśli o nowej sąsiadce stały się nie do zniesienia, wsiadła na rower i pojechała do Starego Folwarku, aby złożyć wizytę szepetusze. Józefina Paprotka była najbardziej znaną specjalistką duchową w okolicy i jeśli ktoś mógłby rozwiązać palące problemy Janiny, to tylko ona. I tak Jasia wsiadła na rower z koszykiem wypełnionym paczkami papierosów Malboro i dwiema butelkami ginu. Józefina może i wierzyła w magię, ale na pewno nie ufała gotówce, podatkowi i urzędowi skarbowemu!

Gdy Janina dotarła pod chałupę szeptuchy, ta siedziała na ganku, paląc papierosa i pijąc herbatę z prądem. Na powitanie krzyknęła tylko:

– Co, widzę, chyba kogoś zazdrość zżera?!

– Jaka zazdrość, czarodziejko?! Po prostu nie lubię nierówności. Na świecie powinno być po równo.

– A ty przypadkiem nie masz lepiej niż inni?

– Ja? Skąd miałabym to wiedzieć? Nikim się nie interesuje. Skromnie żyję, jak przeciętny Polak. To ta Barbara razi swoim zachowaniem wszystkich mieszkańców Płociczna!

– I co chciałabyś z tym fantem zrobić?

– Dobrodziejko kochana, żeby było po równo.

– Ale czy na pewno tego chcesz? To całe „po równo” może ci się wcale nie spodobać...

– Jestem pewna. Wiem, czego chcę!

I tak obie kobiety dobiły targu. Jasia wróciła do domu lżejsza o dwie butelki i dziecięć paczek fajek, ale wiedziała, że Józefina to sprawdzona firma.

Następnego dnia Jasia wstała wyspana i pozytywnie nastawiona do życia. Przetarła oczy i sięgnęła po komórkę, gdzie czekała na nią wiadomość od sklepowej z Płociczna. Mąż Barbary zostawił ją z dnia na dzień. Takie informacje budzą skuteczniej niż mocna kawa! Józefina zna się na swoim rzemiośle.

Szczęśliwa Jasia pobiegła do łazienki, spojrzała w lustro i oniemiała! Z jej bujnej grzywy nie zostało praktycznie nic. Jej głowa usiana była tysiami plackami. Do tego zauważyła, że brakuje jej co drugiego zęba. Z przerażenia nie była w stanie wydobyć z siebie choćby pisku. Dlaczego wyglądała jak żywy trup?

Postanowiła poszukać Staśka, ale gdy zbiegła na dół, zauważyła, że parter jej domu wygląda jak rozpadająca się rudera. Jej dopiero co wymienione okna były całe

porysowane, a drzwi ledwo trzymały się zawiasów. Na zewnątrz nie było lepiej — ogród zmienił się w pustynię. Z jej pomidorów nie zostało nic. Piękna dynia, którą szykowała na dożynkowy konkurs zmieniła się w kamień. Tragedia! Jej życie zamieniło się w jakiś koszmar!

Gdy zaczęła płakać, na posesję przyszedł listonosz.

— Dzień dobry, Janino. Mam dla ciebie polecony z pracy. Postanowili cię zwolnić. Tu masz dokumenty, podpisz szybko, bo mam dziś dużo pracy.

Jasia była tak zszokowana, że złożyła podpis. Rzuciła kopertę na ziemię i już miała usiąść, aby uniknąć omdlenia. Poczwała nagle, że robi jej się olbrzymi, pulsujący hemoroid. Załamana spojrzała ze smutkiem na swój rower i postanowiła podreptać do Starego Folwarku do szeptuchy, aby wyjaśnić sprawę. Podróż strasznie jej się dłużyła. Hemoroid palił diabelsko. Nie pomógł też fakt, że sąsiedzi spotkani po drodze bezczelnie się z niej śmiali. W życiu nie czuła się tak upokorzona.

Gdy dotarła w końcu do szept uchy, ta kończyła jedną z przywiezionych przez Jasię butelek. Józefina wytarła usta rękawem i warknęła:

— Nie przyjmuję reklamacji.

— Kobieto, ale ja nie o to prosiłam. Miałaś dopieć Baśce, a nie zniszczyć mi życie!

— Poprosiłaś, aby było po równo i jest. Zośka z Sobolewa zazdrościła ci włosów już od czasów podstawówki. Kowalska uważa, że twoja posada od początku należała się jej. Jeleniewscy zawsze marzyli o twoim domu. Twoja siostra nigdy nie mogła pogodzić się z faktem, że całą ciężę męczyły ją hemoroidy, a ty wyszłaś ze swojej bez szwanku.

— Nie przystoi tak zazdrościć — krzyknęła Jasia, którą jednak nieco ucieszyło, że ktoś chciałby mieć to, co ona...

— Skoro tak uważasz... Ja tylko wykonałam usługę.

— A gdybym chciała to jakoś odkręcić?

— Dla stałych klientów mam upust — dziesięć butelek džinu i piętnaście paczek Malboro,

Jasia kiwnęła tylko głową i podreptała do najbliższego Lewiatana.

AGNIESZKA DZIEDZIC

Za granicą wzroku

29.03.2025, sobota, Ogród Botaniczny w Krakowie

Audiodziennik Józefy

Wracam do Ogrodu po napęczniałej pustką zimie.

Zaletą życia pozbawionego zmysłu wzroku jest niewidzenie jawnych oznak upływu czasu. W mojej ciemności nie ma licznika w postaci kolejnego siwego włosa na głowie. Bo siwy w dotyku jest taki sam jak rudawy. Czy inny. Czas linearny pożegnałam razem ze wzrokiem. Teraz żyję w czymś, co zatacza koło. Od mieszającego w głowie zapachu jaśminowców do mieszającego w głowie zapachu jaśminowców. Od chłodnej porcelany płatków tulipanów pod opuszkami palców do podobnego doświadczenia mniej więcej za rok. Od melodyjnie szeleszczącego listowia Fagusa do... Ale właśnie, Fagusie. Co z Tobą? Na zwieńczeniach Twoich palczastych gałęzi cisza. Słyszę tylko odgłos darcia kartek ze starego zeszytu, kiedy ściskam Cię mocniej za Twoje korowate palce. Szukam śladów życia. Próbuję wyczuć buzujące pod zgrubiałą korą soki, które ponaglają uspione dotąd pąki z zaczynem młodych, niczego nieświadomych liści. Skąd to lenistwo, Fagusie?

A może Ty zawsze tak, a to ja chcę przyspieszyć, docisnąć tam, gdzie to niemożliwe. Cała ja. Zawsze za mocno i za bardzo.

Pozostaje mi podziwiać dłońmi Twoją ekstrawagancję i styl nie do podrobienia. Bo któż inny odważyłby się z taką pewnością siebie afszować zeszłoroczną garderobą, kiedy wszyscy dookoła stroją się w świeżą zieleń? A co bardziej niespokojni obsypują bezlistne gałęzie od razu kwieciem. Jak ta Forsythia o jedwabnych, niecierpliwie pchających się pod palce kwiatach. Tak, teraz są dla mnie przede wszystkim jedwabne w dotyku. Ich żółta barwa przechodzi do kategorii abstrakcji. Lub wspomnień.

Ale Ty Fagusie w najlepsze popisujesz się zeschniętymi na wiór liśćmi. Na ile Cię znam, to nie zdziwię się, kiedy któregoś kwietniowego dnia wymacam między tymi zeszłorocznymi suchotnikami rozedrgane życie przebijające się przez pancerze pąków. Czy tak? Czy odgadłam Twój plan?

Tak, wiem, wścibskie to z mojej strony tak rozliczać Cię z pomysłów, a o sobie milczeć w zaparte. Tylko, że od kiedy pożegnałam wiecznie depczący mi po piętach czas linearny to wciąż szkolę się w nawlekaniu własnych spraw na ten nowy, kolisty. I co tu dużo mówić, cholernie mi to nie idzie. Uczę się na nowo, co to znaczy ważne i nieważne. To samo w sobie jest trudne, a trzeba iść jeszcze głębiej: co ważne dla mnie, indywidualnie. Nie dla nauki, nie dla projektu, nawet nie dla wiedzy o Phoenixie. Nie wiem, czy ta odpowiedź Cię zadowoli, ale na ten moment przyjmuję, że ważne jest, żeby tu przychodzić. Do Ciebie. Sama lub z pomocą Wiktorii, jak wczoraj. Studiować znaki alfabetu dotykowego i zbierać siły, żeby znowu iść tam do Niego. Bo z Nim to jakoś tak niewygodnie, ciężko. Jeszcze inny rodzaj dyskomfortu niż przed Wiktoria. Przed Nim czuję wstyd, który płonie nawet w tej ciemności.

1.04.2025, wtorek, mieszkanie przy ul. Batorego, Kraków

Audiodziennik Józefy

Mieszkanie jeszcze śpi. Wiktoria też, słyszę to wyraźnie. Przynajmniej tego zdążyłam się wreszcie nauczyć po tych kilku miesiącach od wypadku.

Mam wrażenie, że znalazłam się po drugiej stronie granicy. I to takiej, o istnieniu której nie miałam pojęcia. Przebiega pomiędzy wzrokiem a ślepotą, a ja przekroczyłam ją nieodwracalnie. I nikt nie wyda mi już paszportu czy nawet jednorazowego pozwolenia, żebym mogła wrócić.

Obiegowa opinia, że kiedy traci się jeden zmysł, to wyostrza się inny jest bujdą. Bzdurą. Nic się samo z siebie nie wyostrza. Całymi godzinami uczę się używać rąk tak, żeby widzieć. Trochę lepiej idzie mi ze słuchem. Na podstawie dźwięku jestem w stanie określić odległość od niektórych przedmiotów lub ludzi. Tylko rzecz w tym, że słuch nie jest zbyt przydatnym narzędziem do badań botanicznych. O wiele cenniejsze są dłonie. Przede mną również nauka reguł panujących w świecie pozbawionym zmysłu wzroku. Po pierwsze: nie obowiązują tu kolory. Zatem opisywanie jakiegokolwiek rośliny z użyciem słów takich jak: "spodnia część liścia przechodzi z ciemnozielonej w szarozieloną", nie ma najmniejszego sensu. W tym świecie kolory nic nie znaczą, nie znaczą bo ich po prostu nie ma. Bo nie da się dotknąć koloru. Albo ja tego jeszcze nie potrafię.

Pamiętam jak pierwszy raz czytałam „Inteligencję kwiatów” Maurice’a Maeterlincka. Czytałam, bo była to ukochana książka Artura. I do dziś zachowałam w pamięci ten fragment o dramacie rośliny – o korzeniach, które ją karmią i zarazem stają się dla niej więzieniem. Więzieniem, bo nigdy nie pozwolą uniezależnić się od ziemi. Stanowią nieprzekraczalną granicę, ale jednocześnie mają niepohamowane zapędy, aby ciągle przesuwać się i rozpychać. Trochę inaczej jest z nadziemnymi częściami roślin, bo te - w zależności

od gatunku - naprawdę na wiele mogą sobie pozwolić. Szczególnie wszystkie te, które z niewiedzy określa się jako chwasty. Mam wrażenie, że wyświechtane powiedzenie o babie i diable powinno raczej brzmieć: gdzie diabeł nie może, tam chwasty pośle.

Przypomniałam sobie teraz, że kiedyś podczas dużego remontu, obejmującego również wymianę chodnika przed Instytutem, administrator budynku, pan Wąsowski, aż puchł z dumy jak teraz będzie czysto i schludnie. Słyszę te jego słowa: czysto i schludnie. Wypowiadane zawsze przyjemnym basem, ale z całą stanowczością. Pamiętam też, jak wpadł w szal i w akcie furii podeptał swój ukochany, włoski kapelusz, który uprzednio rzucił na nowe płytki chodnikowe. Rzucił, bo widocznie nie znalazł lepszego i szybszego sposobu, żeby zakryć bezwstydną kępkę *Galinsoga parviflora*. Ta niepozorna botaniczna kosmopolitka najwyraźniej jednak nie miała pojęcia, że jest elementem szkodliwym dla administratora i skutecznie niweczy sens słów: czysto i schludnie.

Zatrzymałam na chwilę nagrywanie, żeby odsłuchać to, co dotąd zarejestrował dyktafon. Zatrzymałam się. Ciągłe się teraz zatrzymuję. I ciągle nie mogę się temu nadziwić. Przez całe lata w wiecznym pędzie, w żelaznym uścisku terminów, projektów, badań i konferencji. A gdzieś tam pomiędzy, zupełnie jak ta *Galinsoga parviflora*, co wyprowadziła z równowagi pana Wąsowskiego, chwasty życia. Wiktoria, pranie, zakupy. Własną córkę nazwać chwastem — no pięknie, pięknie. Ręka nigdy by tego nie zapisała, bo karzący wzrok moich oczu nigdy by nie przepuścił takiej myśli. Ale cenzura wzroku została po tamtej stronie granicy. W ciemności jestem zdana na język, który mówi więcej niż bym chciała. I dłonie, które mówią mi za mało, bo wciąż posługuję się nimi niezgrabnie.

Wiktoria co jakiś czas podejmuje delikatne próby sondowania. Pyta na przykład, czy dociera do mnie światło? Czy widzę chociaż to? Pewnie potrzebuje tych danych, żeby przekazać je jakimś kolejnym lekarzom, z którymi umawia się na telekonsultację o 3 nad ranem, bo do tego zmusza ją różnica czasu między USA czy Australią. Znam ją i wiem, że europejskie autorytety w dziedzinie okulistyki już przerobiła. Zawsze fascynowała mnie w mojej córce wiara w naukę. Bezgraniczna, ślepa wiara. Ale teraz ta jej cecha przybrała niemal formę dewocji naukowej. Słucham z uwagą, kiedy referuje mi skrupulatnie, że udało się jej nawiązać kontakt z kolejnym wybitnym profesorem. Chwilami odnajduję w tej zapalczywości samą siebie. Już chciałam powiedzieć — widzę w niej siebie. Ale może właśnie dzięki temu, że straciłam wzrok teraz niemal fizycznie czuję ślepotę, która nie pozwala Wiktorii zobaczyć i zaakceptować świata po wypadku. A to naprawdę dosyć proste. Zero-jedynkowe, więc akurat jej analityczny umysł powinien przyswoić to w lot. Matka widziała. Matka nie widzi. Tyle.

Chciałabym, żeby mój język kiedyś opowiedział jej o urządzaniu się w świecie poza granicą wzroku. I choć wiem, jestem tego pewna, że jeszcze nie raz przez ten niewyparzony język będę musiała szczerze przeproszać, to zupełnie nie mogę pojąć dlaczego akurat przed Wiktorią tak trudno mi się odsłonić.

AGNIESZKA ŁADOCHA

Zaskakujące spotkanie

Salon wypełniało morze znajomych twarzy. Widywała je od poniedziałku do piątku w godzinach ósma – szesnasta. Jednych rzadziej, innych częściej, a od kiedy został kierowniczką własnego zespołu, z niektórymi pracownikami nic jej już nie łączyło. Może dzięki temu tak chętnie przychodziła na cokwartalne przyjęcie organizowane przez kierowniczkę działu. Nie zależli jej za skórę na gruncie zawodowym, więc mgła ich oglądać po godzinach pracy.

Oczywiście było kilku nieobecnych. Piotr, który nie pojawił się na ani jednym przyjęciu do tej pory, postanowił nie burzyć wypracowanej tradycji. Klaudia, z którą Nikola przed awansem dzieliła pokój, kilka dni temu wyszła za mąż. Teraz korzystała z zasłużonego urlopu po maratonie przygotowań i niepotrzebnego stresu.

Kobieta z przyjemnością wspominała powiewającą na wietrze długą białą spódnicę sukni panny młodej. Przypominała sobie słodki zapach peoniowego bukietu, mieniącego się wszystkimi kolorami tęczy. Cienka szpilka zazdrości kłuła ją w serce, kiedy przywoływała w głowie szerokie uśmiechy zakochanej pary. Wspólnie z zespołem prezentowali świeżo upieczonym małżonkom kartę podarunkową do IKEA i obsypali ich garściami ryżu pod Urzędem Stanu Cywilnego. Po życzeniach i uściskach wszyscy rozeszli się w swoją stronę. To znaczy rodzina i bliżsi przyjaciele wraz z Klaudią i jej mężem udali się na przyjęcie. To tylko współpracownicy musieli wracać do swojego życia.

Nikola pomyślała ze smutkiem, że mimo spędzenia tysięcy godzin w jednym biurze nie udało jej się z koleżanką nawiązać głębszej relacji. Wiedziała, że czasem tak bywa, że nie wszyscy współlokatorzy muszą darzyć się dozągonną miłością, ale akurat bardzo lubiła Klaudię. Widocznie druga kobieta nie podzielała uczuć swojej aktualnej przełożonej. A może to awans Nikoli je poróżnił. Ostatecznie nowa kierowniczka pracowała znacznie krócej w firmie od Klaudii. Może kobieta była zwyczajnie zazdrosna i sił na poprawne stosunki wystarczało jej jedynie na osiem godzin pracy.

Zamiast zatapiać się w niewesołych myślach, Nikola omiotła wzrokiem gustownie urządzony salon. Mahoniowa komoda w rogu przywodziła na myśl arystokratyczny dworek, a nie nowe osiedle na wrocławskim Jagodnie, pełne szarych szeregówek

i czteropiętrowych bloków. Na ścianie wisiały modernistyczne obrazy olejne opatrzone zamaszystym podpisem męża Karoliny, dzisiejszej gospodyni. Gęsty, jasnobrązowy dywan zasłaniał połowę niemal trzydziestometrowej podłogi pokrytej świeżym, sosnowym parkietem. Pozostałe meble — długi stół z sześcioma krzesłami, dwie komody oraz niemal sięgająca sufitu przeszklona szafka — również mahoniowe, ustawione były tak, że środek ogromnego salonu pozostawałby pusty, gdyby nie dwie skórzane sofy i ciemnoczerwony szeszlony ułożone wokół ciemnego, okrągłego stolika kawowego.

Wszystkie dostępne miejsca były zajęte, a stół i stół w tylnej części pomieszczenia ugięły się od przekąsek i butelek z winem. Michał z Mateuszem krążyli po pokoju, podziwiając obrazy, a Karolina dyskutowała z Marleną i Joanną. Pozostali plotkowali w ciasnych, kilkusobowych grupkach.

Po kolejnych oględzinach Nikola zakręciła resztką czerwonego, aromatycznego wina w lampce. Nie miała ochoty na kolejną, ale żeby nie musieć się tłumaczyć, dlaczego nie chce dolewki, wołała kręcić ostatnimi tykami płynu i od czasu do czasu przechylać naczynie, udając, że pije. Dopiero teraz zauważyła, że brakuje Bartka. Mężczyzna do niedawna zastępował Karolinę, kiedy ta była na urlopie macierzyńskim i po powrocie kobiety wyraźnie nie potrafił się odnaleźć w nowej sytuacji. Nikola wiedziała, że Bartek miał problemy. Widziała je w jego nieprzytomnych oczach. Nikomu nie mówiła, ale czasami czuła od Bartka kwaśny odór przetrawionego alkoholu. Najgorzej, że często obserwowała to w okolicach południa, czy kilka godzin po rozpoczęciu pracy. Miała podejrzenia co do natury problemów mężczyzny, ale nie był on w jej zespole i nie chciała bezpośrednio interweniować. Nie chciała psuć relacji w nie swoim zespole, ale jednocześnie czuła, że nie może patrzeć na tę sytuację obojętnie. Nie może ignorować problemów, tłumacząc się, że to nie jej sprawa. Będzie musiała porozmawiać z Karoliną po weekendzie. Mogła liczyć na dyskrecję przełożonej oraz doświadczenie w rozwiązywaniu problemów kadrowych. Nikola czuła też, że mają dobry kontakt, więc nie obawiała się podjęcia działania.

— Robertowi udało się sprzedać coś ostatnio? — Matusz zapytał gospodynię.

— Możesz być jego pierwszym klientem tego wieczoru — odcięła się żartobliwie Karolina. — Nie mam zamiaru dyskutować o interesach mojego męża. Możemy w zamian omówić twoje wyniki sprzedażowe za miniony kwartał.

Gładko ogolone policzki Mateusza poryły się bladym rumieńcem. Skarcony mężczyzna usiadł na zwolnionym przed chwilą miejscu na kanapie. Poprzednio siedząca na nim Julia będzie musiała szukać nowego po powrocie z toalety.

Po krótkim niezręcznym milczeniu, wywołanym małym starciem, przyjęcie wróciło do normy. Wesole śmiechy przecięły salon, kilka kobiet podeszło do stołu uzupełnić porcelanowe talerze porcjami świeżych przekąsek. Któryś mężczyzna otworzył kolejne

wino, a Nikola wciągnęła się w rozmowę z Moniką i Jakubem o najnowszym sezonie „The Last of us”. Jeszcze nie widziała kilku odcinków, ale była bardzo ciekawa opinii koleżanki i kolegi.

Zbliżała się dwudziesta druga, kiedy dębowe drzwi salonu się uchyliły. Przez szparę zajrzała młoda dziewczyna z zaspaną dwulatką na rękach.

— Pani Karolino, miałam telefon z domu — zaczęła trzęsącym się głosem. — Piotruś dostał wysokiej gorączki.

Karolina błyskawicznie odstawiła wysoką szklankę z sokiem pomarańczowym i poszła do nowo przybyłych.

— Diana może z nami chwilę posiedzieć. — Zerknęła na zegarek na ręce. — Robert wróci za maksymalnie pół godziny, więc nic złego się nie stanie. A ty leć do Piotrusia. W niedzielę zadzwonię i będziemy się zastanawiać, czy potrzeba zastępstwa.

Młoda brunetka uśmiechnęła się przez łzy i przekazała córkę Karolinie. Dziewczynka była bardzo podobna do matki. Przynajmniej na pierwszy rzut oka. Rozczochrane włosy miały kolor pszenicy, a półprzymknięte oczy lśniły czystym błękitem. Kobieta przeprowadziła dziecko przez salon i zajęła miejsce na szeszlunku. Wciągnęła córkę na kolana i pozwoliła małej główce ułożyć się na piersiach.

Wszyscy powoli wracali do przerwanych rozmów. Kilka kobiet rozczulało się nad przysypiającą na kolanach matki Dianą. Nikola nie potrafiła ponownie zaangażować się w rozmowę z kolegami. Zapomniała zupełnie, czego dotyczyła i na temat czego tak bardzo chciała poznać opinię Moniki i Jakuba. Jak zaczarowana patrzyła, jak pod wpływem bliskości córki Karolina zmiękała i złagodniała. Nie mogła oderwać wzroku od co chwilę pochylającej się głowy kobiety. Nie mogła znieść ukradkowo zostawianych na skroniach córki pocałunków. Czuła rozlewającą się w jej wnętrzu pustkę.

Przeprosiła towarzyszy i przemknęła do uchylonych drzwi prowadzących na taras. Oparła się o metalową balustradę i zapatrzyła na pogrążony w ciemnościach ogród. Wiedziała, że kilkaset metrów dalej stał niewysoki płot oddzielający jedną działkę od drugiej. Wiedziała, że zwarta grupa drzew, odcinających się czernią na tle rozświetlonych okien sąsiedniego domu, to tylko tuje posadzone, żeby podwyższyć ogrodzenie i zasłonić podwórko przed wścibskim wzrokiem obcych.

Nikola oddychała ciężko, usiłując uspokoić galopujące serce. Usiłowała powstrzymać cisnące się do oczu łzy. Chciała być silna. Nie chciała poddawać się uczuciu zazdrości, które się po niej rozlało w momencie, kiedy Karolina w nieskrępowany sposób okazywała miłość córce.

Nadal nie wiedziała, czy będzie miała dzieci. Nadal nie wiedziała, czy tego właśnie chce od życia. O ile z całą pewnością wiedziała, że pragnie znaleźć towarzysza życia, to kwestia potomstwa nadal pozostawała wielką niewiadomą. Nikola nie zazdrościła Karolinie.

Nikola zazdrościła Dianie. Zazdrościła dziecku miłości, którą bezwarunkowo otrzymała od matki, a z której dziwnym trafem została okradziona Nikola.

— Czy ja zawsze muszę cię ratować? — Niski, głęboki głos rozległ się za plecami kobiety.

Obróciła się szybko i utonęła w niebieskim spojrzeniu Janka. Patrzyła na mężczyznę, który nie pasował do tego elementu jej życia. Jego wygolone boki głowy i luźno zwisający blond kucyk nie pasowały do idealnie przystrzyżonych, krótkich fryzur jej współpracowników. Bojówki w wersji do kolan odstawały od ołówkowych spódnic i dopasowanych garniturów. Janek należał do świata, w którym Nikola była strażniczką drzewa życzeń. Nie potrafiła osadzić go w uporządkowanym, korporacyjnym świecie.

— Co? — wyjąkała bez sensu.

Głęboki, dźwięczny śmiech wydostał się z ust mężczyzny. Spoglądał przenikliwie na schowaną w cieniu kobietę.

— Ostatnio, jak się spotkaliśmy, też potrzebowałaś pomocy.

W świetle sączącym się przez szybę drzwi balkonowych widziała, jak napinają się mięśnie w szczęcie Janka. Widziała, jak nieprzetrawiony gniew kołysze się w niebieskich tęczęwkach. Dostrzegła, że luźno zwisające ręce zacisnął w pięści. Ona również nie zapomniła niebezpiecznej sytuacji sprzed kilku miesięcy. W snach wciąż wracała do tamtej sytuacji. Później na jawie zastanawiała się, jakby się to skończyło, gdyby nie pojawił się Janek.

Otrząsnęła się z wspomnień.

— Ale ja nie potrzebuję pomocy.

— Skoro tak twierdzisz. — Wzruszył ramionami. — Ale dla mnie jest to podejrzane, że uciekłaś na taras z przyjęcia.

— Może wyszłam na papierosa? — rzuciła. — A może potrzebowałam chwili samotności. W takim wypadku twoja obecność nie bardzo mi pomoże.

— Tu mnie masz — odparł ze śmiechem. — Tym razem to ja potrzebuję ratunku.

Nikola uniosła brwi.

— A skąd pomysł, że ci pomogę?

Nie wiedziała, dlaczego się z nim przekomarza. Może próbowała zamaskować zażenowanie, które czuła na wspomnienie wszystkich myśli, które miała od ich ostatniego spotkania.

— Mieszkasz w mojej okolicy, a potrzebuję kogoś do opieki nad Rogerem w przyszły weekend.

— Skąd wiesz, że mieszkam w twojej okolicy? — wykrzyczała pytanie.

Zimna dłoń strachu chwyciła ją za gardło. Praktycznie nie знаła tego mężczyzny.

Skąd w takim razie miał informację o jej adresie? Śledził ją? Dreszcz przebiegł jej po plecach, a odsłonięte ręce pokryły się gęsią skórą.

— Spokojnie — łagodnie zwrócił się do kobiety. Zauważyła, że cofnął wyciągającą się w jej kierunku dłoń w połowie ruchu. Jakby nie chciał przekroczyć jakiegś granicy bez pozwolenia. — Karolina mi ciebie poleciła.

— Zaraz, a skąd znasz Karolinę? — Myśli jej się plątały. — A tak w ogóle, to ja się nie znam na psach.

— Najlepiej zacznę od początku.

— Poproszę — zgodziła się zagubiona Nikola.

— Zapytałem Karolinę, czy zna kogoś z kotami w mojej okolicy. W przyszły weekend wyjeżdżam na szkolenie i o ile Rafaela mogę zabrać, to z Rogerem nie chciałbym jeszcze podróżować. Przygarnąłem go kilka tygodni temu i nie mam pojęcia, jak znosi jazdę autem. Czytałem, że koty nie lubią zmian otoczenia, więc najlepiej będzie, chyba żeby został w domu i ktoś do niego przychodził.

Janek mówił bardzo szybko, potykając niektóre końcówki. Jakby obawiał się, że Nikola wróci do salonu, zanim skończy swoją wypowiedź. Każde słowo wypowiadał, patrząc prosto w oczy kobiety. Cień łobuzerskiego uśmiechu kotłował się na kąciakach ust, a oczy błyszczały w przytłumionym świetle kilku salonowych lamp.

— Na kotach znam się nieźle, więc mogę pomóc. Jeśli faktycznie mieszkamy niedaleko, to szkoda byłoby przepuścić taką okazję. Każdy kociarz wie, że ekstra kot do wymiziania jest jak dodatkowa gałka lodów do szarlotki.

Uśmiechnęła się szczerze pierwszy raz tego wieczoru.

— Czekaj — dodała po chwili. — Czy ty nazwałeś swoje zwierzaki Rafael i Roger?

Kiwał głową, coraz bardziej rozbawiony.

— Jak ci tenisiści? — dopytywała.

— Uwielbiają się bawić piłką tenisową — rzucił z chichotem.

Nikola również roześmiała się na głos. Kiedy tylko się uspokoiła, wymienili się numerami. Umówili się, że Nikola w tygodniu wpadnie poznać Rogera. Kobieta nie wiedziała, co wyjdzie z tej znajomości, ale coraz bardziej cieszyła się, że Janek tamtego dnia spacerował po parku z Rafaelem. — Na kotach znam się nieźle, więc mogę pomóc. Jeśli faktycznie mieszkamy niedaleko, to szkoda byłoby przepuścić taką okazję. Każdy kociarz wie, że ekstra kot do wymiziania jest jak dodatkowa gałka lodów do szarlotki.

Uśmiechnęła się szczerze pierwszy raz tego wieczoru.

— Czekaj — dodała po chwili. — Czy ty nazwałeś swoje zwierzaki Rafael i Roger?

Kiwał głową coraz bardziej rozbawiony.

— Jak ci tenisiści? — dopytywała.

— Uwielbiają się bawić piłką tenisową — rzucił z chichotem.

Nikola również roześmiała się na głos. Kiedy tylko się uspokoiła wymienili się numerami. Umówili się, że Nikola w tygodniu wpadnie poznać Rogera. Kobieta nie wiedziała, co wyjdzie z tej znajomości, ale coraz bardziej cieszyła się, że Janek tamtego dnia spacerował po parku z Rafaelem.

AGNIESZKA MALEC

Granica

— Nie sędzę, żeby nas wyrzucił z takiego powodu. Ostatecznie to tylko jabłko.

— Wyrzuci was, mówię ci. Po co miałbym ci kłamać.

— No właśnie nie wiem... Skąd mam wiedzieć, że mówisz prawdę...

— Heh — obruszył się wąż i zwinął się ciaśniej wokół gałęzi.

Wszystko to trwało znacznie dłużej niż zakładał. Żadna dotychczasowa taktyka nie dawała rezultatu. Za każdym razem, kiedy miał wrażenie, że do czegoś dochodzą, Ewa stawiała się wyjątkowo dociekliwa i zadawała mnóstwo pytań jednocześnie. I trzeba było odpowiadać w zasadzie natychmiast, bo inaczej przestawała go zupełnie słuchać. Węsa bolała już głowa. Czy coś w tej okolicy.

— Mówię ci prawdę, głównie dlatego, że żadna inna taktyka nie działa — westchnął wąż — gdyby działała, na pewno bym sobie darował.

— Co to jest taktyka? — Ewa robiła właśnie wianek z koniczyn i nawet nie podnosiła głowy.

Już dawno postanowiła, że i tak zje to jabłko, ale skoro wąż odpowiadał na pytania, zamierzała wyciągnąć z niego jak najwięcej. Co nie było specjalnie trudne, wystarczyło udawać brak zainteresowania. Zresztą w ogóle wąż, zdaniem Ewy, sprawiał wrażenie stworzenia, które lubi dźwięk własnego głosu.

— Taktyka to sposób, żeby coś osiągnąć. Doprowadzić do czegoś. W tym przypadku próbuję osiągnąć to, żebyś spróbowała jabłka.

— Ciągłe nie rozumiem, dlaczego ci tak na tym zależy.

— Wiesz co, im dłużej z tobą rozmawiam, tym bardziej już sam nie wiem. Wiem, że miałem cię przekonać. Takie mam zadanie. No wiesz, zachęcanie do rozwoju, przekraczania granic i w ogóle. Ale sam już nie wiem po co mi to.

— A jednak się nie poddajesz — zauważyła Ewa uśmiechając się promiennie, bo uśmiech też dobrze działał na węsa — Opowiedz mi to wszystko od początku.

— Na początku będzie źle, bo on się wścieknie i was na pewno wyrzuci. Na to nie masz zupełnie wpływu. Nie wybierasz sobie rodziców i takie tam...

— A potem?

— Potem, razem z Adamem założycie rodzinę. Będziecie mieć dużo dzieci, wszystkie poza ogrodem...

— ... i żadne z nas nie poczuje się już nigdy bezpiecznie — dokończyła Ewa, która słyszała tę samą historię już dwadzieścia razy.

— Tak. Na to też nie masz wpływu.

— Ale mam wpływ na to, co będę robić. Ja i wszystkie moje córki. Będziemy mieć wpływ i decydować za siebie.

— Tak, na to będziesz mieć wpływ, ale tylko do pewnego stopnia.

— Bo Adam i jego potomkowie nam będą zabraniać?

— Owszem — zgodził się wąż — i to będzie trwało tysiące lat, czyli bardzo długo.

— Nie rozumiem tylko dlaczego. Czy to jest coś, na co oni nie będą mieć wpływu?

Wąż się zamyślił. Uczciwie mówiąc, sam nie miał pojęcia. No ale coś należało powiedzieć.

— To dlatego, że będą się bali... tak sądzę... Będą mieli pretensje. I będą słabi psychicznie, trzeba się będzie nimi opiekować.

— Co za bzdury! — Ewa gwałtownie wstała, rozrywając niedokończony wianek i rozsypując koniczyny na boki — Wszystkiego zabronią, bo będą słabi? I jeszcze trzeba się będzie nimi zajmować? To w ogóle nie ma sensu! Przecież widzę, że Adam słaby nie jest!

— Słuchaj — zdenerwował się wąż — ja też dokładnie wszystkiego nie wiem. To, co ci miałem powiedzieć, już ci powiedziałem. Jesz jabłko, wiesz więcej. Tyle, prosta sprawa. Gadam z tobą od miesiąca, skąd mam wiedzieć, co Adam ma w głowie.

Ewa zmrużyła oczy i popatrzyła w słońce. Jeśli zje jabłko, już nic nigdy nie będzie takie samo. Przekroczy nieprzekraczalną granicę. Z drugiej strony — to właśnie było najbardziej pociągające — że już nic nigdy nie będzie takie samo. Ograniczone, znane, nudne, przewidywalne. Duszące. Adamowi zdawało się to nie przeszkadzać, ale Ewa wiedziała, że ona prędzej czy później będzie potrzebowała więcej. I to raczej prędzej, bo coraz częściej czuła jak coś rozsadza ją od środka i nie może wytrzymać, że nic się nie zmienia i nic nie można zrobić po swojemu.

— Właściwie to czemu rozmawiasz ze mną, a nie z Adamem? Adam nie potrzebuje zjeść jabłka? Nie trzeba go specjalnie przekonywać? Czy w ogóle, skoro z tego ma być tyle problemów, to Adam nie mógłby tu zostać?

Wąż się znowu zamyślił. Adama nie trzeba było do niczego przekonywać, bo każdy widział, że ten idiota zrobiłby dla Ewy wszystko. Z drugiej strony nie można uczciwie określić czy faktycznie nie byłoby lepiej, gdyby Adam tych jabłek nie jadł. W zasadzie, jeśli to Ewa chciała się rozwijać, to równie dobrze mogłaby sama... Być może, gdyby wąż zechciał popatrzeć na sytuację z jej punktu widzenia... No ale nie zechciał.

— To jest coś, na co nie masz wpływu. Zjadasz to jabłko, czy nie?

Ewa stała pod jabłonią rozważając opcje. To wszystko wyglądało jak jedna wielka pułapka, a na pewno wąż nie mówił jej wszystkiego. Z drugiej strony, czy teraz nie tkwiła w pułapce? Czy nie lepiej zrobić cokolwiek, żeby się stąd wydostać? Czy ma się zupełnie poddać i zostać tu zamknięta na zawsze?

Gałęzie uginające się pod ciężarem rumianych jabłek dotykały jej włosów i ramion.

Cały ogród wstrzymał oddech, kiedy sięgała po najbliższy owoc. Jabłko było śliskie, twarde i wydawało się zupełnie nie mieć zapachu. Okazało się też bardzo kwaśne.

I rozczarowujące, bo niestety Ewa nie poczuła żadnej zmiany. Zjadła jeszcze trzy następne dla pewności, ale nic nowego się nie wydarzyło. Zrobiło się jej bardzo, bardzo smutno. I wtedy pojawił się Adam.

— Wszystko w porządku słonko? Niczym się nie martw, na pewno razem coś wymyślimy.

ALEKSANDRA APOSTEL

Small talk

— O tej porze zawsze się spóźnia — powiedziała do młodej dziewczyny, patrzącej nerwowo w telefon — w centrum są korki, ale potem nadrabia, jak już wyjedzie z miasta, na pewno pani zdąży, o, już jedzie.

Wsiadła za dziewczyną, która cichym głosem kupiła ulgowy na lotnisko.

— Dla mnie to samo — powiedziała do kierowcy — Pokazać legitymację eme..?

— Nie trzeba — przerwał dość obcesowo, ale bilet podał z grymasem, który przy odrobinie dobrej woli można by uznać za uśmiech.

Usiadła obok nerwowej, która wydała się już nieco bardziej rozluźniona.

— 16.50 do Madrytu? — zagaiła, a ta spojrzała na nią zaskoczona — o tej porze to tylko Madryt, Reykjavik albo Tromsø, ale ma pani klapki, więc nie zakładam dalekiej północy. Erasmus? — ta znowu niemo przytaknęła — Początek września, więc pora się zgadza. Oczywiście, tylko zgaduję, ale zazwyczaj trafiam. Jak się człowiek porządnie przypatrzy, to może wiele odgadnąć, nawet bez rozmowy. Czasem się myślę, nie mówię, że nie, ale lubię takie zagadki. Każdy człowiek to chodząca zagadka, nie sądzi pani? Nawet taki, z którym się mieszka pod jednym dachem przez 40 lat. Myślisz, że wiesz o nim wszystko, że lubi jajka lekko ścięte, że nie znosi hałasu i pietruszki, że w każdą sobotę idzie do lasu z psem, a potem nagle się okazuje, że to wszystko to było — urywa nagle i znowu się uśmiecha. — No nic, więc erasmus, wspaniale! Ale przygoda panią czeka. W zeszłym tygodniu wracałam z lotniska z dziewczyną, która była całe lato na Majorce na praktykach, wyobraża to sobie Pani? Całe lato. Dla mnie to już jest za duży upał, ale jak się jest młodym.. Ja lubiłam Ustkę, raz do roku jechaliśmy zawsze, całą noc pociągami, tłum, nie zawsze mieliśmy miejsce siedzące, ale warto było. Jak tylko wysiadałam na stacji, to czuć było ten słony wiatr, ten powiew od morza. Dalej go czuję, jak się tylko postaram, a już chyba z 10 lat nad morzem nie byłam. Wynajmowaliśmy kwatery u takiej pani Ewy, potem to jej córka prowadziła. Blisko morza i deptaku, zawsze było wesoło, w ciągu dnia plaża, a wieczorem karty czy ognisko, tylu ludzi się tak łatwo poznawało, a teraz człowiek czasem przez cały dzień się do nikogo nie odezwie.

No ale nic to, kiedyś z kolei jechałam z takim biznesmenem, wie pani, garnitur, laptop,

telefon, wszystko naraz, wracał z Londynu tym o 20.15, aż się zdziwiłam, że autobusem jedzie, ale był chyba jakiś strajk taksówkarzy wtedy, myślę, że życia nie ma poza pracą, bo tylko maile pisał i przez całą drogę przez telefon rozmawiał, chociaż godzina była już późna, ale potem patrzę, wysiada na przystanku i czeka na niego żona czy dziewczyna, w ciąży i tak się długo witali i całowali, że aż przyjemnie było się tak pomylić co do niego.

Kiedyś też widziałam młodego chłopaka, może z 18 lat miał i z dziadkiem leciał. Myślę, że może rodzinę gdzieś odwiedzają, a potem z dziadkiem zaczęłam rozmawiać i mówi, że nigdy nigdzie nie leciał, więc mu chłopak zrobił prezent na osiemdziesiąte urodziny i kupił bilety na weekend do Sztokholmu. Widzi pani, jakie ładne historie człowiek może poznać na lotnisku? O, już jesteśmy. Ale droga minęła szybko. Ma pani zapas czasu! I proszę korzystać z Madrytu ile się da! I zjeść churrosy w barze el Pepe, to mi kiedyś taka jedna co z Madrytu wracała, zachwalała.

— Wracamy? — pyta kierowca gadatliwą emerytkę, kiedy autobus się opróżnia.

— Wracamy — potwierdza z nikłym uśmiechem, odprowadzając wzrokiem zza szyby młodą dziewczynę.

ANGELIKA WALKOWIAK

Szach-mat

Głęboko odetchnął w chwili, gdy jego rodzice umarli. Naprawdę poczuł dziwny spokój, kiedy ich sztywne jak zawsze ciała opadały do zmarzniętej ziemi. Może to dziwne, że zmarli niemal jednocześnie, ale ona nigdy nie umiała żyć bez ojca.

Cieszył się także, że wybrali taką datę na swoją śmierć. Pogrzeb w końcu października dawał mu zwolnienie z pokazywania się na cmentarzu 1 listopada – przynajmniej tak mu się wydawało.

Teraz siedział przy stole i rozkładał planszę do szachów. Stół musiał być pusty i przetarty najpierw moką ściereczką, a później specjalną pastą, która sprawiała, że drewno przestawało być drewnem i niemal odbijało światło.

Jego mózg pracował dziś na wysokich obrotach. Może dlatego, że ten dziwny spokój trzymał się go już od kilku dni. Tylko wieczorami i później w nocy beczał w poduszkę, a głowę rozsadzał mu ból: ból bezsilności i żalu. Rano budził się trochę zawstydzony, nie przyznawał się do tego, co działo się wcześniej. W ciągu dnia panował nad swoimi emocjami, a jego ciało akceptowało ten swoisty porządek. Tylko wieczorami znów mówił sobie, że to ostatni raz.

Słodkie wino pomagało mu utrzymać ten stan. Próbował pić whisky, a później czystą, tak jak ojciec. Ale mocny alkohol wykrzywiał mu twarz. Zatrzymywał ten grymas, odrazę do wszystkich lat dzieciństwa. Przełknięcie tego było jak zaakceptowanie, że tak musi być. Kiedyś akceptował, teraz... już właściwie nie musiał, bo przecież rodzice nie żyli. Dlatego pił słodkie wino, ale i tego się wstydził. Zapasy trzymał w starym kredensie zamkniętym na kluczyk.

Plansza była już gotowa, więc pchnął pionka o dwa pola do przodu. Poczuł drżenie na całym ciele: oto zaczynała się nowa historia. Dzisiaj wyjątkowo grał białymi. Przesuwał się niespiesznie, ale z coraz większą pewnością siebie. Zaczynał grę z przeświadczeniem, że ją wygra, bo co mogło mu stanąć na przeszkodzie? Ale białe pionki nie były przyzwyczajone do jego dłoni i nie układały się tak, jak tego oczekiwał. W połowie partii zaczął się pocić. Głowa podsuwała mu zwycięskie ruchy, ale ręka nie potrafiła przesunąć białego gońca na H6, tam, gdzie stała czarna królowa.

Wstał z krzesła i zajrzał najpierw do lodówki, a później do zamrażarki. Ewidentnie grał na czas, ale udało mu się znaleźć kawałek drożdżowego placka. Wyciągnął go i włożył do mikrofalówki na tryb rozmrażania.

Mama zawsze częstowała go herbatą z mlekiem i ciastem drożdżowym z rodzynkami. Wydłubywał je z taką samą zawziętością wtedy, gdy miał siedem lat, i tak samo później, już po trzydziestce. Z zazdrością patrzył na ojca, który dostawał porcję bez rodzynek i wysłuchiwał zawsze tego samego zdziwienia:

— Nie lubisz z rodzynkami? Przecież zawsze lubieś! Nie nadążę za wami...

Później zauważył, że te rodzynki jednak miały w sobie jakąś zaletę. Zajęty wygrzebywaniem ich z ciasta nie skupiał się aż tak bardzo na krzykach dochodzących z salonu, na obrzydliwych słowach ciskanych sobie w twarz. „I że cię nie opuszczę” zamieniało się na „I żebym cię kurwo już więcej nie widział w sklepie, jak wydajesz moje pieniądze”.

Mikrofala wydała z siebie trzy przeciągłe odgłosy, a to ostatnie „piiii” wwiercało mu się w głowę. Wyjął ciasto i nawet się nie zastanawiając, położył na drewnianej desce. Ukroił kawałek o grubości trzech centymetrów i z rozczarowaniem stwierdził, że nie ma w nim rodzynek.

Zrezygnowany usiadł na krześle i uświadomił sobie, że nie ma już żadnych szans na wygraną. Gdyby zaczął czarnymi, tak jak zawsze, to owszem — istniała możliwość, że ojciec się rozkojarzy, albo będzie miał wyjątkowo dobry nastrój i nie skupi się aż tak bardzo na grze. Ale białe? Nigdy nie należały do niego. Gdy tylko zaczął ustawiać je po swojej stronie, tym samym przypieczętował swój los.

W przyпіtywie odwagi machnął ręką, rozrzucając figury po całym salonie, i w tej samej sekundzie przestraszył się tego, co zrobił. Pionki mogły fruwać po pokoju, ale wynik tej partii był już dawno przesądzony. Bierki tylko odegrały swoją rolę.

Jego rodzice leżeli głęboko pod zamarznąłą ziemią, a mimo to wypolerowany stół błyszczał w ostrym listopadowym słońcu a porcja drożdżowego ciasta bez rodzynek ewidentnie nie była przeznaczona dla niego.

BEATA BANASZCZYK

Dzień Radości

Od kiedy pamiętały, były zawsze razem. Od podstawówki, poprzez liceum i studia. Potem się rozjechały — każda w inną stronę, ale ich przyjaźń trwa do dziś, nawet jeśli nie są w pełnym składzie.

Dorota mieszkała w małym nadmorskim miasteczku wraz z trójką dzieci. Jej córka Ada pojawiła się na świecie, kiedy Dorota miała szesnaście lat, jako owoc miłości jej i marynarza, który odpłynął na dobre pięć lat temu, zostawiając Dorotę właśnie z Adą — też już samotną matką dwójki urwisów: Adamem — wiecznym studentem — oraz Jaśkiem — niby dorosłym, ale o umyśle dziesięcioletniego dziecka. Tak się niefortunnie złożyło, że cała zgraja mieszkała z Dorotą w jednym domu, bo Ada w wyniku rozvodu straciła mieszkanie i musiała się wprowadzić do matki. Adam jeszcze nie wpadł na pomysł opuszczenia matczynego gniazda, a Jasiek chyba nie wiedział, że taka opcja w ogóle istnieje.

Dorota wiele poświęciła w swoim życiu dla stworzenia pełnego ciepła domu dla swoich dzieci — skończyła studia z Adą przy piersi, z wiecznie nieobecnym mężem odbijającym się z portu do portu, który przyplływał do domu, zdawałoby się, tylko po to, żeby się poawanturować, a na koniec zostawić Dorocie niespodziankę w postaci kolejnych ciąż. Gdyby nie Anka i Gabrysia, nie wiedziała, jak by sobie poradziła. Dziewczyny były najlepszymi ciotkami dla jej dzieci oraz najdzielniejszymi towarzyszkami jej wzlotów i upadków od dzieciństwa. Skoczyłaby za nie w ogień, właściwie skoczyłaby na ten moment za Anką w ogień...

Anka! Ach, Anka! To była gorąca czterdziestopięciolatka. Po studiach nie zagrzała miejsca nigdzie na dłużej, cały świat stał dla niej otworem. Najpierw stopem, potem z kolegami, kochankami i innymi przyjaciółmi poznanymi w świecie, choć za swoją najbliższą rodzinę zawsze uważała Dorotę i Gabryskę. Aż do momentu poznania swojego Guru. Guru od jogi, a chwilę potem guru od seksu. Guru był wysokim i umięśnionym Jackiem w wieku pięćdziesięciu lat, ale z jakiegoś powodu zawsze zaniżał swoje lata tak, jakby przekłamywanie swojego wieku spowodowało cofnięcie czasu do momentu, kiedy był młody.

Anka i Jacek osiedlili się w Tatrach. Chatka gdzieś z widokiem na góry, które uwielbiała, mini studio, biznes jogowy, przyciągający spore rzesze turystów oraz miejscowych, kominek, dużo dobrego jedzenia, dużo, dużo seksu. Anka była szczęśliwa i miała w głowie obraz siebie osiedlającej się gdzieś na stałe. Możliwe, że chciałyby też dziecka, choć nie wiedziała, czy będzie to możliwe w tym wieku. Niestety ostatni bilans był nieprzychylny – góry nadal były, ale Guru od seksu się zerwał, bo strasznie się dusił w tym związku. Postanowił więc się przewietrzyć w ramionach turystki—supermodelki w wieku dwudziestu jeden lat. Jebać go! – pomyślała Anka i wróciła myślami do Gabrieli.

I była Gabrysia. Chociaż tak naprawdę już jej nie było. Klasyczna sytuacja. Rak piersi. Nie wygrała tej walki. To ona zawsze była najbardziej beztroska z całej trójki. Od zawsze chciała mieć dzieci, lecz nie udało jej się. Nigdy nie pokazywała słabości, żadna z dziewczyn nie zorientowała się, że coś było nie tak, aż do momentu, w którym zadzwoniła ze szpitala i poprosiła je o szybką wizytę, bo nie zostało jej dużo czasu.

Typowa Gabryśka! Szła przez życie jak taran, od życia osobistego po karierę. Potrafiła dmuchać w skrzydełka, jeśli zachodziła potrzeba, ale i sprowadzać szybko na ziemię. A teraz jej nie ma. To ona łączyła Dorotę i Ankę z miejscem, gdzie się poznali. Została w Warszawie. To tu dziewczyny zaznały trudności dzieciństwa oraz poznaly smak prawdziwej przyjaźni. Zawsze były bardzo wrażliwie i nieobojętne na ludzką krzywdę. To tutaj się również wszystko zaczęło, a teraz również tutaj Dorota i Anka żegnały Gabrysię.

— Ty słyszałaś tego całego Andrzeja? — syknęła Dorota zaraz po opuszczeniu bram cementarza. — A daj spokój! Dwa lata się znali, może powymieniali trochę płynów fizjologicznych, a zachowuje się, jakby ją znał całe życie! Palant! Dobra, Doris, chodź do tego notariusza. Ciekawe, co chce, co nie? Przecież Gabryśka dała ci znać, że część kasy dostanie Ada, jako jej córka chrzestna, a reszta pójdzie na WOŚP. Myślisz, że dostaniemy jej zbiór książek? — wymruczała Anka.

— Mam nadzieję, chciałabym odzyskać Pięćdziesiąt twarzy Greya, którą jej pożyczyłam.

Pół godziny później siedzieli u notariusza.

— Drogie panie, zebraliśmy się tu po to, żeby odczytać testament Gabrieli Zapolskiej. — Zbieżność nazwiska ze słynną autorką „przypadkowa”. — Dostajecie panie cały księgozbiór pani Gabrieli oraz kilkanaście tysięcy złotych, które zgromadziła na koncie zatytułowanym „TO”, czy wiedzą panie co znaczy „TO”? — zapytał z zainteresowaniem notariusz.

Dorota i Anka spojrzały na siebie wymownie i jednocześnie odpowiedziały, że nie mają pojęcia, ale że Gabryśka zawsze była zabawna, więc to pewnie był jakiś rodzaj ostatecznego psikusa przeznaczonego dla przyjaciółek.

— No dobrze. Dodatkowo pani Gabriela przekazała paniom list. Czy możemy go teraz odczytać? — Oczywiście!

— Dobrze! — Zgodnie kiwnęły głowami.

— Treść listu jest następująca:

„W dniu następnej rocznicy „Radości” mnie już nie będzie, ale wiecie, co macie robić. Moja śmierć nie jest powodem, żeby z tego rezygnować!

Xoxo, Frajerki Moje! <3

Wasza Gaba!”

— Ekhm! Wiecie, o czym mowa tym razem? — Notariusz znowu spojrzał na nie z ciekawością. — Wiemy! — Tym razem przytaknęły, ale wiedziały, że nie mają obowiązku dzielić się znaczeniem listu.

— No cóż, moja rola skończona. — Wysapał z zawodem, kiedy nie udało mu się dowiedzieć więcej o jego, jak do tej pory, najbardziej interesującej klientce.

— Dziękujemy! Do widzenia!

— Patrz, jak nas Małpa zrobiła! Nawet po śmierci musi mieć ostatnie słowo! — wyszczała Dorota. — Wiedziała, co robi! Domyśliła się, że możemy tego nie udźwignąć, jeśli jej zabraknie. A teraz, po tym liście, nie możemy jej tego zrobić!

— Który jest dzisiaj? Piętnasty, czyli Dzień Radości przypada za trzy dni.

— Trochę mało czasu — uniosła się Anka.

— A może nie... — podjęła temat Dorota. — Słuchaj, u mnie mieszka taka rodzina, niby wiesz, wszystko elegancko, mercedesy, chanele, diory—pomidory, proszę ciebie, wszystko się zgadza, ale ta kobieta z tego domu zawsze w ciemnych okularach, dzieci jakieś takie przestraszone. Mówię ci, tam się źle dzieje, a ja już od jakiegoś czasu im się przyglądam. Załatwmy to!

Trzy dni później, w Dniu Radości, właśnie obdzierały ze skóry przemocowego sąsiada. Ktoś by powiedział, że to seryjne morderczynie, ale w swoich oczach były superbaterkami, które przywracały radość dorosłym kobietom.

A wszystko „TO” zaczęło się osiemnastego września — ponad trzydzieści lat wcześniej, kiedy spotkały się pod trzepakiem. Od razu wiedziały, że każda z nich niesie swój ciężar w postaci pijanego i agresywnego ojca alkoholika, nie musiały o tym mówić,

każda to czuła. Od tamtego czasu były nierozłączne, nawet jeśli na co dzień nie mieszkaly w jednym miejscu, i zawarły pakt, że nie będą bierne jak ich matki, jak tysiące kobiet na ulicach, że zrobią wszystko, aby oprawcy zapłacili za swoje czyny.

Wtedy też ustaliły, że osiemnastego września każdego roku będzie Dniem Radości, a dzisiaj świętowały trzydziestą siódmą Radosną Kobietę uwolnioną od swojego ciężkiego losu. Anka i Dorota uśmiechnęły się do siebie, wiedząc, że gdziekolwiek jest teraz Gabryśka, wznosi toast za ich wspólne wieloletnie dzieło.

BEATA DROZDOWICZ

Sandefjord

Wyobraziłam sobie te nagłówki gazet: „Anna Drawska przedwcześnie gasnąca gwiazda na firmamencie światowej fotografii”. Ich niedoczekanie! Skończę na własnych warunkach! Jeszcze nie wyczerpałam wszystkich sposobów walki z RZS.

I tym razem nie odpuściłam letnich plenerów w Europie, przyjemna pogoda września popychała mnie do Norwegii. Wręcz czułam jakiś dziwny przymus, by tam się znaleźć. Bilet do Oslo, plecak minimum, kompaktowy sprzęt i voilà 16 września wysiadałam z promu w Sandefjord, upajając się surowym pięknem skalnych brzegów. Po odhaczeniu obowiązkowych atrakcji turystycznych, nogi same poniosły mnie stromą uliczką wśród rdzawo czerwonych domków. U jej wylotu pokazała się urokliwa kawiarnia, która miała dwa wejścia a panoramiczne okna na właściwym miejscu. Nastrojowe wnętrze, dobra kawa i sączący się jazz. Barmanka, która chwilę temu podawała mi tę ambrozię, teraz po „cywilu” siedziała trzy stoliki dalej, najwyraźniej na kogoś czekając. Wyjęła z torebki książkę. Zerknęłam przelotnie (niestety, już tak mam). Ilustracja na okładce była identyczna w każdym przekładzie: szpiczasty czarny kapelusz upstrzony niebieskimi ludkami na gwieździstym granacie nieba.

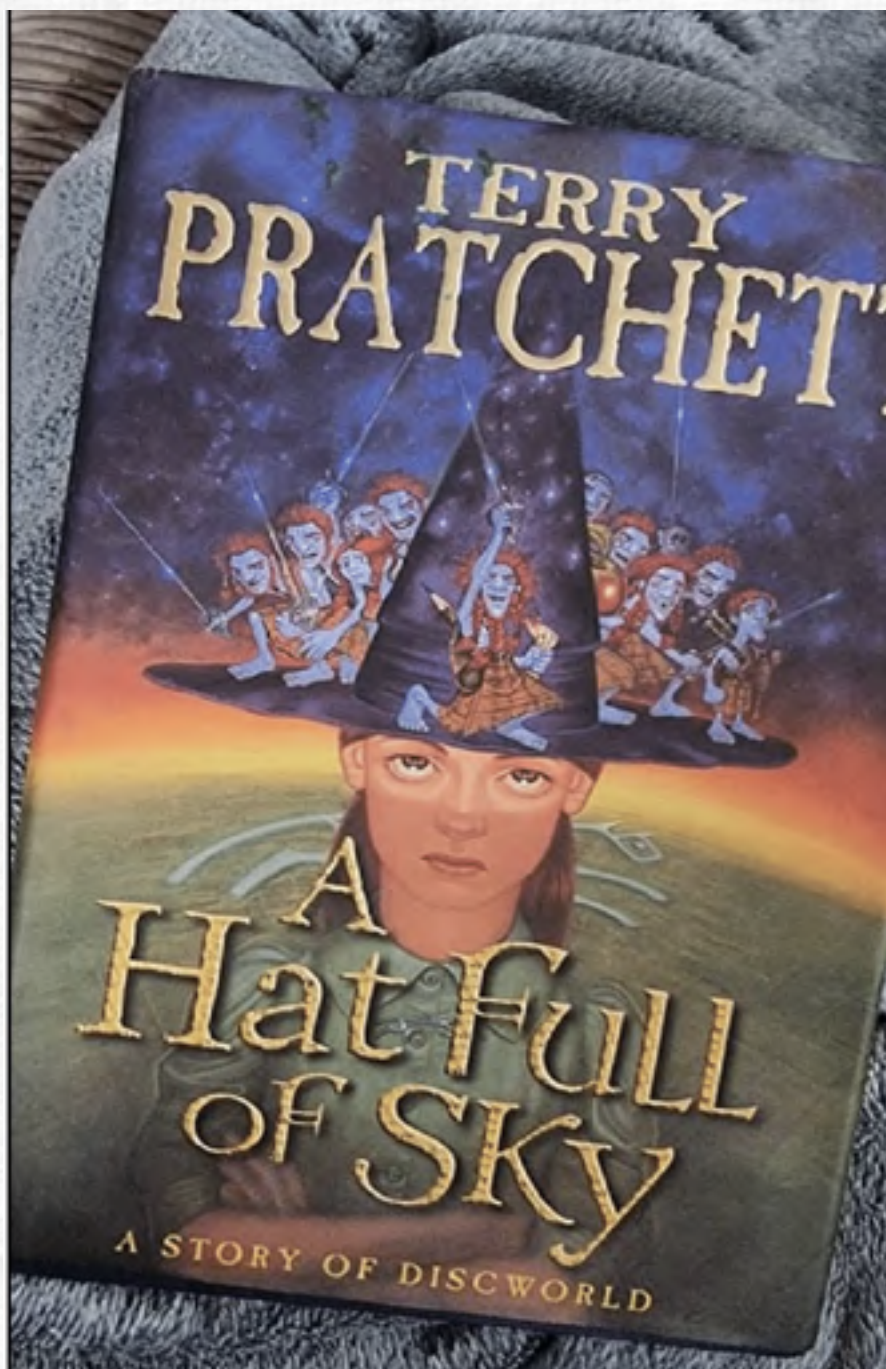
Pomimo norweskiego tytułu, nie miałam wątpliwości! Nie zdążyłam się otrząsnąć ze zaskoczenia, gdy drzwi gwałtownie otworzył młody chłopak, najwyraźniej spóźniony. Wysoki, o posturze niedźwiedzia, blond skandynawskiej urodzie z brodą zaplecioną starannie w długi warkoczek. Kraciasta flanelowa koszula kojarzyła z drwalem, który ma lunchową przerwę. Skierował się do stolika dziewczyny, czule się przywitani i zanurzyli w rozmowie.

Trwaliśmy tak— ja w zdumieniu, oni zapatrzeni w siebie, kiedy spektakl przebijającego się za chmur południowego słońca, ostatniego ciepłego dnia, w jednej sekundzie wywabił nas na zewnątrz. Delikatnie przesunęłam statyw i zwolniłam migawkę. Miałam to! Niezawodny Nikon, niczym kolt rewolwerowca uchwycił splecione ręce tych dwojga a zrzucona przez niego koszula zafurkotała niczym ramiona pikującego nura. Serce zabiło mi mocniej! Po prostu wiedziałam co zobaczę! Z gołych łopatek wrastał tatuaż

anielskich skrzydeł, które zdawać się mogło, unosiły go ponad ziemią.

Jakaś zapadka w dalekim a zarazem bliskim wspomnieniu wskoczyła na swoje miejsce, niczym puzzle ułożone z milionów maleńkich kwiatów, których słoneczny blask ścielił się u podnóży fiordu.

Tak — to zdjęcie otworzy cykl „Zatrzymany poza czasem”.



ELIZA CORRE

Woda

Kiedy masz 15 lat, wszystko jest dramą. Kiedy masz 15 lat w 2005 roku, to jesteś pewna, że życie jest dramą, bo naoglądałaś się M jak Miłość. Pewnego dnia budzisz się obolała od samego spania na nieodpowiednim łóżku, wypijasz szklankę wody i stwierdzasz, że dorosłe życie jest o wiele nudniejsze niż to obiecane przez telenowele. Twój ostatni życiowy cliffhanger to nieodebrane połączenie od księgowej, bo brałaś kąpiel o szesnastej. Potencjalna okazja do dramy — bankructwo, groźba wyładowania pod mostem — okazała się zwrotem podatku z urzędu skarbowego, bo tak jesteś biedna, że nawet państwo zdecydowało ci coś oddać. Wizja spania pod mostem nawet lekko cię ekscytuje, bo nadal mieszkasz z matką na 50 metrach kwadratowych i w dwóch pokojach, w których przez czterdzieści lat zmieniły się tylko telewizor, pralka i liczba właścicieli.

Państwo Okulscy dostali przydziałowe spółdzielcze mieszkanie pod koniec lat 80., po wielu latach oczekiwania i pomieszkiwaniu w jednym pokoju u rodziny w pobliskiej wsi.

Grażyna Okulska łąpała PKS każdego poranka o 6:00, by dojechać do pracy w szkole w Lublinie. Marian Okulski chwycił się każdej pracy. Jego trzy córki nigdy nie wiedziały, co robi ich ojciec, kiedy zniknął z domu wczesnym rankiem i wracał późnym wieczorem. Zawsze słyszały, że „ojciec w robocie”. Grażyna powtarzała, że to dzięki zaradności Mariana udało im się przyspieszyć kolejkę w spółdzielni i dostać mieszkanie szybciej. To dzięki Marianowi Grażyna nie musiała marznąć co rano, czekając na PKS.

Państwo Okulscy wprowadzili się do mieszkania w stanie surowym, kiedy ich pierwsza córka miała roczek, a Grażyna była w drugiej ciąży. Kiedy na świat przyszła ich ostatnia córka, łazienka nadal była nieskończona, ale reszta wnętrza była już dumnie wyposażona dzięki zaradności Mariana. Marian skombinował najpiękniejszą meblówkę w bloku i półkotapczan do pokoju dziewczynek. Grażyna dostała w prezencie od uczniów, na rozmaite okazje, całkiem okazałą kolekcję kryształów. Oczywiście żaden nie do pary, ale można było je wystawić do ozdoby i napełnić cukierkami z okazji imienin.

Córki państwa Okulskich dzieliły ten sam pokój. Magda, Marta i Joasia od dziecka były zmuszone do bliskiego kontaktu. Rodzice oddali im większy pokój, przedzielając go na pół brązową meblościanką — mniej imponującą niż ta w salonie, który zamieniał się w sypialnię po rozłożeniu wersalki. Starsze siostry spały po tylnej stronie mebla. Modne słomianki zakrywały płytę tyłu meblościanki i służyły jako dekoracja nad biurkiem. Parę lat później zostały pokryte plakatami dołączonymi do Dziewczyny. Obok biurka stało łóżko piętrowe z drabinką ze sznurka. Najmłodsza córka miała dostęp do drzwi balkonowych (bez balkonu), od których w zimie ciągnęło straszne zimno na stojący tuż obok półkotapczan.

Pierwszym wspomnieniem Joasi z dzieciństwa jest kąpiel w nowej wannie.

Marian, który zakombinował błękitne kafelki i wannę, wykończył w końcu łazienkę własnymi siłami. Joasia jako najmłodsza, kąpała się ostatnia. Był to pierwszy i ostatni raz, kiedy pozwolono im napełnić wannę po brzegi. Joasia dokończyła kolację, wsłuchując się w szumiące bzyczenie bojlera, który grzał wodę. Słyszała Martę pluskającą się w łazience obok. Zastanawiała się, czy woda będzie dla niej choć jeszcze ciepła. Czuła, jak jej ciało nie może się doczekać, wierząc się na metalowym taborecie. Próbowwała skupić się na czerwonych kwiatkach na ceracie, by nie myśleć o tym, kiedy nadejdzie jej kolej. Zerknęła nerwowo na matkę, która pilnowała czasu przydzielonego każdej z nich. Kiedy w końcu Grażyna podniosła oczy na ścienny zegar, Joasia zerwała się na równe nogi.

— To już, mamó, to już!

Po kilku protestach starszej siostry, która nie chciała oddać nowo zdobytego sanktuarium, Joasia zrzuciła z siebie w rekordowym tempie szarą sukienkę z Myszka Minnie i białe majteczki z kokardką. Zanurzyła się w tej samej wodzie, w której kąpały się wcześniej jej siostry. Była ledwie letnia, ale wcale jej to nie przeszkadzało. Po raz pierwszy mogła zanurzyć się w całości. Mogła rozprostować nogi i cieszyć się wodą zakrywającą jej całe ciało.

Łazienka śmierdziała schnącą farbą olejną i klejem do płytek. Płytek starczyło tylko na połowę łazienki, więc resztę trzeba było pomalować. Do połowy. Joasia przekręcała się w wannie we wszystkie strony i wyobrażała sobie, że jest małą syrenką. Nigdy wcześniej nie czuła się tak szczęśliwa jak w tej śmierdzącej olejną farbą łazience. W nowej wannie, w chłodnej już wodzie po siostrach.

Kilka lat później, w tej samej łazience, myjąc zęby, usłyszała przez szum kapiącej z kranu wody krzyk matki. Tak przeraźliwy, że wiedziała, że nie chce z tej łazienki wychodzić, bo będzie musiała zmierzyć się z czymś strasznym. Nie była w stanie zakręcić kranu.

Patrzyła na ciekący strumień wody, mając w głowie słowa ojca: „Licznik się kręci, czemu kran ciurkiem leci?!” Za parę chwil Joasia miała się dowiedzieć, że nigdy już od ojca nie usłyszy tych słów. Ani żadnych innych.

Marian Okulski umiał kombinować jak nikt inny. Niestety, picia alkoholu odmawiać nie umiał.

W gorący majowy wieczór, kiedy dziewczynki przygotowywały się do spania, Grażyna Okulska wyciągnęła pachnący różaniec — pamiątkę z pielgrzymki do Częstochowy — by odmówić choć dziesiątkę różańca. W końcu majówki się zaczęły, a ona jeszcze nie znalazła czasu, żeby pójść do kościoła choćby na jedną. Zaczynała trzecią „Zdrowaśkę”, kiedy ostry dzwonek telefonu poderwał ją z kolan, na których już zdążył się odcisnąć wzór z dywanu. To, co nastąpiło potem, zostało jej w pamięci jako mieszanka niedowierzania, krzyku, płaczu i ogromnego strachu. Pamięta wodę sączącą się z kranu w łazience i swoją myśl, że przecież licznik leci. Pamięta rozerwane koraliki pachnące różą, rozsypane po linoleum w przedpokoju, gdy usłyszała: „...pani mąż nie przeżył”. Pamięta czarne sukienki. Cóż za chory absurd — w kwiecistym maju w czarnych sukienkach. Pamięta żal i wybuch złości przed drewnianą trumną. Jak on śmiał? Jak on śmiał tak głupio umrzeć? Utopić się? Tyle lat pił, tyle musiała tolerować, a on głupi wpadł do wody, bo się upił? Pamięta pustkę. Zostały same. Cztery kobiety na dwóch pokojach.

Pamięta maratony M jak miłość. Żeby nie myśleć.

Wstawiasz dwudziestoletni czajnik z wodą na gaz, by zrobić sobie herbatę. Próbowалаś namówić matkę na elektryczny, ale prędzej przestanie do kościoła chodzić, niż da coś zmienić w swoim mieszkaniu. Prawdziwego powodu też nie poda, będzie się upierać, że gaz tańszy. Kiedy patrzysz, jak para powoli zaczyna wydobywać się z nieszczelnego gwizdka — który już bardziej syczy, niż gwizdże — myślisz, co ty do cholery robisz ze swoim życiem. Masz 35 lat i bierzesz kąpiele codziennie po południu, kiedy matki akurat nie ma i możesz spokojnie napełnić starą wannę po brzegi, bo to jedna chwila prawdziwej przyjemności w twoim życiu. Pijesz herbatę z torebki maczanej co najmniej 3 razy. Matka pilnuje, żebyś przypadkiem nie wyrzuciła po drugim razie, bo jeszcze się nada. Twoje starsze siostry wyjechały podbijać świat. Tak mówią, dla ciebie to ucieczka przed przeszłością. Ale każdy wybiera narrację najlepszą dla siebie. Ty zjechałaś sobie życie i utknęłaś z matką w pokoju z dzieciństwa. Na tym samym ohydny zielono—pomarańczowym tapczanie obok drzwi od balkonu. Bez balkonu. Zalewasz herbatę wrzątkiem. Masz szczęście — akurat możesz wyjąć nową torebkę. Zanurzasz szybko i odkładasz delikatnie na spodeczek przeznaczony na jeszcze—nie—całkiem—zużyte—herbaciane—torebki. Lekko uszczerbiona szklanka w metalowym koszyczku, pamiętająca PRL — niczego w tym domu nie wolno wyrzucać — parzy cię w palce, kiedy niesiesz ją do pokoju. Mijasz swoje przygnębione odbicie w lustrze. Stajesz i mówisz na głos:

— Co ty, kurwa, Aśka, odpierdalasz?

EWA BRZESKA

Doroczna Konferencja Rozwoju Kompetencji Miękkich Branży Ezoterycznej

Gaja jeszcze nigdy nie była tak zestresowana. Nawet kiedy pamiętnego dnia chowała się pod kredensem w kuchni wampirów czekając aż ją znajdą, a raczej licząc, że jednak nie znajdą, i oskarżą o kradzież zapasu krwi dla całego garnizonu. Pamiętała jak wtedy mocno waliło jej serce ze strachu, że jakaś krwio pijca usłyszy ją i odkryje jej kryjówkę, co ostatecznie i tak się stało. Ale nawet całe stado wściekłych wampirów nie przerażało jej tak jak kongres lokalnych wiedźm. Bardziej konserwatywne nazwałyby ten zjazd sabatem, ale umówmy się, nowoczesna sala konferencyjna w warszawskim Sheratonie niczym nie przypominała typowego sabatu, takiego z mieszaniem eliksirów w wielkim kotle, przy ognisku, na Babiej Górze. Coroczny zlot polskich czarownic, wiedźm, szep-tuch, tarocistek, zielarek, widzących, mediów etcetera, etcetera w hotelowej agendzie widniał jako „Doroczna Konferencja Rozwoju Kompetencji Miękkich Branży Ezoterycznej” a Gaja była w grafiku jako pierwsza prelegentka. Szczerze mówiąc, wołałaby, żeby organizatorki zapisały ją jako ostatnią ze względu na temat jej prezentacji, który był iście kontrowersyjny i Gaja miała tylko nadzieję, że nikt nie wyjdzie trzaskając drzwiami z oburzenia. W myślach widziała już miny babki i ciotek mówiące, że wstyd rodzinie przynosi przed szacownym, wiedźmowym audytorium. Ale cóż, Gaja wiedziała, że postęp jest nieunikniony i chowanie różdek w piasek niczego tu nie zmieni. Pamiętała jakie oburzenie na początku XX w. wywołała propozycja przesiądnięcia się z mioteł na samochody a w ostatnich latach z samochodów na rowery, bo ekologia, wiadomo. Siostrzana bracia potrafiła być mocno konserwatywna w swoich poglądach. Teraz jednak na miotłach nie latał już nikt, a na pewno nie w większych miastach. I nawet nie chodziło o samoloty czy helikoptery ale wszechobecne drony. W górach czy nad morzem bynajmniej nie było bezpieczniej, bo zawsze znalazł się jakiś Instagramer, który dla tej jednej jedynej fotki potrafił strącić z siodła niczemu niewinną wiedźmę. W dzisiejszych czasach

miotły były, co najwyżej, częścią oficjalnego stroju i większość wiedźm wyciągała je tylko na Halloween albo kameralne spotkanie w gronie rodzinnym czy wśród przyjaciół, ewentualnie na zjazdach Klubów Pisarskich na Podlasiu.

Gaja, dla niepoznaki, swoje wystąpienie zatytułowała „Wpływ Nowoczesnej Technologii Na Zapotrzebowanie Ezoteryczno—Medialne” i nawet nie planowała wspominać, że zastąpi nas sztuczna inteligencja co, według Gai, już następowało, na co miała dowody w postaci wykresów i danych statystycznych. Ale fakt był taki, że AI to był główny motyw przewodni jej prezentacji. Zdjęcie na stronie tytułowej przedstawiało jedną z jej ulubionych grafik Stefana Koidla, która bardzo mentalnie pasowała jej do tematu osławiania tej demonicznej wiedźmy sztucznej inteligencji. Bała się jednak reakcji publiczności. Nie oszukujmy się, niektóre stare konserwy potrafiły od lat mieszkać z rodzinami w lesie na odludziu, po dziś dzień nie mając netu a nawet telefonu stacjonarnego, o komórkach nie wspominając. Korespondencję można im było przesłać jedynie gołębiem pocztowym, bo nawet DHL nie chciał tam nic dostarczać. Silne odstraszały ochronne zaklęcia nie pozwalające na wysyłanie Magic Instant Messages (w skrócie MIM) czyli po prostu pojawiających się gdzie bądź wiadomości i nawet szklane kule miały zakłócenia gorsze niż Radio Wolna Europa za czasów stanu wojennego. Było to upierdliwe w chuj, bo znalezienie pocztowych gołębi w Warszawie graniczyło ostatnio z cudem, prawie jak spotkanie Jednorożki.

— Drogie koleżanki — zaczęła Gaja zrobiwszy wcześniej trzy głębokie oddechy, bo wiedziała, że głos nie może jej zdrzeć. Była młoda, więc w hierarchii wiedźm, na samym dole drabiny społecznej i obawiała się, że nie wezmą jej na poważnie. Nawet jeśli nazwisko i reputacja rodziny, a szczególnie babki, była bardzo silna i to nie tylko w Polsce.

— Drogie koleżanki, w ciągu ostatnich paru miesięcy liczba klientów przychodzących po wróżby, interpretacje snów lub postawienie Tarota drastycznie spadła. W Polsce może nie widać tak dobrze tego trendu, ale w skali Unii Europejskiej to spadek o 23%. Wobec wzrostu zainteresowania na początku pandemii a potem wojny w Ukrainie wciąż mamy, co prawda mniejszy, ale spadek w stosunku do danych sprzed roku 2020. Oczywiście badania przeprowadzone były głównie wśród zawodów nie mających żadnych zdolności i nie wywodzących się z naszych kręgów jednak opisują ogólny kierunek zmian mający również wpływ na nasze podwórko. Spadek ten spowodowany był użyciem nowoczesnych technologii takich jak czat boty, GPT czy innego rodzaju sztucznej inteligencji, której rozwój na rynku jest bardzo dynamiczny. Już nie tylko takie zawody jak programiści, analitycy, copywriterzy czy dziennikarze zmagają się z falą zwolnień ale dotyczy to też nas czarownic.

Po sali przeszedł pomruk niezadowolenia.

Gaja spojrzała na zebrane i dodała:

— To może zobrazuję zagadnienie na przykładzie — kliknęła palcami i prezentacja przyniosła się na ekran z trzykartowym rozkładem Tarota Hush dla pytania o drogowskaz od wszechświata, odpowiedź na konkretny, zadany przez klientkę problem. Kapłanka, 9 Mieczy, Wieża oraz Królowa Buław.

— Klientka pytała o pracę — ciągnęła dalej Gaja — nie wiedziała czy rzucać, czy to dobry moment na zmiany, może otwarcie własnej działalności. Klientka około 40 lat, z dużego miasta, wyższe wykształcenie. Jak widzimy, karty jak najbardziej sprzyjające a interpretacja dawała duże możliwości rozwoju. Gaja przerzuciła slajd na opis interpretacji.

— Jednym słowem karty mówiły idź na swoje.

Z sali dobiegły ją pomruki aprobaty.

— Wyobraźcie sobie drogie panie — tu Gaja wstrzymała na chwilę głos i znacząco popatrzyła na zebrane — że karty wylosowane były i zinterpretowane w całości przed chat GPT!

W sali zapanował chaos, podniosły się donośne głosy oburzenia, niektóre wiedźmy wstały i podniesionymi głosami zaczęły wyrażnie protestować i gestykulować. Do Gai doszły wściekłe słowa jednej z bardzo znanych Tarocistek „Przecież karty należy stawiać osobiście, w obecności zainteresowanych stron, inaczej to żadna wróżba!”. Inna protestowała „A co z zapłatą, bez zapłaty wróżba nigdy się nie sprawdzi!”.

Tego właśnie Gaja najbardziej się obawiała, 15 minut konferencji i już ogólna burza, dosłownie i w przenośni, bo za oknami widać było zacinający deszcz i słychać mocne porywy wiatru choć prognoza zapowiadała słońce i 22 stopnie. Poszczególne wiedźmy zaczęły wstawać i wychodzić. Przerażone organizatorki zarządziły 20 minutową przerwę na kawę i ciasteczka, bo wiadomo, że każda wiedźma lubi dobrze zjeść, ale Gaja straciła nadzieję, że uratuje to sytuację. A sądząc po minach babki i ciotek było jeszcze gorzej niż myślała.

JOANNA MICHTA

Lustro

— Nie wpatruj się tak, bo zobaczysz diabła — mówię do M. skrupulatnie sprawdzającego efekty golenia.

— Co?

— Co? Nie wiesz... Jeśli będziesz się wystarczająco długo gapić w lustro, zobaczysz diabła.

— Jeszcze jeden zabobon do kolekcji... — burczy pod nosem M., ale już go nie słucham, bo przypominam sobie lustro w naszym rodzinnym domu.

— To jo! je tak! staro! — za każdym razem dziwi się babcia — nie moga patrzeć na ta gamba.

— Widzisz to, widzisz ten tłuszcz! — nie widzę i czuję się podwójnie winna. — Jak ja się spałam, jak ja wyglądam... — mama rzuca w swoją stronę pogardliwe spojrzenie.

Pewnego jesienno-wietrznego dnia, po powrocie ze szkoły, postanawiam sprawdzić, jak to z "nim" jest, czy naprawdę można go zobaczyć. Zamykam się w pokoju dziadka, stoję przed wielką szafą z lustrem i planuję wpatrywać się w swoje odbicie w lustrze, dopóki go nie zobaczę. Za oknem gwiżdże wiatr, z drugiego pokoju dochodzą uspokajające dźwięki telenoweli. Mijają długie minuty, ale nie tracę motywacji. Jedynie od czasu do czasu na ułamek sekundy odrywam wzrok od lustra i upewniam się, że nikt nie idzie. Mija już dobre 5, a może 10 minut i w końcu coś się zaczyna dziać. To już! — myślę ze zgrozą, ale niezmienną ciekawością. Wydaje mi się, że się wyłania, odbicie zaczyna się zmieniać, drgać, trochę się rozmazuje. To on?! Czy jednak ja? Na widok tej metamorfozy przechodzą mnie ciarki, mam gęsią skórę na rękach i czuję się bardzo nieswojo. Jeszcze chwila a ukaże mi się w całości! A więc to wszystko prawda! Czuję jak mięknie mi noga i serce przyspiesza pod różową koszulką... Nagle przeciąg zatrzaskuje drzwi do pokoju, podskakuję, bicie serca zagłusza szalejący za oknem wiatr. W tym momencie drzwi się otwierają, a ja zamieram. Do pokoju wchodzi mama z babcią z torbami pełnymi zakupów, patrzą na mnie trochę podejrzliwie. Z nerwów odpalam:

— Nie mogę patrzeć na tę buzię! Widzicie ten tłuszcz? — naciągam skórę na brzuchu. Babcia patrzy wymownie na mamę, mama na babcię. Udało mi się je zmylić. Nawet nie wiedzą, że “go” spłoszyły. Raz na zawsze, mam nadzieję.

— To dlatego tak unikasz lustra? — dociera do mnie głos M.

— Co?

JOANNA SZĄŁKOWSKA

Brak granic a upadek, upadek nową granicą?

Byłem w formie od lat. Najmocniejszy atak, najmocniejsza zagrywka. Człowiek nie do zatrzymania. "Jego nam nie zablokujecie!" — to był slogan kibiców i, przyznam otwarcie, naszej kadry. I chociaż próbowali mnie powstrzymać, blokować — nie udawało im się. Potrafiłem kilkoma atakami spowodować, że uciekaliśmy punktami przeciwnikom, o pięć czy nawet dziesięć oczek.

I przyszedł ten najważniejszy sezon dla reprezentacji — z mistrzostwami świata w Polsce.

Siatkarskie święto nad świętami. Impreza nad imprezami. Nie ma nic ważniejszego. A jeśli dodamy do tego to, że grać mieliśmy na naszej ziemi... nie było innej opcji: musieliśmy wygrać.

A ja nie miałem formy. Wszystko się waliło, psychicznie i fizycznie, na boisku i poza nim. Mentalnie każdy trening jeszcze bardziej mnie osłabiał. To, co do tej pory przychodziło mi z łatwością — teraz było niczym zdobycie Mount Everest. A ja spadałem za każdym razem w otchłań, bez sił, tracąc nadzieję. A poza boiskiem? Skończony długoletni związek, pustka w mieszkaniu, wyrzuty sumienia. Nie potrafiłem oddzielić życia prywatnego od gry na boisku. Wszystko mi się mieszało, a skoro nie udawało mi się w grze, nie udawało mi się też prywatnie. I tak w kółko, non stop.

Pojawiały się pytania od dziennikarzy, od kolegów z boiska i nie tylko: Co się dzieje? Kiedy przyjdzie forma?

Od początku sezonu klubowego byłem na równi pochyłej. Blokowali mnie, nie mogłem skończyć ataków, a zagrywka... to nie przypominało zagrywki. Trafiałem albo w siatkę, albo daleko poza boisko. Nie mogłem znaleźć rozwiązania, ucieczki stamtąd. Wpadłem w dziurę, przepaść. Nic nie było w stanie mnie stamtąd wyciągnąć.

Przyszło powołanie do kadry, mimo – albo wbrew – wszystkiemu. I pojawiały się już nawet nie pytania, a zarzuty wobec trenera: po co nam on? Takie słabe ogniwo. On już się skończył. Wypalił.

A trener powtarzał, że jestem członkiem drużyny, który wypracował sukcesy w poprzednich sezonach i podobnie jak każdy inny zawodnik, muszę udowodnić, że zasługuję na bycie w wąskiej kadrze na mistrzostwa, więc wszystko może się u mnie zmienić.

Został miesiąc do Meczu Otwarcia, a zegar tykał. A ja nie poprawiłem swojej formy. Można powiedzieć, że było coraz gorzej.

To był czwartek, godzina jedenasta. O 15:00 selekcjoner miał zaplanowaną konferencję, podczas której miał podać nazwiska najważniejszej czternastki. Trener, Ferdinand Wolt, czekał na mnie w swoim gabinecie — jeśli ten ciasny pokój można tak nazwać. Stałem pod drzwiami kilka dobrych minut, zanim odważyłem się zapukać i wejść do środka.

— Jestem trenerze — powiedziałem.

— Siadaj, Wiktor — usłyszałem. Wykonałem polecenie, czy też prośbę.

— Nie owijaj w bawełnę — poprosiłem. — Miejmy to za sobą.

— Przykro mi Wiktor, ale nie będziesz w czternastce. Byłeś filarem drużyny od lat, ale w tym sezonie nie istniejesz. Nie ma wyników, nie ma poprawy. Nie widać nawet perspektyw, że odpalisz w trakcie turnieju. A przynajmniej ja ich nie widzę.

Nie wiem, co było dalej. Coś powiedziałem, wyszedłem. Jakoś wróciłem do domu. Byłem wściekły, na wszystko i na wszystkich. Na moją formę, na to, że turniej jest teraz a nie na przykład rok temu (wtedy brylowałem na parkiecie), na zdrowie, na to, że po prostu jestem.

Otworzyłem whisky i gdy opróżniłem szklanę, rzuciłem nią w telewizor. Matryca pękła. Ale to mi nie pomogło.

Szklanki, talerze latały po mieszkaniu. Krzyczałem, płakałem, boksowałem ściany. Wściekłość i bezsilność wylewały się ze mnie. Znienawidziłem siebie, dziennikarzy, innych zawodników i cały świat.

W następnych dniach widziałem wszędzie te nagłówki i tylko je. "Filar drużyny odsunięty!", "To już koniec złotego dziecka polskiej siatkówki!", "Bez niego siatkarze mogą powalczyć o medale!".

Czyli ze mną by nie powalczyli. Byłem tą kłodą pod nogami, tym kamieniem na końcu sznura, który jest owinięty wokół szyi. Zbędny balastem. Przeszkodą. Problemem.

Nie widziałem nic innego, nie docierało do mnie nic więcej.

Wpadłem w czarną otchłań.

Półtora miesiąca później oglądałem finał.

Siedziałem przed telewizorem na kanapie. Tak, kupiłem nowy telewizor — za błędy trzeba płacić. W dłoni trzymałem szklanę z wodą. Patrzyłem jak na boisku pojawia się czternastu zawodników, w tym siedmiu w biało—czerwonych strojach.

Zaczął się finał. Mecz o złoto. Oglądałem całe spotkanie, punkt za punktem. Ścisnąłem szklankę obiema rękoma tak mocno, że aż jestem zaskoczony, że nie pękła. Gdy doszło do piłki meczowej, w oczach pojawiły się łzy.

Zdobyli, po raz trzeci dzisiejszego wieczoru, dwudziesty piąty punkt. Moi koledzy z boiska, moja reprezentacja.

Ale beze mnie.

Z oczu popłynęły mi łzy. Odstawiłem szklankę i ukryłem twarz w dłoniach. Płakałem. Płakałem, bo się cieszyłem z ich zwycięstwa, a jednocześnie zazdrościłem tego, że zdobyli złoty medal.

Zadzwoił telefon. Spojrzałem na wyświetlacz. Mój pierwszy trener, z młodzieżówki. I chociaż nie chciałem, nie czułem się na siłach, odebrałem.

— Wiktor?

— Dobry wieczór, panie trenerze — wyszeptałem.

— Wiktor, mamy złoto — powiedział powoli.

Przymknąłem oczy. Przypomniałem sobie jak jako nastolatek pięć razy w tygodniu słyszałem ten głos na małej hali, na której trenowaliśmy. Pierwsza młodzieżówka. Trener, który we mnie zobaczył potencjał. Jego też zawiodłem...

Zadrżałem.

— Mają złoto, panie trenerze. Mają. Mnie tam nie ma — powiedziałem cicho, drżącym głosem.

— Nie, chłopcze. Gdyby nie ty, podobnie jak wielu innych zawodników, nie byłoby tej drużyny. Nie mielibyście tych sukcesów w ostatnich latach, więc pewnie i teraz by nie było medalu. Owszem, oni wywalczyli. Ale jest to medal całej siatkarskiej Polski, wszystkich poprzednich lat.

— Ale ja się skończyłem, trenerze — wyznałem. — Nie ma już złotego chłopca polskiej siatkówki, nadziei siatkarskiego świata...

— Nie ma, bo narodził się prawdziwy zawodnik, Wiktor. Z krwi i kości. Możesz się podnieść i grać dalej. Możesz udowodnić wszystkim, że nawet z takiej otchłani można uciec, wydostać się, aby wrócić silniejszym. Musisz tego chcieć.

Milczałem. Obserwowałem radość całej drużyny, niektórzy dalej leżeli na podłodze, płacząc ze szczęścia. Inni trwali w uściskach z resztą zawodników. A jeszcze inni pobiegli gdzieś w stronę trybun, do swoich bliskich.

— Potraktuj to jako nowy rozdział. Potraktuj ten mecz, ten finał jako granicę pomiędzy starym a nowym tobą.

JULIA ROGUSZCZAK

W odbiciu nieba

Na stary drewniany pomost dotarłam wąziutką ścieżką biegnącą przez wysokie trzciny. „Cienka jak dupa węża” – powiedziała by o niej moja starsza siostra. Miała te swoje powiedzonka. Ostrożnie wchodzę na wąski mostek. Nadszarpięte zębem czasu deski chroboczą pod moimi zielonymi trampkami. Od kilku dni panuje niemiłosierny upał. Mam wrażenie, że drewno mogłoby się od niego skruszyć. Omiotam wzrokiem całą szerokość jeziora, gęsty las po drugiej stronie oraz piętrzące się w oddali po lewej złociste baloty zebranego niedawno siana. Na chwilę wstrzymuję oddech. Lustrzana tafla akwenu hipnotyzuje i zadziwia. Choć niebo paraduje dziś najgłębszym błękitem, gładź wody jest jak mroczne zwierciadło, które zamiast nieboskłonu ukazuje ziemiste brązy. Bliżej przeciwległego brzegu szarości przechodzą w zieleń i jej bogatą paletę, od soczystych liści brzoź po zgniłozielone igły sosen. W jednym tylko miejscu refleksy słońca wąską stróżką przełamują ciemność.

Kładę się na brzuchu na końcu pomostu, nie bacząc na drzazgi. Układam głowę na ramionach i wpatruję się w bezruch wody. Idealne lustro, choć tak naprawdę wybryk zniekształcający podobizny, dodający karykatury rzeczywistości. Ostre lipcowe słońce nagrzewa mi głowę i ramiona, ale jeszcze nie chcę stąd odchodzić. Woda i ta jej dziwna stęchła woń, od dzieciństwa bliskie memu sercu, koją moje niepokoje. Pluskanie żab i furkot owadzych skrzydeł przeplatają się z szumem trzin. Otulona ciepłym powietrzem mogłabym zasnąć, odpłynąć na kilka chwil do krainy bez zmartwień.

W symfonię harmonijnych dźwięków wdziera się przeciągły pisk kaczki, która przy łopocie skrzydeł miękko ląduje na środku jeziora. Pozwalam sobie i ja przerwać doskonałość tafli. Wkładam rękę do wody, lustro pęka.

„Uważaj, bo cię węgorz ugryzie”. Wspomnienie jest niezwykle wyraźne, jakbym słyszała ją nad sobą. Dlaczego starsze siostry muszą być takie złośliwe, często się zastanawiałam.

Innego lipcowego dnia, być może w innym życiu, leżałyśmy na pomoście. Ona przeglądała Bravo, ja cofałam taśmę w walkmanie, by znów od początku przestuchać „Always” Bona Joviego. Od rana nie rozmawiała ze mną. Nie żebym cośkolwiek

jej podpadła, po prostu był to dzień niegadania do smarkuli. Jakby te 4 lata różnicy wieku stanowiły o niezasypywalnej przepaści.

Zamknęła czasopismo i schowała je do torby. Złożyła przed sobą przedramiona i oparła na nich brodę.

— Chodź tu do mnie, zobacz jakie cudne — powiedziała.

Nie chciałam znów dać się nabrać. Mogła wrzucić mnie do wody albo postraszyć obślizłą rybą. Patrzyłam na nią nieprzekonana, mrużąc oczy przed ostrym słońcem.

— No chodź, durnoto. Nic ci nie zrobię — wywróciła oczami. Poczułam, że nie mogę wymiękać, choćbym miała skończyć w trzcinach. Przeturlałam się na brzuch koło niej i niepewnie wychyliłam głowę poza pomost. Niezdarnie przysunęła się bliżej mnie, tak blisko, że stykałyśmy się bokami, objęła ramieniem moje rozgrzane łopatki.

— Popatrz na odbicie chmur w wodzie. Są zniekształcone, zupełnie inne niż te na niebie. Widzisz to?

Nie rozumiałam, co miała na myśli. Dlaczego nagle zaczęła gadać o chmurach? Jedyne co zaprzętało mój umysł, to ciepło ciężkiej ręki na moich plecach. Patrząc na gładką taflę i przepływające po niej obłoki, odpowiedziałam:

— Nooo.

Ona, niezrażona moim „zaangażowaniem”, kontynuowała:

— Słońce jest dziś za ostre, by gapić się w niebo, ale to odbite w jeziorze też ma swój urok.

Wtedy spojrzała na mnie i obdarowała mnie tym swoim durnym zaciśniętym uśmiechem. Jakby czekała, aż zachwycę się myślą o gapieniu się w niebo. Nadal nie rozumiałam, ale poczułam się cudownie lekko i błogo. Jedyne co mogłam zrobić, to odwzajemnić uśmiech.

Wyciągam dłoń z wody. Pozwalam tafli na nowo się zasklepić.

W odbiciu nieba, pośród zniekształconych chmur, szukam dziś jej obecności.

JUSTYNA GRACZYK

Co pokazało lustro Chantal?

Księżna Chantal siedziała przed lustrem swojej toaletki, ciesząc się z tego rzadkiego momentu, kiedy nie miała na sobie ciasnej sukni opinającej jej sylwetkę. Drzwi balkonowe były otwarte, jednak czuła, jakby mimo tego, do pokoju nie wpadała wystarczająca ilość powietrza. Zapaliła swoją ulubioną waniliową świeczkę, rozkoszując się aromatem, który kojarzył się jej z czasami, kiedy jeszcze nie myślała, że będzie mieszkać w tym pięknym, pałacowym pokoju. Jej toaletka była zastawiona licznymi flakonikami i buteleczkami, które służba bała się porządkować, bo tylko Chantal znała ich dokładną zawartość i należne im miejsce. Spojrzała w lustro widząc swoją twarz, na której igrały płomienie świecy. Jej odbicie przecinała purpurowa wstążka, która wisiąca bez szczególnego przeznaczenia, przytwierdzona do ramy lustra. Wstążka na pierwszy rzut oka nie wydawała się niczym szczególnym. Co prawda był to kawałek najlepszego jedwabiu, którego nawet ząb czasu nie pozbawił intensywnego koloru, ale w gruncie rzeczy, Chantal mogła mieć na pęczki kokardek lub nawet powiem więcej – mogła liczyć na dużo lepsze i droższe ozdoby. Jednak ta kokarda była bliska jej sercu, bo była jedynym prezentem, który jej pozostał po dawno utraconym marzeniu. I choć księżna nigdy nie uważała się za osobę sentymentalną, nie była w stanie pozbyć się tego wspomnienia.

Powiodła wzorkiem po swoich eleganckich flakonikach, zastanawiając się, od czego dzisiaj zacząć. Na chwilę jej wzrok padł na niepozorną karafkę, w której zamknięty płyn miał kolor prawie dorównujący barwie jej ulubionej wstążki. Chantal mimo woli przestała go na tył kolekcji, żeby nie przypominał jej o tym, o czym nie powinna pamiętać. Sięgnęła za to po swój ulubiony olejek i powolnymi ruchami zaczęła masować skórę twarzy i szyi. Poczuła nieprzyjemne ukłucie, gdy patrząc w swoje niegdyś nieskazitelne odbicie dostrzegła pierwsze zmarszczki i siwe włosy. Dla kobiety jej pozycji starzenie było wyjątkowo ciężkim doświadczeniem. Ale czas nie pyta o twój status, czy pragnienia, tylko biegnie nieuchronnie przed siebie. Niedługo będzie musiała opuścić ten pokój, a w to lustro będzie wpatrywała się młoda Pavae, przyszła narzeczoną jej syna. Dziewczyna o oliwkowej skórze swojej matki i przepięknych oczach dokładnie takich jakie miał...

Pukanie do drzwi wytrąciło ją z równowagi. Zakręciła olejek i odstawiła go na swoje miejsce. Nie spodziewała się o tej porze żadnych gości, nie była też w stroju pozwalającym jej na ich przyjmowanie. Dawno też minęły czasy, kiedy to dzieliła pokoje razem z mężem, dlatego bardzo się zdziwiła, gdy po zawołaniu przez nią „wejść”, w drzwiach pojawił się Alfredo. Miał rozpięty kaftan i pomiętą koszulę, włosy w nieładzie, oczy mocno podkrążone, a w kącikach ust ślady wina. Wraz z nim do pokoju wkradł się zapach potu i alkoholu. Odwróciła od niego wzrok, patrząc z powrotem na swoje odbicie. Widziała swój nieprzenikniony wyraz twarzy odbijający się w lustrzanej tafli i purpurową wstążkę, której uchwyciła się jak kotwicy.

— Cemu zawdzięczam tak późną wizytę? — zapytała nie patrząc na księcia.

Ten najpierw odchrząknął. Wyglądał, jakby nie czuł się komfortowo w sypialni własnej żony.

— Przyszedłem... bo martwię się o Leo.

Dopiero teraz zamknął za sobą drzwi, ale dalej stał pośrodku nie mogąc znaleźć sobie miejsca. Chantal nie miała zamiaru ułatwiać mu zadania.

— Nasz jednak to ostatnio dość częsty temat, który spędza mi sen z powiek, ale nie musisz się nim martwić. Uważam, że obecnie mam wszystko pod kontrolą.

Do ślubu wszystko było przygotowane. Jedyne, czego się obawiała to, czy pan młody dotrze na własne wesele.

Księżę przestąpił z nogi na nogę. Spojrzał przez okno na miasto, potem z powrotem na żonę. Ta w końcu oderwała wzrok od lustra, które stało się dla niej niejako tarczą przed własnym mężem i odwróciła się do niego. Starła się zachować kamienny wyraz twarzy.

— Czy jeszcze masz do mnie jakąś sprawę? — zapytała z pełną wyniosłością księżnej. Sprawiała, że nawet Alfredo czuł się czasami przy niej mały i głupi. Ponownie odchrząknął.

— Nie... — odparł, uciekając od niej wzrokiem.

Chantal wstała. Również powiodła wzrokiem po mieście pogrążonym we śnie. Ostatecznie z powrotem wróciła spojrzeniem do swojego odbicia. Potrzebowała teraz sprzymierzeńca. A przez ostatnie lata mogła liczyć tylko na tę kobietę, która spoglądała na nią z drugiej strony lustrzanej tafli.

— Dobrze — zaczęła. — W takim razie ja chciałabym poruszyć pewną kwestię. — Zebrała się, żeby z powagą spojrzeć na męża, który wyglądał na bardzo spłoszonego. — Florance — wydusiła i tylko ona jedna widziała, jak ciężko przeszło jej przez gardło to imię ciotki narzeczonej syna i jednocześnie kochanki jej męża. — Uważam, że jej obecność w pałacu uwłacza mojej godności.

— Nie wiem, o czym mówisz — odparł szybko księżę, ale Chantal nie dopuściła go do głosu.

— Doskonale wiesz. Jestem skłonna wiele znieść dla dobra tej rodziny i spokoju w naszym mieście, ale wystawiasz mnie na zbyt wielką próbę.

Księżę zaśmiał się, jakby opowiedziała kiepski dowcip.

— To chyba nie będzie nietakt, jeśli przypomnę ci próbę, na jaką ty wystawiłaś mnie z Gasparem.

Chantal poczuła, jakby ktoś ścisnął ją za gardło.

— Było to na tyle dawno, że nie masz prawa mi tego wypominać — odparła dalej spokojnie, chociaż była już na granicy. — Poza tym skutecznie rozprawiłeś się z problemem, czyż nie?

Zapadła cisza, nie poruszali tego wątku od lat. Jeśli coś w pałacu było tematem tabu, to on znajdował się na pierwszym miejscu tej listy.

Księżę pokręcił głową z dezaprobatą, jakby jego żona naruszyła jakieś niepisane zasady.

— Jak bardzo Pavae ci go przypomina? — wbił szpilę tak mocno i głęboko, że nawet Chantal z trudem zachowała spokój.

— Nie bardziej niż Olive... — pożałowała, że to powiedziała, widząc satysfakcję na twarzy męża.

Była to okrutna ironia losu, że musieli wybrać dla syna narzeczoną, która była córką jedynej prawdziwej miłości księżnej Chantal, z której musiała zrezygnować dla korony.

— A więc tu jest pies pogrzebany — zauważył z triumfem Alfredo. — Boli cię tak bardzo, bo to jego córka, ale z inną...

— To nie ma nic wspólnego z Florance i naszą sytuacją — ucięła. — Czy mam zastosować podobne środki zaradcze, jakie ty użyłeś wobec niego?

Alfredo wyglądał, jakby chciał ją uderzyć. Na szczęście nie był z tych, co się wyżywają siłą na swoich żonach. Zaciśnął ręce w pięści aż pobiełały mu kłykcie.

— Dobranoc Wielka Księżno, nie zapomnij, że twój tytuł jest zależny od mężczyzny, który nosi koronę.

Alfredo wychodząc trzasnął za sobą drzwiami, a Chantal wpatrywała się jeszcze przez kilka minut we własne odbicie. Gdyby jeszcze miała w sobie łzy, pewnie by się rozpłakała. A tak, patrzyły na siebie jej dwie wersje — dojrzała i pewna siebie księżna Chantal pławiąca się w luksusach i zaszczytach oraz młoda Chan, która kiedyś kochała na tyle mocno, że była w stanie zrezygnować z korony, pozycji i przepychu. Jednak niestety nigdy nie otrzymała okazji ku temu, żeby zakosztować tej innej drogi. Może wtedy żadna z jej wersji nie miałaby nieobecnych oczu zagubionych gdzieś w utraconej przeszłości i niemożliwej do zrealizowania przyszłości? Ale tego już ani jedna ani druga Chantal się nie dowiedzą.

KAMILA KAMIŃSKA

Cerebrum

Pożółtkły kamper zaparkował zderzak w zderzak z minibusem na gdyńskich tablicach. Choć silnik już zgaśł, muzyka wciąż dobiegała z kabiny. O Mio Babbino Caro niosło się po dolnym pokładzie Stena Line. Turyści wypakowywali się tłumnie z samochodów osobowych i tłoczyli w kolejce na górny pokład. Przeważali ci głodni, zmęczeni podróżą. Inni, żądni uciech i alkoholu, co też oferował całonocny bar. Nim prom opuści Zatokę Gdańską zdążą się znieczulić, by przetrwać kołysanie.

— Przepraszam, upuściła pani — młoda kobieta podniosła pęk kluczy z kolorowym brelokiem.

— Och, dziękuję, taka gapa ze mnie — szatynka w okularach uśmiechnęła się serdecznie.

— Nie ma sprawy, piękny breloczek.

— Pamiątka znad jeziora Como. Właśnie wracamy z wakacji objazdowych po Europie. A pani na wakacje, czy biznesowo? — zagaiła z lekkością.

— Powrót na uczelnię. Nie wyłącza pani muzyki? Akumulator nie siądzie?

— Och nie, to moja córka. Eryka, kochanie — to mówiąc, uchyliła drzwi kampera — chodźmy na obiad.

Na oko dwunastoletnia blondynka wychyliła się z naburmuszoną miną.

— Jeszcze chciałam poćwiczyć — żachnęła.

— Na wszystko przyjdzie czas. A może dotrzyma nam pani towarzystwa? — to mówiąc, szatynka zwróciła się do nieznajomej — jestem Anna, a to Eryka.

— Bardzo mi miło, Dorota — wyciągnęła dłoń w kierunku matki i córki — Czemu nie. Chętnie posłucham o waszych wakacjach.

— Zawsze bezpieczniej podróżować z kimś — Anna mrugnęła porozumiewawczo, wskazując na minibus, z którego wysiadło kilku mężczyzn w roboczej, odblaskowej odzieży.

— I co? — Komarnicki stał mocno zniecierpliwiony — to on?

Tkanka miał kolejne ciastko i w skupieniu lustrował ostatnie akapity. Uspokajającym gestem dłoni zatrzymał dalsze pytania prokuratora.

— Miruś, przejdźmy do biura. Tam mam pozostałe teczki — w konspiracji rozejrzał się po zimnej sali — ściany mają uszy— dodał już ciszej.

Mirosław Komarnicki jeszcze rok temu dostałby piany na zdrobnienie swojego imienia. Tkanka nigdy nie był jego bliskim przyjacielem. Doktor wzbudzał w nim wysokie amplitudy uczuć. Współpracowali, szanował go za świetne oko w tym fachu, ale zarazem nie mógł znieść jego przemądrzałego tonu, często gęsto niestosownych żarciów, zdrobnień właśnie i skracania dystansu, na który Komarnicki lubił ludzi trzymać. Bez wyjątku.

Gabinet Tkanki wyglądał bardziej na stary składzik. Prokurator nie raz zachodził w głowę, czemu doktor nie przyjął posady rektorskiej na GUM—edzie, albo nie przeszedł jeszcze na emeryturę. Ściany zdobiły pożółkłe plakaty anatomiczne, półki z wypreparowanymi częściami, których Komarnicki wolałby nie oglądać z bliska, a na jedynym regale stało nierozpakowane pudło z dyplomami, nagrodami i innymi zakurzonymi artefaktami Tkanki. Kto inny wywiesiłby swoje precjoza na ścianie, aby od samego wejścia kłuły zazdrośników w oczy. Tymczasem jedynym śladem Tkanki była fotografia z grupą studentów. Wszyscy trzymali w zębach ogryzione margaretki, a w ręku paczki z resztą ciastek. Na środku, między roslętymi chłopakami, stał głupkowato wyszczerzony doktor. Podciągnięte, czarne skarpety podkreślały biel i chudość jego łydek. Nie zabrało Kubotów i białego fartucha. Komarnicki poczuł, że zazdrości mu tego luzu, tym bardziej, że podbicia stóp zapiekły go w jeszcze sztywnych, nowych butach.

— Nie będę cię fatygował do chłodni, spójrz na zdjęcia sekcyjne— Tkanka rozłożył fotografie na porysowanym blacie.

Prokurator rozpiął guziki szarej marynarki i pochylił się przy biurku.

— Po lewej masz typowe zdjęcia kraniotomii. Z mniejszym lub większym dostępem do mózgu pacjenta. Najczęściej rozcina się płat czołowo—skroniowy lub kość ciemieniową. Spójrz na brzegi cięcia— Tkanka postukał palcem w drugą fotografię— są gładkie. Na środku masz zdjęcie po rozłupaniu czaszki wskutek wypadku komunikacyjnego, a tu obok po upadku z dużej wysokości. Pęknięty arbuz. Nieregularne linie, wyszczerbione i rozkruszone brzegi. Po prawej twoje klientki.

— Denatki Tkanka, denatki— Komarnicki nie omieszkał poprawić doktora.

— Denatka z Wrocławia, ta z Torunia, a tu denatka z Gdańska— niezrażony kontynuował— wydrukowałem też te z Europy, żeby porównać ugryzienia.

— Jakie kurwa ugryzienia? — Komarnicki uniósł gęste brwi ponad ramkę okularów.

— Wszystkie ofiary mają charakterystyczne ślady zębów na brzegach kości potylicznych. Zarówno z lewej, jak i z prawej strony.

— Chcesz powiedzieć, że to jakieś zwierzę? — prokurator aż parsknął.

— Zwierzę, oj Mirek, my też nimi jesteśmy. Tylko nasza żuchwa nie pozwala na objęcie takiego obszaru jaki wygryziono. DNA najpewniej ze śliny jest ludzkie. Jaki macie profil sprawcy?

— Makaroniarze uważają, że to mężczyzna, mizogin, nienawidzi kobiet, szczególnie tych młodych, zdolnych. Rozłupuje głowy przy użyciu ostrego narzędzia. — Komarnicki wyjął mapę z zaznaczonymi punktami— pierwsza o której wiemy była w Bolonii, doktorantka katedry dziedzictwa kulturowego. Podróżował na północ. W Modenie zabił pracownicę UNESCO, w Parmie zaatakował lokalną malarkę. Nim Włosi zauważyli schemat, zdążył przejechać przez Piacenzę i Mediolan. Zamordował cenioną psychiatrę i multiinstrumentalistkę. Zaczaili się przy Como sądząc, że to jego trasa, ale nic się nie wydarzyło. Wyłynął miesiąc później w Zurychu. Tu zabił doktor ekonomii, w Monachium nieletnią, laureatkę olimpiady matematycznej. Kolejno w Lipsku neurobiolożkę, we Wrocławiu stypendystkę z Czech. Tu poetka z Torunia, no i nasza gdańska radna. Jedyne co je łączy to zbliżony wiek i płeć. Myślisz, że on te mózgi kolekcjonuje? Upewnij mnie, one są wyrwane, a nie wycięte, czyli nie ma zaplecza chirurgicznego?

— Na pewno nie wycięte. Wyrwane, wygryzione, zwał jak zwał. Gwałtownie. Ewidentnie rozsmakował się w kobiecych głowach. — Tkanka dumał przez chwilę— a jeśli to kwestia diety, albo badań?

— Sugerujesz, że człowiek, który otwiera paszczę jak lew, zjada ich mózgi? To niedorzeczne. I czemu akurat kobiece? — Prokurator czuł już pulsującą opaskę bólu. Jeśli zaraz nie weźmie leków migrena rozgości się na dobre.

— Anatomicznie są mniejsze od męskich, ale gęstsze w neurony. Mają też większe ciało modelowane, to to łączące obie półkule. Smakowo chyba bez różnicy. Nawet, gdyby był koneserem, to mózdzki wieprzowe nie wymagałyby tak dalekich podróży. Tu idzie o coś więcej.

— Makarony twierdzą, że to zbrodnie z nienawiści. — Prokurator uniósł okulary i przetarł zmęczone oczy.

— DNA jest żeńskie. — Tkanka popatrzył w szare oczy prokuratora— kazałem sprawdzić ponownie. To kobieta. Pewnie dlatego łatwiej jej podejść ofiary. Atakuje od boku. Na naszych klientkach nie było śladów obronnych. Nic pod paznokciami, żadnych zadrapań. Tak jakby się nie spodziewały zagrożenia. Zalecałbym sprawdzić pozostałym dziewczynom brzegi kości pod kątem obcego DNA.

— Denatka, nie klientka— Komarnicki przygryzał dolną wargę— powiadomię Interpol.

— Niesamowite, bardzo chciałabym zwiedzić Włochy, ale wiecznie brakuje czasu — Dorota uśmiechała się do zdjęć w telefonie dziewczynki.

— Warto, żadna szkoła nie da tyle co podróżowanie, prawda Erysiu — Anna przymiliwie uśmiechnęła się do córki.

Ta, poważna przez cały obiad, zmroziła matkę błękitem oczu.

— Jedz, jedz, na pewno jesteś głodna— Anna trajkotała niezrażona.

— Nie jestem głodna. Dasz mi klucz do kampera? Chciałam się jeszcze pouczyć— wycedziła.

— Rozumiem, też lubiłam się uczyć— Dorota uśmiechnęła się niepewnie — jesteś bardzo rezolutną dziewczynką.

— Och, czasem zachowuje się jakby pozjadała wszystkie rozumy— Anna wybuchła perlistym śmiechem— ale w porządku, idź, tylko zamknij drzwi od środka. Potem przyjdziemy z panią Dorotką...

Cdn.

KAROLINA KULIKOWSKA

Maevel

— Jeszcze... jeddddno... — powiedziała Lajla do Tarla, barmana.

— Laj, chyba ci już starczy... — powiedział zaniepokojony krasnolud, patrząc na nią zza wypolerowanej, dębowej lady.

— A ty od kiedy nie chcesz zarobić — hik! — więcej na pijanej klienteli? — oburzyła się, czkając.

— Od kiedy niektórych z nich lubię. I się martwię. Ale jak będziesz mnie wkurzać, to mogę jeszcze zmienić zdanie — odrzekł, udając urażenie.

— Taaaa... dobry, stary Tar... — podsunęła mu sugestywnie pusty kufel.

Tarl westchnął głęboko, odebrał naczynie i bujając się na boki, poszedł je napełnić. Z nagle otwartych drzwi wtargnął powiew świeżego powietrza, chwilowo ożywiając Lajlę. Gdy odruchowo spojrzała w ich stronę, dojrzała średniego wzrostu brunetkę w jasnych ciuchach, zmierzającą w jej stronę. Wyglądały jak Yin i Yang — ona z ciemnymi włosami i jasnymi ubraniami, a Lajla odwrotnie: jasne włosy i czarne odzienie.

— Hej, Mag... — rzuciła do nadchodzącej szybkim krokiem kobiety.

— Nie „hej” mi tu. Myślałaś, że cię tu nie znajdę?

— Nie myślałam. Po prostu... przyszłam. Nie mogłam siedzieć sama w domu — odrzekła smętnie, bawiąc się końcówkami swoich blond, kręconych włosów, jak zawsze, gdy zatapiała się w myślach.

W tym momencie podszedł Tarl z napitkiem.

— Tarl, jak możesz jej jeszcze pomagać w tym procederze! — oburzyła się Mag. — Przecież o tym rozmawialiśmy!

— Wiem, Mag... — odrzekł speszony krasnolud. Jednak szybko odzyskał spokojną pewność siebie. — Wiem. Ale uznałem, że skoro u ludzi trzydzieści lat na karku to dorosłość, jak twierdzicie, to nie mogę jej zabronić, a wolę, żeby ewentualnie ululała się tu, gdzie mam ją na oku, niż w jakiejś podejrzananej mordowni u gnomów — wzdrygnął się na samą myśl. O gnomach, nie że by się gdzieś indziej ululała.

— Hej! Ja tu jestem, wiecie? I was słyszę! — oburzyła się Lajla.

— Jakbyś się racjonalnie zachowywała, to tak byśmy cię traktowali — skarciła ją Mag.

— Jakbym JA się racjonalnie zachowywała?! — zaczęła krzyczeć Lajla. — To ON zachował się nieracjonalnie! Czemu na niego nie krzyczysz, co?! — Łzy wściekłości stanęły jej w oczach. Mag i Tarl jednocześnie opuścili ramiona i posmutnieli.

— Wiem, kochanie... wiem...

— Co wiesz? Czy tylko ja jeszcze o nim myślę? Pamiętam?! — dalej krzyczała wstawa blondynka. Goście w tawernie zaczęli się na nią oglądać, ale ona miała ich gdzieś. Od pewnego czasu wszystko i wszystkich miała w głębokim poważaniu. Nic nie było ważne, pilne, żadne. Było wyblakłe, szare. Nijakie. A czasem obrzydliwe. A im bardziej coś było pozytywne, tym bardziej wstrętne było. Od kiedy on...

— Nie — odpowiedziała krótko, ale delikatnie jej przyjaciółka. — My też pamiętamy. Ale życie toczy się dalej. Twoje też powinno.

Lajla nie odpowiedziała. Życie toczyło się dalej, widziała to przecież. Tarl codziennie otwierał tawernę, Mag pracowała w księgarni, do miasta codziennie przyjeżdżali nowi poszukiwacze skarbów z całego Faerûnu. Ale dla niej wszystkie dni były jak jeden, okropnie długi, okropny dzień, od kiedy... Nie, nawet w myślach nie była w stanie tego nazwać, ubrać w słowa. Bo jeśli to robi, to będzie jak zaklęcie — stanie się to prawdziwe. Nie była magiem ani zaklinaczem, była bardką. Ale od tamtego dnia ledwo mówiła, ledwo wydawała jakiejkolwiek dźwięki, a muzyka była ostatnim, na co miała ochotę.

— Laj... dlatego przyszłam. Spotkałam w księgarni kogoś, kto... może pomóc.

— Pomóc? Jak? Chyba nie sugerujesz...

— Nie. Tego nie robi. Ale może tobie pomóc.

— Proszę cię, jak to kolejna akolitka, która zacznie mi prawić kazania na temat tego, że niby każde z bóstw ma jakiś pieprzony plan, to obiecuję ci, że się na nią zrzygam tym rozwodnionym piwem Tarla.

— Ciiii! — uciszył ją krasnolud. — Jak śmiesz tak mówić o moim towarze?! Przy innych klientach? — rozejrzył się szybko, czy nikt ich nie słyszy, ale gwar rozmów i wstawionych chichotów był tak duży, że tylko elfy mogłyby coś wyłapać z ich rozmowy, ale akurat żadnego nie było.

— Oj, proszę cię, wiem, że specjalnie moje trunki rozwadniasz, jak myślisz, że nie widzę, żebym dłużej tu siedziała i piła pod twoim czujnym okiem — przewróciła oczami, ale zaraz potem dodała z wdzięcznością: — Dziękuję. Wiem, że to z troski. Nawet jeśli to wkurzające i protekcyjne.

Krasnolud mruknął coś w brodę i się lekko zarumienił. Bycie troskliwym, według niego, popsułoby mu reputację.

— To żadna akolitka. W sumie nie wiem, kim jest, ale musimy już iść. — Wzięła Lajlę za rękę i zaczęła ją ciągnąć w stronę wyjścia.

— Ale... gdzie...

— Po prostu chodź. To taka... impreza.

— Nie mam ochoty na imprezy — kąśliwie rzuciła Lajla, stawiając lekki opór. Mag stanęła i spojrzała na nią.

— Proszę. Dla mnie. Dla Tarla. Jeśli to nie pomoże... dam ci spokój. Przynajmniej na jakiś czas. — W oczach przyjaciółki tlił się żar determinacji, troski i smutku. Lajla zastanowiła się. Wiedziała, jak się czuje, wiedziała, dlaczego, ale nie chciała nigdy dokładać najbliższym.

— Dobrze... dla was. Ale nie oczekuj entuzjazmu.

Mag uśmiechnęła się lekko i ruszyła dalej. 15 minut później skręciły w cichą uliczkę, oświetloną jedną latarnią, i zapukały do niepozornego domku, który Lajla by ominęła, gdyby Mag nie zobaczyła numeru podanego jej przez tajemniczą nieznajomą.

Drzwi w kolorze nijakiego brązu — ani jasnego, ani ciemnego — otworzyły się i weszły do szarego, oświetlonego tylko jedną lampą korytarza, wyłożonego szarym dywanikiem. Do środka zaprosiła je kobieta ubrana w luźną, srebrną suknię, z długimi blond włosami przetykanymi srebrzystymi pasemkami. Jasne oczy i specyficzne podpięcie w okolicy uszu sugerowały Lajli, że jest co najmniej półelfką, jeśli nie jakąś nieznaną jej dotychczas odmianą elfa.

— Mag, cieszę się, że przyszlście — przywitała je gospodyni, a jej głos był jak milion srebrnych dzwoneczków poruszanych wiatrem w oświetloną przez księżyc w pełni noc. — Witaj, Lajla, mam na imię Sylvie. Mag mówiła, że... nasze spotkanie może być pomocne. — Uśmiechnęła się delikatnie. — Chodźcie, reszta gości już jest.

Poprowadziła je do niedużego pokoju, gdzie zebrali się kilkanaście osób, obecnie częstujących się przygotowanymi zakąskami i popijających lśniący srebrzysty płyn. Kilka osób spojrzało z ciekawością w ich stronę, reszta jednak skupiła się na swoich konwersacjach bądź przeżuwanii. Lajla wiedziała jedno: nie chciała tam być. Jak Mag mogła to zrobić? Jak mogła ją wziąć na jakąś imprezę? Wiedziała, że kontakty towarzyskie i bycie jakkolwiek miłym to ostatnie, co mogłaby chcieć robić.

— Kochani, jesteśmy już w komplecie, więc pomóżcie proszę dziewczynom coś zjeść i podajcie im ich napoje, na pewno są spragnione.

Lajla chciała zaprzeczyć, ale nagle poczuła, że ma ochotę na przekąskę i faktycznie chce jej się pić. Zdziwiła się, ale stwierdziła, że ostatnio nieregularnie i niezdrowo się odżywia, więc może po prostu nie zauważyła. I przynajmniej jedząc, nie będzie musiała rozmawiać. Skoro Mag chciała tu być, to niech ona weźmie na siebie towarzyskość, a co!

Po spożyciu kilku rozptylających się w ustach pasztecików z nieznanym, ale przepyszным nadzieniem, i popiciu srebrnym trunkiem — nikt nie wiedział, co to właściwie było, ale działał kojąco i orzeźwiająco zarazem — rozejrzała się szybko po uczestnikach — połowa to ludzie, troje krasnoludów, dwie gnomki, kilka mieszanek,

których nie mogła rozpoznać, bo w pokoju panował mrok i szczegóły nie były dobrze widoczne. W tym przestronnym pokoju okna były tylko trochę zasłonięte grubymi, jasnymi zasłonami, tak że do środka, prawie na środek pokoju, padało eteryczne światło księżyca w pełni. Poza tym paliły się świece, a pod ścianą leżał stos srebrnych poduszek. Nie było żadnych ozdób ani mebli poza stołem z przekąskami i piciem.

Nagle Sylvie wyszła na środek pokoju i, mimo że nie wydała przy tym żadnego odgłosu, rozmowy ucichły i wszystkie oczy zwróciły się w jej stronę.

— Kochani, już czas. Przyszliście tu, bo macie jakiś problem, bo kogoś utraciliście. Jak część z Was wie, posiadam talent, dzięki któremu raz w miesiącu, w czasie pełni księżyca, mogę pomóc ludziom spotkać się ze zmarłymi bliskimi.

Lajla wciągnęła głęboko powietrze i z niedowierzaniem spojrzała na Mag, która w odpowiedzi kiwnęła głową i uśmiechnęła się do niej łagodnie.

— Ale... jak to możliwe? — Nie mogła się powstrzymać i zadała na głos pytanie gospodyni.

— To nie żadna sztuczka, to coś, co potrafimy w moim klanie od pokoleń — odparła, patrząc jej w oczy, w których tliły się isierki — smutku? Żalu?

Lajla zaczęła myśleć, jaka musi być cena takiej usługi, i pomyślała, że albo to coś bardzo złego, albo jej na to nie stać. Sylvie, jakby czytając jej w myślach, kontynuowała:

— Większość z Was już wie, że jedyną opłatą, o jaką proszę, jest jedna sztuka złota od Podróżnika. W końcu składniki na poczęstunek same się nie kupią... — dokończyła z uśmiechem, a po sali poniósł się dźwięk chichotu pomieszanego z ulgą.

— Podróżnika? — jak echo powtórzyła Lajla.

— To osoba, która wybierze się na spotkanie, a tu czuwać przy niej będzie Latarnik, czyli bliska osoba, która będzie nam wskazywać drogę powrotną. Dla Ciebie to będzie Mag.

Dziewczyna była oszołomiona. Emocje zaczęły się w niej kotłować jak fale w czasie sztormu. Ale słuchała dalej.

— Weźcie proszę po poduszce dla każdego Podróżnika, wybierzcie miejsce na podłodze, połóżcie się na wznak z poduszką pod głową, a każdy Latarnik niech usiądzie obok.

Tłumek zaczął posłusznie wykonywać polecenia. Lajla, oszołomiona, nawet nie zdążyła ruszyć, a Mag już delikatnie głaskała ją po ramieniu, uspokajająco zapraszając ją do położenia się na poduszce, którą przyniosła. Czując się jak w jakimś surrealistycznym śnie, dziewczyna po prostu zrobiła, o co ją poproszono.

Gdy już wszyscy zajęli swoje pozycje i zapadła cisza, Sylvie znów przemówiła, a z perspektywy, z jakiej widziała ją Lajla, otoczona księżycową poświatą, wyglądała aż nierealnie, efemerycznie, jakby cała była z księżycowego światła. Była nieziemsko piękna, jakby utkana z magii.

— Podróżnicy, poczujcie smutek w waszych sercach, on wypełnia was ciemnością. Niech księżyc i jego światło zaprowadzą was tam, gdzie jest wasze przeznaczenie, abyście porozmawiali z osobą, którą utraciliście, a z którą musicie porozmawiać. Dzisiaj Selûne osobiście będzie waszą Przewodniczką i wskaże wam drogę do uzdrowienia waszych serc. Zaufajcie jej, albowiem chce dla was dobrze. Ona najlepiej potrafi odnaleźć drogę w ciemnościach, również tych, które w was się znajdują. — Kojący głos Sylvie coraz bardziej się oddalał, powieki Lajli opadły, aż poczuła delikatnie, że ktoś chwyta ją za dłoń, a potem odpłynęła w ciemność.

Kiedy otworzyła oczy, znajdowała się w parku, a nad nią lśniło rozgwieżdżone niebo. Za nią znajdowała się ściana z żywopłotu, którego boki znikały w gęstej mgle. Przed nią rozciągała się trawiasta alejka, lśniąca w świetle gwiazd, dużo jaśniejszym niż powinno być, biorąc pod uwagę brak księżyca na niebie. Droga prowadziła do dużej fontanny, otoczonej krzakami kwitnących białych róż, których słodki aromat łaskotał dziewczynę w nos. Zaczęła iść, powoli, krok za krokiem. Nagle, gdy była już mniej więcej w połowie drogi, wydawało jej się, że ujrzała jakiś ruch za fontanną. Zamarła. Czyżby to była prawda, czy on tam czekał?

Ocean bólu i furii przelał się przez jej całe ciało, od głowy, przez serce, zaciśnięte nagle pięści, aż po mięśnie nóg, które nie mogły się zdecydować, czy biec, czy stać. Z jej oczu popłynęły łzy, gorące niczym lawa, a z każdą kolejną czuła, jak zaczyna dawać upust tym wszystkim uczuciom, myślom, słowom, wspomnieniom...

Jak się poznali.

Jak chodzili razem do szkoły.

Jak byli w jednej paczce.

Jak się przyjaźnili.

Jak rozmawiali o wszystkim, dosłownie — nie było dla nich tematu zbyt błałego bądź zbyt trudnego. Poza jednym. Poza tą jedną blizną na jego przedramieniu. Maevel nie chciał o tym mówić, a ona chciała go uszanować.

Byli podobni i różni jednocześnie, ale wiedziała, że jest jedna, największa różnica pomiędzy nimi: ona kochała życie, celebrowała je i przez to obawiała się śmierci. On ze śmiercią flirtował, słyszał ją, czuł, tęsknił za nią. Wiedzieli to odkąd się znali. Ale jakie dzieciaki, nastolatki o tym rozmawiają? Skąd mają wiedzieć jak?

I mijały lata, oddalili się od siebie, jak to w życiu bywa, ona miała kogoś, on też. Ale zawsze gdy się widzieli, ich wewnętrzne dzieci biegly do siebie stęsknione i znów, nawet po długim czasie, potrafili kończyć po sobie zdania.

A potem zdradził Lajlę. Bo tak to odczuwała. Wybrał tamtą, zamiast niej, zamiast ich wszystkich, zamiast swojej narzeczonej.

Wybrał Śmierć.

Gdy się o tym dowiedziała, Lajli pękło serce. Poczula się zdradzona, oszukana, zostawiona, pusta, pełna wyrzutów sumienia, żalu, tęsknoty i złości. Nie zostało w niej nic ze światła, którym emanowała przed tym wydarzeniem. Minął prawie rok od tego zdarzenia, ale ona nie mogła się nawet lekko uśmiechnąć, chyba że sarkastycznie. Drażniło ją wszystko, co wcześniej ją cieszyło i sprawiało, że uważała, iż świat jest taki cudowny – śmiech, muzyka, powiew wiatru, promienie słońca, zapach kwiatów.

Jak miała się tym cieszyć, jeśli jej przyjaciela nie było, skoro go zawiodła? Na pewno mogła zrobić więcej, powiedzieć więcej, widzieć więcej... Na pewno. Gdyby tylko spojrziała dokładniej, słuchała uważniej, interpretowała lepiej... Gdyby tylko.

Te myśli kołatały się jej w głowie codziennie, naprzemiennie z furią, jaką czuła do Maevela za to, co zrobił.

Za to, że rozmawiali tego dnia, przyszedł do niej, powiedział, że rozmowa z nią zawsze go uspokaja, a ona, głupia, ucieszyła się! Byli umówieni na spotkanie dwa dni później i Lajla już myślała, co dobrego ugotuje, żeby podnieść go na duchu, bo widziała, że coś mu siedzi na duszy, ale wyszedł od niej uśmiechnięty i spokojny.

A potem przyszedł wieści.

Jak mógł... Jak mógł?! Dlaczego?! Wściekłość wygrała nad smutkiem, dotarło do niej, że w końcu ma sposobność zadania mu tych wszystkich pytań, wykrzyczenia mu prosto w twarz, co zrobił, co ona o tym myśli i jak się czuje. Ruszyła pędem w kierunku fontanny.

Gdy dobiegła na miejsce, ledwo dostrzegła, jak wielkie są pęki róż i że nie są wcale białe, a srebrne. Fontanna okazała się ogromna, a na jej środku stał posąg kobiety trzymającej dzban, z którego wylewała się skrząca się srebrnymi iskierkami woda.

– Wyłaż! Wyłaż, ty tchórzu! Jak mogłeś to zrobić, jak mogłeś mnie tak zostawić?! Wiem, że tu jesteś! Sylvie powiedziała mi, że cię tu spotkam, draniu!

Ku jej zdziwieniu zza posągu dobył się głos... kobiety.

– Dokładniej to powiedziała, że spotkasz się z osobą, którą utraciłeś, a z którą musisz porozmawiać. I tak się stało.

Postać powoli wyłoniła się zza fontanny, ubrana w czarną suknię, ale w przeciwieństwie do wszechobecnego w tym miejscu srebra, wszystkie dodatki do ubioru miała złote, a w uszach lśniły kolczyki w kształcie słońca, ledwo wystające spośród kręconych blond włosów. Lajla знаła te włosy. To były jej włosy. Osoba, która podeszła, to... ona sama?

– Co u licha... – zaczęła zszokowana, a żar wściekłości na chwilę przycichł. – To jakiś głupi żart? Gdzie Maevel?

– Nie ma go tu – odparła łagodnie jej rozmówczyni.

– To po cholere tu jestem?! Miałam się spotkać z nim! – znów zalana wściekłością

zaczęła krzyczeć. Szum fontanny jakby się wzmógł wraz ze wzrostem jej głośności, jakby próbując ją ukoić swoją wodną muzyką.

— Nie. Już mówiłam, że...

— Tak, tak, słyszałam — przerwała jej zirytowana Lajla. — Ale to nie ma sensu. Ja jestem. Jak widać. To ja tu przyszłam. Więc o co tutaj chodzi?

Jej sobowtórka zaczęła powoli, miarowym, miękkim krokiem zbliżać się w jej stronę.

— Naprawdę sądzisz, że... jesteś? Że to Ty? — dziewczyna nie odpowiedziała, osłupiała, więc rozmówczyni kontynuowała:

— Spójrz na siebie. Spójrz w głąb siebie. Jesteś tam w ogóle? Lajla, która była, żyła, a od miesiący jesteś niczym pusta skorupa, niczym nieumarli, których poszukiwacze przygód tak się obawiają i pokonują w lochach. Nie ma w Tobie życia, umarłaś, chociaż Cię nie pochowali...

Lajla poczuła łzy w oczach i żar niesprawiedliwości w sercu. Zaczęła się bronić:

— To jego wina! To on mnie zostawił, oszukał mnie! Gdybym tylko mogła mu to powiedzieć, albo chociaż niech przeprosi, niech powie, czemu to zrobił! Wtedy, wtedy na pewno... — nie dokończyła, ponieważ łzy zamieniły się w szloch, a szloch we wstrząsającą ją aż od trzewi płacz. Czuła, że płacze jej ciało, dusza i wszystko w promieniu metra od niej; że w końcu otworzyła tę prawdziwą tamę, której tak nie chciała ruszać.

„Słoneczna Lajla” podeszła do niej i zaczęła delikatnie głaskać ją po ramieniu, po chwili po włosach, aż w końcu otworzyła w zapraszającym geście ramiona, w które płacząca dziewczyna wtuliła się bez wahania.

Nie wiedziała, ile czasu tak się wtulała i płakała, ale kiedy zaczęła się uspokajać i zaczęły znów działać u niej zmysły, zauważyła, że już nie stoi, a siedzi przy fontannie, o którą jej sobowtórka się oparła, dla ustabilizowania pozycji i czule głaskała ją po włosach.

— Co... co teraz? — zapytała wymęczona Lajla.

— To zależy tylko od Ciebie. Możesz dalej trzymać się ciemności, żalu i złości i być martwa za życia, albo możesz mnie wskrzesić, trochę może pokiereszowaną, ale całą! — lekko się zaśmiała. — I żyć.

— Wskrzesić Cię?

— Tak. Wciąż nie rozumiesz? Ja, czyli Ty, jestem osobą, która umarła. Ale w przeciwieństwie do Maevela, ja, czyli Ty, masz szansę na, nazwijmy to, wskrzeszenie. Nie będzie łatwo, ale krok po kroku i z czasem, damy radę. Dasz radę.

— Ale... ale co z nim?

— On wybrał. Dokonał wyboru. Ale wiem, że nie chciał Cię tym skrzywdzić i na pewno nie chciał, żebyś przez niego umarła.

— Tak... wiem... — powiedziała smutno Lajla. Naprawdę to wiedziała, ale w rozpacz

i furii, które ją wypełniały, nie chciała dopuścić do siebie tej myśli. — Ale wciąż mi smutno... i strasznie za nim tęsknię.

— Oczywiście, że tak. To normalne.

— Ale czy... — postanowiła zapytać o to, czego najbardziej się obawiała. — Czy jeśli wybiorę życie... i radość... to czy to nie będzie zdrada? Czy go nie opuszczę? Nie zapomnę?

— Nie. To tak, jakby on postanowił się wyprowadzić w odległe regiony Faerunu, skąd trudno wysłać pocztę. Mimo że i on by tęsknił za Tobą, a Ty za nim, wiesz, że miał prawo wybrać i żyć tak, jak chce, zgadza się? I on Tobie życzyłby tego samego.

— No... tak... — niechętnie przyznała.

— No właśnie. To jak, co wybierasz? Bo musisz zaraz wracać.

— Co, już? Tak szybko?

— Tak — odpowiedziała jej sobowtórka, odsuwając się powoli, by móc za chwilę wstać z ziemi.

— Ja... — zawahała się Lajla. — Ja... — spojrzała na słoneczny kolczyk i poczuła, że coś w niej drgnęło. Coś, co długo czekało, żeby móc znów zakwitnąć. Nasionko. — Ja... wybieram życie.

Jej sobowtórka uśmiechnęła się, pomogła Lajli wstać i przytuliła ją z całej siły.

— Cudownie, bardzo się cieszę!

— Spotkamy się jeszcze? — zapytała Lajla.

— Oczywiście. Za jakiś czas usłyszysz mój głos w swojej głowie. Bo to Twój głos. Znów będziemy razem, teraz już na zawsze.

Zdjęła szybko jeden kolczyk i schowała go w dłoni Lajli.

— Jak wrócisz, nie będziesz za wiele pamiętać z tego spotkania. Będziesz czuć, ale nie będziesz mogła przywołać tego miejsca, słów rozmowy czy mnie.

— Co? To jak nie stoczę się z powrotem? — przeraziła się dziewczyna.

— Bo nasionko już kiełkuje. Ale jak wszystko, potrzebuje czasu i będą bywać trudniejsze dni. Także weź to, nie wiem czy to coś zrobi, ale spróbujmy. Na gorsze dni, zanim wrócisz w pełni do życia.

— Dobrze... Dziękuję — wyszeptała wzruszona Lajla.

— Wiesz, że dziękujesz samej sobie? — Zaśmiała się jej rozmówczyni.

— Tak. Szkoda, że nie zobaczyłam Maevela po raz ostatni, ale... chyba rozumiem. Naprawdę rozumiem. — Uśmiechnęła się smutno, a był to pierwszy jakikolwiek uśmiech od bardzo wielu dni.

— To dobrze. A teraz zamknij oczy i wsłuchaj się w szum wody. Potem podążaj za Latarnią.

— Co?

— Już, prędko! — ponagliła ją sobowtórka, więc Lajla uścisnęła ją ostatni raz, zamknęła oczy i zatopiła się w kojącym dźwięku wydawanym przez fontannę. Już miała powiedzieć, że nie widzi żadnej latarni — aż nagle dobiegł ją dźwięk.

— Lajla? Lajla, wróć do mnie, proszę! — zatroskany głos przedostawał się do jej świadomości. — Lajla, tutaj, chodź! Tu jestem! — Coraz wyraźniej go słyszała, aż w końcu dotarło do niej, że to Mag ją woła.

— ...Mag? — zapytała, po czym poczuła, jak ktoś rzucił się na nią i zaczął ją mocno obejmować.

— No w końcu! Wiesz, jak się martwiłam?! Oczywiście, musisz się spóźnić jak zawsze! — przyjaciółka zaczęła ją strofować, lecz w jej głosie dało się usłyszeć ogrom ulgi i troski. Lajla otworzyła oczy i zobaczyła nad sobą znajomą twarz. Uniosła lekko głowę, by spojrzeć na pokój, i zauważyła, że ewidentnie obudziła się jako ostatnia. Sylvie stała w przeciwnym kącie pokoju i rozmawiała z jedną z uczestniczek. Jakby czując na sobie jej wzrok, spojrzała na Lajlę, puściła do niej oko, a następnie wróciła do rozmowy.

— I jak, wszystko ok? — pytała zmartwiona Mag.

— Tak... chyba tak... — Dziewczyna zaczęła się podnosić z podłogi. Czuła się bardzo zmęczona, jak po długiej wędrówce.

Przerwał im głos gospodyni, która znów stała na środku.

— Moi drodzy, witajcie z powrotem. Mam nadzieję, że Wasze podróże były pomocne. Możecie być zmęczeni i oszołomieni, ale to minie. Co do szczegółów tego, co się wydarzyło, możecie ich nie pamiętać. To normalne. Księżyc, choć litościwy, lubi strzec swoich sekretów. Jednakże powinniście już, bądź wkrótce, odczuć efekt swoich wypraw. Jesteście wolni, polecam Wam udać się do domów i odespać, a jutro bądź pojutrze zafundować obiad lub podarunek swoim Latarnikom, gdyż to dzięki ich miłości mogliście wrócić bezpiecznie do domu. Niech Księżyc oświetla Wam drogę w ciemnościach już zawsze!

Uczestnicy zaczęli się rozchodzić, po drodze podchodząc do Sylvie i dziękując. Lajla spojrzała na Mag:

— Mag... ale ja nie mam pieniędzy, żeby jej zapłacić... nie byłam przygotowana...

— Nie martw się. Uregulowałam wszystko wcześniej. To prezent ode mnie i Tarla, ok? Więc się tym nie przejmuj. — Przyjaciółka przytuliła ją. — No chodźmy. Dzisiaj możesz spać u mnie, a jutro zrobimy sobie leniwy, babski poranek, co Ty na to? — trochę przestraszona zapytała, bo od prawie roku Lajla odrzucała wszelkie propozycje wspólnego czasu.

— Wiesz co, Mag... — zaczęła odpowiedź, a jej przyjaciółka spuściła ramiona, szykując się na kolejną odmowę. — Myślę, że to cudowny pomysł. Dawno już tak nie robiłyśmy i chętnie do tego wrócę — powiedziała i poczuła, że mówi prawdę, co zadziwiło ją samą.

Oczy stojącej przy niej brunetki rozszerzyły się i stanęły w nich łzy radości, które jednak próbowała szybko ukryć.

— To super! To sobie coś razem ugotujemy, albo pójde rano na bazar po coś dobrego... ale miało być leniwie... pomyślimy po drodze! To chodźmy, sprzątnę tylko tę poduszkę, pożegnamy się z Sylvie i idziemy! — I Mag radośnie zaczęła trzepać poduszkę i poszła ją odnieść.

Do Lajli wtedy dotarło, że cały czas ma zaciśniętą pięść. Powoli ją otworzyła i zobaczyła w niej kolczyk w kształcie słońca. Poczowała ciepło na sercu, wielkości nasionka, ale zdecydowanie tam było. Tylko skąd miała ten kolczyk? Próbowała sobie przypomnieć, ale poza rozmazanymi obrazami i odgłosami wszystko było jakby otoczone gęstą, pachnącą różami mgłą. Wiedziała jednak, że to bardzo ważny przedmiot. Zamknęła pięść, schowała ją do kieszeni i poszła pożegnać się z Sylvie.

Kilka miłych zdań później i po wielu podziękowaniach od niej i Mag, które nie miały żadnych innych świadków, bo wszyscy zdążyli wyjść przed nimi, gospodyni odprowadziła dziewczyny do drzwi. Życzyła im wszystkiego dobrego, a przyjaciółki raźnie wyszły w ciemną noc. Po paru krokach usłyszały jednak za sobą wołanie.

— Lajla, mogłabyś tu podejść na chwilę? Chyba coś zostawiłaś. — poprosiła Sylvie.

Zdziwiona Lajla zostawiła czekającą na nią Mag i weszła z powrotem do szarego korytarza.

— Tak? Co takiego zostawiłam? — zapytała grzecznie.

— Prosił, żebym Ci coś przekazała. Normalnie tego nie robię, ale... czy chcesz usłyszeć wiadomość? — zapytała jedwabistym głosem gospodyni, patrząc znacząco na dziewczynę. Lajla po chwili zrozumiała i już miała odpowiedzieć, że oczywiście, gdy coś ją delikatnie ogrzało w dłoń. Ciepło słońca. Uśmiechnęła się dużym, prawdziwym uśmiechem.

— Nie, dziękuję. Ja wszystko wiem — odpowiedziała. — Do widzenia! — pożegnała się i poszła szybkim krokiem do Mag.

Sylvie patrzyła za nią, stojąc w uchylonych drzwiach i uśmiechała się. Na jej obliczu widać było łagodność i dumę. Następnie spojrzała w niebo, a gdy ciemna chmura przykryła jaśniejący tej nocy księżyc — jak i on, zniknęła.

KASIA KLEIN

Po kawałku

Dziś znów odłożyłeś teczkę niedbale. Tak jak robisz to w każdy czwartek od miesiąca. A ja — po raz kolejny — odstawiam ją równo na półkę. Jak to robię od miesiąca, właśnie w czwartki.

Odkąd przyszło lato ty jesteś w czwartki rozkojarzony, lekki i beztroski. A ja — od początku lata — jestem w czwartki czujna, ciężka i zmartwiona.

Odkładałam więc twoją teczkę w bezpieczne miejsce. Ustawiam równo buty w przedpokoju.

Do podeszw przykleiły się żdźbła trawy. Bo w czwartki wychodzisz później. Spieszysz się i chodzisz na tramwaj skrótem przez trawnik. Dziesiątka nie poczeka. Może dlatego jesteś taki nieobecny tego lata.

Czyszczę podeszwy, a żdźbła trawy zamieniają się w drzazgi, które wbijają mi się w ciało.

Bo tegoroczne lato nie ma dla mnie żadnej zieleni.

Jest tylko brudnoczerwonym, tępym bólem, który zalewa mi skronie.

Z każdym dniem robi mi się zimniej.

Zamarzam, kiedy twój wzrok patrzy przeze mnie.

Przechodzi mnie dreszcz, kiedy śmiejesz się śmiechem, którego nie znam.

I nie mówisz już do mnie po imieniu.

Od początku tego lata lgnę do ciebie bardziej.

Chcę chłonać każdą chwilę. Jestem głodna twojej uwagi, spojrzenia, dotyku.

Karmię się zapachem twoich koszul, gdy cię nie ma.

Siadam w twoim ulubionym fotelu.

Robię herbatę tylko do jednego kubka — twojego.

Wypiłam cały twój smak.

A ty, w czwartek, niczego nie zauważasz.

Ulatujesz mi w kilka chwil po powrocie do domu.

W pozostałe dni jesteś nieobecny, a ja głodna ciebie coraz bardziej.

Zamykam oczy i widzę, jak zjadam po kawałku każdy z twoich palców. Tych, które kiedyś sunęły po moim ciele, a teraz wzdrygają się, gdy przypadkowo nasze opuszki zetkną się, kiedy podaję ci talerz ze szczawiową.

Nadgryzam płatek ucha, bo nie słyszysz i nie słuchasz moich słów do Ciebie.

Zjadam wargę, bo twoje usta nie chcą już mówić "kocham".

Wypełniam się tobą od środka.

Skubię cię jak piętke gorącego chleba.

Odrywam kawałek po kawałku — tylko po to, by trochę napełnić siebie.

Pożywić pustkę, która rośnie we mnie z każdym kolejnym czwartkiem.

Obgryzam cię od środka.

Zdzieram tkankę z każdej kostki.

Chrząstki chrupią rozkosznie między zębami.

Napełniam się tobą, ale wciąż nie mogę się nasycić.

Z każdym kęsem mój głód pęcznieje.

Aż w końcu nie wiem już, które ciało jest twoje, a które należy do mnie.

Wgryzam się.

I wysysam do samego szpiku zazdrości.

Samą siebie.

KLAUDIA CHRAPKO

Granice: Czyli o tym dlaczego warto się wkurwić

Jakaś niedziela, byle jakie popołudnie. Patrę przez okno, Słońce i lazur nieba odbijają się w szybie. Siedzę nad rosołem, oczka tłuszczy mrugają do mnie z jakąś ironią? Już za kilkanaście godzin poniedziałek. Ten cholerny, pieprzony początek tygodnia. Znowu multum problemów, wrzasków, elaboratów o tym jaka beznadziejna jestem i czego nie potrafię. Na samą myśl, mój żołądek zwija się chcąc znaleźć jakiś początek tej tragedii, która jest po prostu moim życiem.

Gdy ściemnia się, czuję te wszystkie zmartwienia, niepokoje. Ciężar niewypowiedzianych lęków spada na moją pierś i dusi pozbawiając oddechu. W nocy te wszystkie niezafatwione sprawy, wracają do mnie w koszmarach, skutecznie pozbawiając snu. W końcu udaję przed sobą, że mogę się wyspać i odpocząć. Zaciskam powieki. Napięcie krąży po ciele nie znajdując ujścia.

Poniedziałek godzina 7:52

Siadam do komputera. Lęk rozrywa mnie na dwie części. Już słyszę te wszystkie telefony i pretensje. Jeszcze nie uruchomiłam systemu a moje dłonie drżą. Gdy ktoś wchodzi przez drzwi prawie krzyczę.

— To tylko ja! — Matka patrzy na mnie z niepokojem. Jej uśmiech gaśnie i opada na te kanapki z pomidorem i jajkiem. — Twoje ulubione — podaje mi talerz. Moje dłonie jednak tak drżą, że nie jestem w stanie uchwycić porcelanowego brzegu talerza z Ikea. — Upiłeś się, czy zakochałeś? — pyta matka chcąc wyjaśnić jakoś to moje roztrzęsienie. Patrę na nią przez sekundę balansując na granicy. Nagle czując, że ten ledwo rozpoczęty dzień, to za dużo. Odczuwam ból w każdej kości, namacalnie się załamuję, nie kontroluje swojego ciała, wybucham śmiechem, który zamienia się w płacz. Matka próbuje zrozumieć, jej dłoń niepewnie opada na moje ramię. Nic jednak nie mówi. Odstawia kanapki na blat, wychodzi, cicho zamykając drzwi. 14 minut później, wciąż siedzę w tym samym miejscu jeszcze bardziej roztrzęsiona. Komórka niecierpliwie wibruje. Imię kierownika

na wyświetlaczu jest jak wyrzut. Nie odbieram, nie zbieram się w sobie. Nie neguję faktu, że moje ciało doszło do granicy napięcia, którego nie może już znieść. Kładę się do łóżka, owijam się kołdrą. Po raz pierwszy mam gdzieś dramaty tego świata. Nie wiem, kiedy zasypiam, ale gdy otwieram powieki, widzę znajomą twarz lekarza. Rozglądam się, wciąż jestem w swoim pokoju. Czerwony uniform drugiego mężczyzny z napisem „ratownik medyczny” wywołuje u mnie chichot, śmiech zmienia się w drgawki całego ciała. Wpadam w tą czern i nie słyszę już nic.

Dwa tygodnie później znowu siedzę przed tym samym komputerem bogatsza o kartkę z napisem „Załamanie nerwowe na skutek depresji, stany lękowe, epilepsja”. Odbieram te telefony jakoś mechanicznie, poddając się niezadowoleniu klientów, gdy ich wyniki badań się opóźniają. Co mnie obchodzą ich dramaty? Myślę, znieczulając się swoim zniechęceniem. Matka niespokojnie krąży wokół. Jest jak kot na polowaniu. Chce koniecznie kogoś obwinić za mój stan. W końcu prycha i rzuca się na mnie:

— Po jaką cholere, ty to robisz! — Macha dłońmi niespokojnie jakby chciała znaleźć punkt zaczepienia. Z chęcią jej go daję mówiąc:

— Nie wiem, jak to zmienić — mój szept jest bezbarwny na tle jej złości.

— Weź się więc do życia — fuka w moją stronę i trzaska drzwiami wychodząc. Czuję się tak jakby mnie ktoś uderzył w głowę, obił serce i zwrócił mi resztki ciała których nie mogę poskładać w sensowną całość. Nikogo nie obchodzi, że nie ogarniam. Kolejny telefon, znowu niezadowolenie, zmuszam się do uśmiechu, zagryzając język do krwi.

Rok później.

— Ja pierdolę!!! Nie no nie mogę... Patrzę z niedowierzaniem w ekran, gdyż właśnie dostałam rozkaz od szefowej. Miałam przejąć kolejne nowe obowiązki, połączyć je ze starymi, wyszkolić pracowników, odbierać sto telefonów dziennie i to za tą samą pensję! A guzik. Bunt we mnie się gotuje. Serce wydaje się zmieniać stan skupienia. Z miękkiego i czułego na twardy zimny kamień. Wściekłość sprawia, że wszystko we mnie tężeje. Wzrok się wyostrza. Widzę nawet znaki zodiaku na niebie. Ryby i cały ten wodnik a może Neptun ma trójkąt z Wenus i Merkurym. Być może to ten układ planet, być może to ten ton kierowniczkowy pełen wyrzutów i pretensji, doprowadza mnie do punktu, z którego nie chce wracać. Dlaczego ja śmiem się sprzeciwiać? Jest jak jest i wcale nie będzie lepiej. Uważaj ty korposzczurze, myślę już szykując odpowiedź. Rzucam pierwszy kamień, wywołując trzęsienie ziemi w tym korpopierdolniku, telefon jak zawsze dzwoni, nie odbieram kolejnych zgłoszeń.

Za jakiś czas jednak podnoszę słuchawkę — tym razem wiem, że to moja siostra, wcale nie osobista, ale tak dobrze znana od zawsze jakbyśmy razem przychodzili na świat. Po moim jednym słowie halo, tak mroźno spokojnym ona już wie. Słyszy jak mentalną kredą wyznaczam granicę. Nie zamierzam kolejny dzień ryczeć w kąpiel, udając, że wcale nie płyną mi łzy po policzkach. To nie rozpacz przecież, tylko sól kłodawska wokół. Tak oczywiście. Zrywam się więc z tej nici odpowiedzialności.

— Ej no... Zastanów się jeszcze — słyszę w słuchawce — Idziesz na urlop jutro. Pomyśl poczekaj. — Drżenie jej głosu na końcu zdania, powinno mnie zatrzymać. Wywołuje jednak odwrotny skutek do zamierzonego. Wiem, że wypowiedzenie jest właściwe. Pomiędzy kolejną prośbą o spokój drukuję i podpisuję oświadczenie. Uśmiecham się wysyłając je, nagle pełna ulgi. Gdy pięć minut później, dostaje bezosobowego maila, że dokument został podpisany śmieje się po raz pierwszy szczerze od trzech lat. Tak łatwo mnie przecież zastąpić. Nie chcę więcej tracić siebie. Świat czeka na mnie całą, nie na mój strzep i cień. Oddycham nagle pełna treści i znaczeń. Otwieram okno, wpuszczając lazur nieba do swoich myśli. Dzielę się tym spokojem, z siostrą która wciąż jest na linii. Ona ledwo łapie oddech czując, że nie zawrócę. Zbiera się w sobie, mówiąc, że mi ufa. Gdy odkładam słuchawkę, mam poczucie zatrzaśnięcia drzwi przez które nie chce wchodzić ponownie. Rozglądam się wokół, smakując tą wolność na języku. Niebo barwi moje źrenice, gdy robię pierwsze kroki w nową lepszą stronę.

KLAUDIA GAWOR

Zapasy na zimę

Nikt mnie nie widzi. Przez chwilę jestem powietrzem w drugiej połowie sierpnia. Jestem drugą połową sierpnia. Zwiastuję zmianę, ale nadal mam w sobie coś, co koi, wywołuje nostalgię, daje energię. Przypadkiem zerkam do kuchni, gdzie ustawiono słoiki z dżemem z malin, wchodzę i tam, by ujawnić się w grudniu lub styczniu, gdy wspomnienie o wszystkich sierpniach, jakie kiedykolwiek przydarzyły się światu, wytrze się do białości. Stanę się wtedy naleśnikiem na czymś języku, garścią smaku zamkniętą na chwilę w słoiku. Wejdę między koce i pościelenie prane latem i suszone w sierpniowym słońcu i przechowam zapach rozgrzanego powietrza. W jeden z deszczowych październikowych dni, w dzień zmiany pościeli, nieśmiało wychylę się spomiędzy włókien i utulę cię do snu. Przez chwilę przyśni ci się letni poranek, szybko zapomnisz o tym śnie, jednak obudzisz się wyspana bardziej niż kiedykolwiek. Potem wejdę ci do głowy, gdy usłyszysz gdzieś piosenkę, którą nuciłyśmy wtedy razem nad rzeką. Ukucnę gdzieś w kącie, pomiędzy jedną twoją myślą a drugą, pomiędzy jednym wspomnieniem a innym. Twoja skóra znów zacznie pachnieć na brązowo, włosy zaczną plątać się w jeszcze bardziej nieprzewidywalny niż dotąd sposób, a w kącikach oczu i wzdłuż ust już na zawsze zostaną wspaniałe linie naszych wspólnych uśmiechów.

Przypomnisz sobie tamto popołudnie nad rzeką, łowiłyśmy razem ryby albo po prostu spacerowałyśmy, chyba myślałyśmy wtedy, że takie dni będą się powtarzać, że wrócimy tu wkrótce albo przynajmniej następnego lata. Tymczasem dostałyśmy tylko szansę na wspomnianie, na wielokrotne przeżywanie tamtych chwil, przez co dawno już straciły one swój pierwotny smak. Dziś nie wiem nawet, co dodałam, a co wydarzyło się naprawdę, mam tylko pewność co do rdzenia tej całej historii – że byłyśmy tam razem, że nad rzeką, że na pewno w sierpniu i był to słoneczny, upalny dzień. Pamięć jest moim darem, który niosę jak najobrzydliwszy ciężar, ale z którego nie zrezygnuję, bo czuję, wiem nawet, że rezygnacja z pamiętania oznaczałaby rezygnację z istnienia. Pamięć mnie tworzy, tak jak ja tworzę ciebie, pamiętając.

Granica między pamiętaniem a niepamiętaniem jest przynębiająco cienka. Boję się dnia, gdy nie udźwignę już obowiązku pamiętania. Przepadną wtedy wszystkie skarby

gromadzone przeze mnie przez lata, jak kolor twoich włosów, dźwięk twojego głosu, a nawet tak banalne eksponaty jak subtelnie bursztynowe światło w letnie popołudnie, gdy po raz kolejny oglądałyśmy razem Bonanę. Chyba wtedy nie doceniłam wystarczająco tamtego popołudnia. Kiedy właściwie po raz ostatni oglądałyśmy Bonanę? Granica między pamiętaniem a niepamiętaniem jest tak przygnębiająco cienka, że nie pamiętam, kiedy był ten ostatni raz.

Zrobiłam kilka słoików na zimę – zawekowałam trochę malin i sporo wspomnień. Będę miała zapas, gdy przyjdzie gorszy czas. Myślę, że byłabyś ze mnie dumna.

MAGDALENA GONÇALVES

Krąg zmian

Sobotnie spotkanie w kręgu kobiet stało się jej nowym rytuałem. Izabela miała w swoim kalendarzu wydarzenia mniej i bardziej istotne, przeróżnej maści, wpisane nawet na kilka miesięcy do przodu. Tak jej się przynajmniej wydawało, bo o zgrozo, kilka dni temu okazało się, że zapomniała o piętnastych urodzinach córki swojej kuzynki Aliny, a ta uznała to za jawny afront. Kiedy Izabela zadzwoniła ze „szczerymi, choć spóźnionymi” życzeniami, głos kuzynki wyrażał niechęć i rozczarowanie. A może Izabeli tylko tak się zdawało?

W jej 35-letnim życiu działało się wiele, ale ostatnio do wszystkiego podchodziła z lekkim znudzeniem. Praca, siłownia, kawa lub drinki, w weekend wyjście na koncert, imprezę lub wernisaż. W tygodniu joga i pilates, zajęcia z ceramiki, a ostatnio nastąpił wielki powrót do nauki hiszpańskiego. Niby było różnorodnie, ale po paru tygodniach Iza poczuła już rutynę.

Praca — wiadomo, bez szafu, ale rachunki się zgadzały i zespół miała całkiem sympatyczny.

Na siłowni — sami pozerzy i pozerki. Z reguły czuła się tam na nie miejscu, bo nie lubiła być obserwowana, a tak się tam zawsze czuła. Nie wspominając już o byciu ocenianą.

Spotkania ze znajomymi — stawały się coraz rzadsze... Duża część wpadła w sidła drugiej połówki lub pieluch, więc umawianie się było coraz trudniejsze. Weekendy były trochę ciekawsze, ale Izabela odczuwała, że grono znajomych regularnie się kurczy i nie może tak bardzo przebierać w towarzyszach, jak kiedyś.

Oczywiście, pewną część jej życia zajmowały też randki. Ale w pewnym momencie Iza wyraźnie się zniechęciła, gdy po raz któryś spotkała się z facetem, z którym nie miała zupełnie o czym rozmawiać. Nie czuła żadnej chemii i myślała tylko o tym, jak dyplomatycznie zniknąć z tego spotkania. Doszła do wniosku, że aplikacje typu „prawo—lewo” nie były dla niej; nie znosiła tych wszystkich small—talków, udawania, że będzie super i bycia cool.

No więc, kręgi. Początkowo Izabela nie była przekonana, ale kilka jej koleżanek już na takie chodziło i opowiadały, jaka to super sprawa. Izabela nie chciała być gorsza. Znalazła jeden dla siebie i poszła na pierwsze spotkanie. Spodobało jej się, atmosfera była siostrzana, pozytywna energia kipiła i poczuła się wysłuchana. Iza choć ostrożnie, ale również podzieliła się swoimi rozterkami, słuchała innych, wspierała. Na kolejna spotkania przychodziła zbudowana dobrą energią, gotowa doradzać i dyskutować. Czuła, że to może być dobre miejsce dla niej, pełne życzliwych, miłych osób.

Tego dnia, Izabela wkroczyła na salę z uśmiechem. Po kolei każda z uczestniczek dzieliła się tym co u nich słychać, jak się czują, co ważnego wydarzyło się ostatnio w ich życiu. Wreszcie przyszedł czas na Martę, ciemnowłosą czterdziestolatkę, dziewczynę bardzo przebojową i pewną siebie, jak zaobserwowała do tej pory Iza.

— Miałam paskudny dzień. — westchnęła Marta. — Moja klientka — Marta była fryzjerką — dostała zawału tuż po wyjściu ode mnie z salonu. Wcześniej nic nie wskazywało, że coś jest nie tak... — nabrała powietrza — a teraz walczy o życie — dokończyła łamiącym się głosem.

Wszystkie towarzyszki z kręgu wpatrywały się w nią zaskoczone, ze współczuciem malującym się na ich twarzach. Marta po chwili wyglądała już na opanowaną, przyjmowała wsparcie koleżanek ze spokojem, po emocjonalnym wyznaniu nie było już śladu.

— Twarda z niej zawodniczka — pomyślała Iza. — Nie daje po sobie poznać, jak bardzo ją poruszyło to tragiczne zdarzenie.

Dalsza część spotkania potoczyła się już własnym rytmem. Dziewczyny rozmawiały, tworzyły, śmiały się i opowiadały historie. Kiedy prowadząca ogłosiła koniec kręgu, Marta nagle zerwała się na równe nogi i wybiegła z sali. Drzwi trzasnęły za nią, a po chwili z korytarza rozległ się przeraźliwy i długi krzyk. Marta krzyczała, z całych sił. Z mocy i niemocy, dlatego że tego chciała, że mogła i czuła. Emocje wibrowały, a ona uwalniała z siebie napięcie.

Iza zadrżała słysząc ten krzyk. Zajęło jej chwilę, żeby dojść do siebie. Poczuła się dziwnie, nie na miejscu, zakłopotana że była świadkiem obnażenia się kogoś z tak dużych emocji. Nie była pewna jak zareagować na taką sytuację, czy Marta wróci teraz zawstydzona i będzie udawać że nic się nie stało? A może ucieknie? Izabela nie była nigdy świadkiem takiej sytuacji i nie miała pojęcia jak ją interpretować. Jednocześnie poczuła podziw dla tej dziewczyny, która zupełnie nie przejmowała się tym, co pomyśla o niej inni. Zrobiła to, co chciała i co czuła i to wydawało się Izabeli piękne. Sama nigdy by tego nie zrobiła, krzyk pośród obcych osób wydał jej się jakimś ekstremum, zbyt dużym odstąpieniem swojej wrażliwości i przekroczeniem granic.

Gdy Marta stanęła w drzwiach, na jej twarzy malował się spokój.

— Przepraszam was, cały dzień próbuję poradzić sobie z tymi myślami. To było dla mnie za dużo — westchnęła wracając do grupy.

Tego wieczoru w drodze do domu, Iza rozmyślała o całej sytuacji i czuła, że narasta w niej jakiś bunt. Też chciałyby umieć tak krzyczeć, wyrazić siebie, a potem nie przejmować się tym, co pomyślą inni. Chciałyby być spontaniczna, nieprzewidywalna, a przy tym nie nosić w sobie żadnego poczucia winy. Spoglądając na gwiazdziste niebo nad sobą pomyślała;

— Każdy krzyk może być inny, każdy ma inne granice. Ja znajdę swoje — uśmiechnęła się lekko.

Wzięła do ręki telefon i wyszukała grupę, którą już od dawna podglądała; „Towarzysz podróży poszukiwany”.

— „Spontanicznie wyruszam w podróż do Ameryki Południowej...” — zaczęła pisać. — „w poszukiwaniu siebie i odpowiedzi na wiele nurtujących mnie pytań. Kompani podróży mile widziani.” — Iza wyprostowała się czując, że publikacja tego postu będzie symbolicznym przekroczeniem jakiejś granicy prywatności. Kliknęła „opublikuj” i zamarła — a więc zrobiła to, pokazała się światu, siebie i swoje rozterki. Kolejne sekundy mijały, a świat się nie zawalił. Izabela pomyślała, że to przekraczanie granic, może jednak nie jest wcale takie straszne.

MAGDALENA KRÓL

Agata Córa Lasu

Rzeka pod okowami lodu zapomina swojej pieśni. Wraz z pierwszymi promieniami wiosennego słońca stara się uwolnić ze zneruchomienia. Niemym szeptem wysyła modlitwę do słońca o ciepło które rozerwie lód na kry i doda jej siły do uwolnienia pieśni płynących w krach lodu. Lód i ciepło walczą ze sobą nieustannie, bo Zima i Wiosna to siostry które najmniej siebie lubią. Długa jest ich historia niemiłości a mimo to jedna bez drugiej żyć nie może. Kiedy rzeka wygra walkę z lodem to nieodzowny znak, że nadchodzi już wiosna. Śnieg może leżeć nawet do maja, ale woda pamięta. Śpiewa nam o tym, że życie płynie i wraca, zasila w ziemi wszelkie drzewa i budzi je do życia. W Nas też płynie woda dziecko, która niesie pamięć każdego z naszych przodków i zapisuje Twoją historię.

Głos babci Marysi opowiadający historie o rzece brzmiał jak żywy w głowie Agaty. Przez chwile miała wrażenie, że patrzy na płynące kry na rzece jako mała dziewczynka na rodzinnym spacerze podczas którego zawsze szła z babcią za rękę. Uwielbiała jej historie podczas spacerów, kiedy wszyscy zajmowali się przystankami na picie wódeczki i śmiali się, że dzięki zimie jest chociaż zawsze chłodna i nie zwracali uwagi na historię babci to ona słuchała jak zaklęta. Większość historii znała już po piątym roku życia na pamięć, ale nigdy nie przerwała babci. Za każdym razem miała nadzieję, że odnajdzie niewidzialny, tajemny szyfr między zdaniami i dowie się co on znaczy. Jako dziecko odbierała opowieści babci złowrogo, czasem bała się po nich spać, ale nikomu o tym nie mówiła, chciała żeby babcia mówiła dalej i nie przestawała. Bywały dni kiedy Agata nocowała u babci i wtedy z kubkiem ciepłego mleka z miodem na zapiecku słuchała historii o Leszym, Domownikach, Bannikach, Wiłach, Porach Roku i duchach. Zasypiała w otulinie ciepła, pieśni i modlitw. Najbardziej jednak uwielbiała spacerować całą rodziną, kiedy miała nadzieję, że może spotka Wiosnę przy ognisku czekającą na odejście Zimy i rzucającą zaklęcia na obudzenie przyrody.

Nigdy nie kończyło się na jednej zimowej wyprawie po wiosnę. Często było ich kilka i często wracali rozczarowani. Jedynie babcia Marysia zachowywała pogodę ducha i podczas otrzepywania butów w progu izby mówiła wszystkim podpiętym i rozczarowanym:

— Natury w daty nie włożycie — poważny ton jaki próbowała zachować kłócił się z uśmiechem tak szerokim, że aż zamykał babcine oczy.

Raz Agata z niepokojem pytała się babci czy wiosna nadejdzie skoro ma inne daty niż te z kalendarza. Wszyscy byli rozbawieni, nawet tata którego śmiech z roku na rok zaczynał coraz bardziej bladnąć kiedy otrzymał awans na komendanta. Po jej policzku spłynęła łza, której nie czuła dopóki nie zaczęła zamarzać. Pospiesznym ruchem rękawa otarła twarz. Przypomniła sobie słowa ojca, że czas umarłych w zaświatach trzeba szanować a nie martwić ich naszymi łzami.

Trzask kry na rzece przeszył ciało Agaty niczym myśli o przeszłości z którymi nie była w stanie sobie radzić. Nie chciała dopuszczać do siebie tęsknoty, nigdy nie radziła sobie z nią dobrze. Zawsze pomagał jej w tym Janusz, który jest gdzieś daleko, zostawił ją i odszedł po tylu latach. Teraz pomagał jej alkohol, który zaczynał mieć nad nią władzę, tworzył rzeczywistość zamgloną niczym mleczna mgła otaczająca góry wokół. Nie chciała rozumieć rzeczywistości w której nie było jej męża. Przez zaszkłone oczy patrzyła na ciche drzewa a one patrzyły na nią, upiorność spokoju sprawiała, że myśli i pytania, które doprowadzały ją do szaleństwa.

— Dlaczego ja tu jestem? — ciało zaczęło opadać powoli. — Gdzie jesteś?! — krzyknęła w powietrze i czuła jak krzyczy z nią cały las rozpaczą wylewającą się z jej płuc. Cała twarz stała się łzami. Krzyczała żeby zagłuszyć głos ojca, który mówił jej żeby nie płakała z bólu tylko szukała tego kto zaginął, bo jej łzy nie dadzą mu życia. Głos narastał, ciało opadło na śnieg.

— Ja już nie mogę! Szukałam, nie mogłam Cię znaleźć! — jej dłonie biły w śnieg a krzyk rozdzierał kry na lodzie, ruszał drzewami, kołysał śniegiem i wzbijał ptaki do lotu. W głowie pojawiła się nowa mantra:

— Usłysz mój krzyk i przyjdź. Błagam Cię. Ja nie mogę bez Ciebie żyć. — jej twarz była tak zmarznięta, że nie wiedziała już czy porusza ustami. Już nic nie czuła, to było znajome. Wzięła głęboki wdech i wydech. Mogłaby się tu położyć i zostać, przegrałaby walkę z ojcem, którego już nie ma. Okazałaby się słaba, chociaż raz nie dałaby rady z kolejnym ojcowskim wyzwaniem i pozwoliłaby się zabrać Dolinie Sanu. Spojrzała na świat oczami czerwonymi od płaczu ostatni raz i dostrzegła, że Bruno wpatruje się w nią i popiskuje. W jej ciele pojawiło się znajome ciepło i ból, że tylko jego obecność chroni ją zaśnieciem w śniegu.

— Chodź Bruno — otworzyła ramiona ku niemu. Nie musiała długo czekać, pies wtulił się w nią ciepłym cielskiem jak dziecko które chce być noszone i ocierał się swoją pomarańczową ocieplaną kamizelką i psimi butami o kurtkę Agaty.

— Myślisz, że wstaniemy razem? — Bruno radośnie zawył a Agata podniosła się — Aż dziwne, że nie jesteś babą, zawsze masz tyle do powiedzenia — Bruno spojrzał się zalot-

nie i zamerdał ogonem. — To co idziemy dalej? — postawiła psa na ziemi, który obiegił ją wokół i pchnął nosem w tył nogi do przodu. Zauważyła, że śnieg wokół nich był popękanym, a wokół latały ptaki jakby naprawdę usłyszał ją świat. Ostatni raz pozwoliła sobie na głęboki wdech i wydech, poprawiła plecak i ruszyła.

— Oj Bruno, szkoda że nie poznałeś Janusza — towarzysz szedł przy nodze i patrzył się co chwilę na Agatę lub do przodu — Byłbyś świetnym kompanem naszych wypraw.

Patrzyła w ciemne mądre oczy psa, które zerkwały na nią co chwilę upewniając się, że idzie za nim cały jego świat. Agata zaczynała wpatrywać się w dal żeby wykryć potencjalne niebezpieczeństwa z oddali, dzień stawał się coraz bardziej szary i powinna za niedługo czas szukać miejsca na obozowisko. Lód na rzece był coraz głośniejszy od mrozu, który z chwili na chwilę stawał się coraz silniejszy. Przystanęła i wyciągnęła mapę oraz suszone mięso dla siebie i dla Bruna. Wyciągnęła mapę przed siebie a Bruno zaczął podawać jej łapę prosząc o więcej.

Spojrzała na niego, wiedziała, że źle robi ulegając jego żądaniom, to był pies policyjny i do końca życia powinien mieć dyscyplinę. Tymczasem Bruno się rozbewnił, czasami kiedy patrzy z jaką namiętnością wacha za smaczkami które wpadły pod lodówkę wątpi żeby był w stanie wciąż znaleźć człowieka lub narkotyki. Wyciągnęła mu kolejnego smaczka tym razem karząc mu czekać surowym policyjnym tonem. Pies usztywnił się i wiedział, że komenda jest poważnym zadaniem do wykonania.

— Minęliśmy wysokość wsi Krywe — błędną palcem po mapie a Bruno wciąż czekał nawet nie poruszając choć przez chwilę nawet nosem — Teraz idziemy kawałek przez odsłonięty teren, przejdziemy przez las i będzie znów odsłonięty cypel, gdzie możemy się rozbić. Mamy plan — westchnęła, było to dla niej abstrakcyjne, że jeszcze dwie godziny temu chciała zasnąć w śniegu a teraz planuje jak iść dalej. Bruno patrzył się poważnie na Agatę a całe jego ciało było w gotowości. Pomyślała, że to dobra okazja żeby Bruno mógł przypomnieć sobie chociaż trochę jak się tropi. Ściągnęła plecak który opadł tuż obok psa na śnieg przebijając pokrywę lodu, ale on ani drgnął. Wyjęła z czarnego dużego plecaka ściereczkę którą używała do butli gazowej i zawinęła w nią suszone mięso a następnie zawiązała. Byli kilka metrów przed wejściem do lasu i to był dobry moment żeby wykonać takie ćwiczenie. Dała do powąchania smaczek Bruno, choć śnił o jego zapachu pewnie nie raz i już miała rzucać kiedy dostrzegła na skraju lasu wilka. Całe jej ciało zeszywniało.

— Proszę nie podchodź do nas. Bruno proszę zostać — powtarzała w myślach a mimo to Bruno zrobił krok a całego jego ciała się usztywniło i czekał na to co się wydarzy. Agata modliła się w myślach żeby wilk odszedł. Wiedziała, że jeśli zdecyduje się zaatakować, tym bardziej jeśli nie jest sam to jest po Brunie. Mrugała cały czas powiekami mając nadzieję, że to jedna z fatamorgan, które zdarzają się zimą kiedy idzie się przez

kilka godzin w tak jednolitym terenie. Ciało wilka wykonało jednak ruch ku przodowi, Bruno również wykonał krok do przodu. Odpięta z plecaka gaz pieprzowy, mając wrażenie, że słyszy ją cały las i mając nadzieję, że będą mieć do czynienia tylko z jednym wilkiem. Wilk znów wykonał ruch, Agata już miała chwycić Bruna kiedy ten nagle się położył na śniegu pokazując, że chce się bawić a wilk zadartł nos do góry jakby nie tyle co wąchał, ale rozmawiał z psem tylko sobie znanym językiem. Wyglądało to tak jakby oboje chcieli do siebie podejść. W pewnym momencie wilk zrobił jeszcze jeden krok, usiadł na chwilę po czym uciekł kiedy usłyszał za sobą trzask drzewa. Czarny owczarek wstał z poprzyklejanymi kulami śniegu u dołu i zaskomlał z niezrozumieniem dokąd pobiegł jego kolega lub koleżanka. Agata westchnęła z ulgą i opadła na śnieg.

— Czy Ty nie masz instynktu samozachowawczego, że chcesz się bawić z wilkiem? — ciało Agaty opuściły wszelkie siły i położyła się w śniegu a Bruno obok niej cicho skomlał — Wiem, że chciałeś się pobawić, ale to nie jest psijaciel dla Ciebie.

Szaro granatowe niebo płynęło razem nimi, przypominając o końcu dnia, choć tak naprawdę cały ten dzień wyglądał jakby nigdy się nie zaczął. Świat wokół trzaskał jakby miał pęknąć za chwilę. Spojrzała na otaczający ich teren, byli co prawda niedaleko była rzeka, ale jeśli pójdą około dwóch metrów bliżej ściany lasu to będą mogli rozłożyć namiot w głębinie jaka graniczyła z lasem, dodatkowo może spróbować rozpaść ognisko.

W plecaku zawsze miała ze sobą bawełnianą watę z wazeliną, trochę kory brzozy do izolacji podłoża oraz zapalniczki sztormowe, które dostała od ojca na dwunaste urodziny. Rozłożyła namiot wyrównując najpierw podłoże i wykopując lekką dziurę dla lepszej izolacji, następnie napompowała materac dzięki któremu zimno nie ciągnęło aż tak od podłoża. Uśmiechnęła się do siebie kiedy zapaliła lampkę w namiocie a drugą wzięta do ręki i usiadła na chwilę, ojciec powiedziałby, że to ekstrawagancja a Janusz, że w namiocie można liczyć na romantyczniejszy wystrój niż w namiocie, Hania zapewne kazałaby jej wyłączyć to światło ze względu na nadzieję, że podejda jakieś zwierzęta. Bardzo często kiedy była mała zastawiali ją rano z głową między ich stopami z odsuniętym wejściem do namiotu i pozostawioną ochronną siatką. Jako kilku latka zostawiła kiełbasę po ognisku przy namiocie aby zobaczyć misia, na szczęście przyszedł tylko wygłodniały lis, którego i tak nazwała misiem a rodziców postawiła na równe nogi.

Agata uśmiechnęła się, wstała i w, już prawie ciemno, zapaliła latarkę czołową. Bruno wszedł do namiotu.

— Umawialiśmy się, że najpierw czyszczenie łap a później wspólne spanie — towarzysz tylko coś odburknął pochmurnie i nie myślał o tym żeby się ruszyć — No dobrze. Wyjęła ręczniczek do wyczyszczenia Bruna z nadmiaru śniegu i rozłożyła mu śpiwór na który chętnie wskoczył.

— Idę po patyki, czekaj i pilnuj — nic nie odpowiedział, był padnięty tak samo jak

i ona. Przeszli dzisiaj sporo, teren nie był prosty a myśli towarzyszące w trasie nie ułatwiały wędrówki.

Przebiegła szybko w stronę lasu i nazbierała gałęzi sosnowych wraz z igłami, które paliły się nawet będąc wilgotne. Wracła do namiotu, kiedy miała przez chwilę wrażenie, że ktoś stoi przed namiotem i głaszcze Bruna. Przystanęła na chwilę, zamknęła oczy i otworzyła je w strachu, że postać będzie stała przed nią. Wszędzie było pusto, ale głowa Bruna faktycznie wystawała z namiotu.

— Już jestem — pies zaszczekał z pretensjami, że chce jeść — Agat szybkimi ruchami wykopała dołek na ognisko żeby mogli się ogrzać a obok nastawiła palnik gazowy ze śniegiem żeby mogła wypić coś ciepłego i podgrzać jedzenie dla siebie i Bruna, które zapewne zamarzło jak lód. Wszystko poszło szybko i sprawnie, aż była zaskoczona, rozpalenie ogniska zimą nie należało do najłatwiejszych. Zjadali się swoją kolacją fasolką po bretońsku wraz z chlebem oraz perliczką z warzywami, jabłkiem i dzikim ryżem.

— Jesz lepiej niż ja — zaśmiała się patrząc na skład puszek psa oraz swojej z fasolką. — Rozpieszczamy Cię z Hanią za bardzo.— pomyślała o córce i załata ją fala smutku i spokoju. Cieszyła się kiedy podczas śledztw nie było jej w domu. Nie musiała się wtedy martwić, że jej coś się stanie. Gdyby nie żona Śmigrodzkiego Ela oraz ich synowie, Hania wychowywałaby się sama. Bywały takie momenty, że nie było ich tygodniami w domu. Początkowo przyjeżdżała mama Janusza lub Agaty aby zajmować się maleństwem, ale kiedy zmarły Hania została sama sobie, kiedy zaczęła dojrzewać. Wtedy pojawili się Śmigrodzcy, wysoką rangą policjant został ich sąsiadem, okazało się, że znał jej ojca oraz wujka i też był z Bieszczad z pochodzenia. Po awansie wyrzucili go w Tatry i tak znaleźli się na drugim krańcu świata. Do dzisiaj Agata pamięta jak przyszła na służbę a Śmigrodzki kilka dni po przeprowadzce opuszczał komisariat bez ubioru służbowego i krzyknęła do niego:

— Dzień dobry sąsiedzie, co się wydarzyło? — cały komisariat zamilkł i wszyscy patrzyli się na nich. Śmigrodzki tylko uśmiechnął się i krzyknął do niej.

— Dzień dobry sąsiadko, a nic od jutra jestem tu komendantem— uśmiechnął się rzucił jej miłego dnia i wrócił do domu. Ludzie myśleli, że ma u niego taryfę ulgową dopóki podczas jednego śledztwa nie zbeształ jej od najgorszych, bo nie posłuchała się go. Po czym wyjął wódkę i powiedział, że przez nią to nerwy i robotę straci.

Mimo wszelkich trudności w ich znajomości była wdzięczna, że dzięki nim Hania nie była sama w domu i ma teraz takich cudownych przyjaciół. Może nie była matką roku, ale zaszczepiła w córce miłość do gór i natury, bez ciężkich survivalowych przygód jakie zapewniał jej ojciec. Pamięta jak pierwszy raz w wieku czternastu lat obudziła się rano w lesie i nie było jego oraz plecaka. Była przerażona, ale wiedziała, że ma wychodzić ostrożnie patrzeć na wszelkie ślady żeby odnaleźć ojca. Przez godzinę chodziła boso

wokół obozowiska, ponieważ ojciec zostawił dużo mylnych tropów. Po czym wróciła, usiadła w namiocie, zjadła suchych chleb z kiełbasą, spakowała się i poszła. Znalazła go trzeciego dnia płacząc ze szczęścia. Ojciec wtedy powiedział jej, że gdyby się tyle nie martwiła i nie bała to znalazłaby go wcześniej, kazał jej otrzeć łzy, bo one nic nie dają jak ktoś jest zaginiony. Pamięta jak chwycił ją za ramiona i potrząsnął nimi:

— Jeśli kiedykolwiek zwątpisz w siebie, pozwolisz emocjom sobą zawładnąć w górach lub na służbie to ktoś zginie.

Wtedy była jak otępiata, ale po wielu latach już wie, że ojciec z racji braku syna od zawsze traktował ją po męsku i nastawiał na służbę drugiemu człowiekowi. Spojrzała na mgliste, ciemne niebo i dogasające ognisko. Uprzątnęła rzeczy po kolacji, upchnęła rzeczy do namiotu, dogasiła ognisko i wtulił się w Bruna, który usnął od razu po jedzeniu. Mimo braku alkoholu sen pochłonął ją od razu.

Nie wiedziała która była godzina kiedy przebudziła się i spostrzegła, że namiot jest otwarty, a Bruna nie ma w namiocie. Uchyliła wejście do namiotu i oślepił ją blask ogniska przy którym siedział pies a po drugiej stronie Janusz z gitarą, grał jakąś melodię i śpiewał coś do psa czego Agata nie rozumiała. Przyglądała się mężowi, znów miał siedemnaście lat i wyglądał dokładnie tak samo jak tego pamiętnego dnia nad Soliną. Chciała się ruszyć ku niemu, otulić go śpiworem, zabrać do namiotu, przecież tu jest tak zimno a on jest w krótkich dżinsowych spodenkach i spranej koszuli w kratę. Czuła jak łzy płyną jej po policzkach.

— Powiedz mi jak się tu znalazłeś? — zdała to pytanie w sobie, bo nie mogła nagle nic mówić.

On spojrzał się na nią swoim zawadiackim wzrokiem i krzyknął radośnie i zaczął śpiewać tak jak zawsze:

— Hej Mała! Gdy obok mnie nie ma nie bój się, ja zawsze kocham Cię — nie mogła uwierzyć wrócił, odnaleźli się i śpiewał ich piosenkę — Idź za rzeką pod białą skałę. — to tak nie leciało w jej głowie pojawił się lęk — Zima mnie już nie puści wcale.

Przestał grać, po jego policzkach płynęły łzy i wciąż był uśmiechnięty jak zawsze. Spojrzał się w lewo i stał gramofon z jej domu rodzinnego z którego leciało nie płacz Ewka:

— Nie płacz Ewka, bo tu miejsca brak na twoje babskie łzy — nagle piosenka od razu przełączyła się na refren. — Żegnam was, już wiem. Nie załatwię wszystkich pilnych spraw. Idę sam, właśnie tam gdzie czekają mnie. Tam przyjaciół kilku mam od lat. Dla nich zawsze śpiewam dla nich gram. Jeszcze raz żegnam was, nie spotkamy się — muzyka zapętlala się aż w końcu było słychać już tylko pojedyncze słowa.

Spojrzała na Janusza, był już bladszy mniej widoczny. Chciała go zatrzymać jakoś, ruszyć się, powiedzieć coś, ale wszystko było w niej zamrożone. Za Januszem stanął jej

tata i uśmiechał się do niej, znów wyglądał na szczęśliwego tak jak wtedy kiedy była dzieckiem. Położył rękę na ramieniu Janusza a drugą na ustach.

— Cii...— szepnął— Idzie Leszy, obudź las. — jego głos należał do babci Marysi.

Po tych słowach pojawił się za nim wilk ten sam, którego widziała wraz z Bruno. Ogromny, szary z brązowymi plamami zbliżał się coraz bardziej. Skierował szyję ku górze, pojawił się odgłos nawołujący inne wilki, ale w odpowiedzi pojawił się krzyk roztrząskujący drzewa ani zwierzęcy ani ludzki. Znała go i pamiętała z tej nocy nad Soliną. Obok niej pojawiła się nagle Wiktoria, chwyciła ją za rękę i uśmiechnęła się. Krzyk sprawił, że wszyscy wstali oprócz Agaty. Nagle wilk zaczął biec, za nim pobiegł Bruno a ciemne gałęzie zaczęły sięgać po Janusza, tatę, Wiktorię. Gramofon zaczął znów grać a Agata wreszcie zaczęła krzyczeć tak długo i przeraźliwie nie, że wszystko zniknęło. Podniosła się, wykonała krok i obudziła się w namiocie klęcząc. Bruno siedział przed wejściem do namiotu całkowicie nieobecny a Agata walczyła z każdym oddechem.

— Bruno— spojrzał się na nią i zaczął ciągnąć ją za rękaw czarnej bluzki termicznej popiskując i kręcąc się— Co Ci się dzieje?

W odpowiedzi Bruno zaczął drapać w namiot, Agata otworzyła wyjście i pies wyleciał z niego jak strzała. Swoje potrzeby załatwił w trybie ekspresowym. Wrócił do namiotu z którego Agata zaczęła wyjmować kuchenkę gazową żeby mogła wypić poranną kawę i zjeść coś. Wyciągnął karmę dla siebie z plecaka i rzucił ją przed Agatę. Poranek był przejrzysty mimo braku słońca, mgła nad górami była mniejsza niż wczoraj za to było zimnej niż wczoraj ze względu na wiatr ze wschodu. Rzeczywistość z trudem docierała do Agaty, w głowie wciąż miała piosenki ze snu. Zanurzyła ręce w śnieg, zimno zawsze pomagało jej wrócić do siebie kiedy świat wokół wydawał się mało realny. Wzięła kilka głębokich wdechów i wydechów, chciała pobyc z sobą dłużej, ale Bruno bardzo domagał się jedzenia wręcz natarczywie co było do niego nie podobne.

— Gdybyś tylko mógł to sam dzisiaj naszykowałbyś nam śniadanie a następnie złożył namiot — podrapała go za uchem, ale nie zareagował. Śnieg zaczynał się rozpuszczać w garnuszku i włożyła ogromną zamrożoną saszetkę z psią karmą do ciepłej wody. Bruno kiedy zobaczył nowy ruch Agaty, przyniósł swój kapok i buty, które zakładał tylko za odpowiednią zapłatą.

— Co się dzisiaj z Tobą dzieje?— mówiąc to sięgnęła po wazelinę żeby zabezpieczyć łapy psa a następnie założyła mu buty i kapok— Jesteś już wyszykowany.

Bruno jednak nie przestał. Podał Agacie buty, następnie wyjął swoją miskę oraz kawę.

— Dobrze, już dobrze. Będę zbierać się szybko— pogłaskała psa na co szczechnął zadowolony, założyła buty, nałożyła mu karmę i wysypała kawę. W między czasie zaczęła jeść chleb z kiełbasą i kawałkiem zamrożonego masła żeby dać sobie więcej tłuszczu.

Przelała kawę do kubka, oczyściła garnuszek i znów wrzuciła w niego śnieg aby mieć wodę w termosie. Skończyła jeść i Bruno na nią zaszczekał.

— Czy ja mogę napić się kawy?— spytała zirytowana— Cały dzień będziesz chodził, usiądź sobie.

W odpowiedzi pies jedynie zafukał i ruszył głową w bok jakby chciał powiedzieć, że już mają iść. Przelała kawę do drugiego termosu, magiczna chwila poranka właśnie przysła bezpowrotnie. Zaczęła pakować się i składać namiot, co spotkało się z ogromną radością drugiej strony, która biegła wokół i bawiła się z niewidzialnym stworem na śniegu. Spojrzała ostatni raz na ślad po ognisku, które w nocy stało się jej sennym koszmarem. Poprawiła plecak i ruszyła patrząc na mapę. Bruno zachowywał się jak szaleniec, co rusz łapał nowe tropy i dawał Agacie znać, że może znaleźć dla niej coś interesującego. Największą ekscytację miał jednak kiedy znalazł zamrożoną pod śniegiem kupę jelenia i zaczął szczekać intensywnie żeby Agata do niego podeszła.

— Serio stary? — spojrzała na niego z żenadą w oczach. — Myślisz, że ten relikwiarz zabiorę do domu i postawię jeszcze koło łóżka może? — w odpowiedzi usłyszała szczenie i zobaczyła intensywne machanie ogonem.

W pewnym momencie bieganie Bruna i szczekanie co chwilę na nowy trop stało się tak dręczące, że trzeba było zapiąć go na smycz i wydać komendę przy nodze. Wiedziała, że na dłuższą metę pies sam wpadnie w fiksację i zacznie go stresować na swój sposób tropienie zapachów cały czas. Mimo wiatru szło się bardzo dobrze, w większości szli przez las, gdzie było cieplej. Przeszli już dobre osiem kilometrów i mieli przekraczać zamarznąłą rzekę Hulski kiedy Bruno zatrzymał się i zaczął wąchać w ziemi.

— Chodź, idziemy— pociągnęła go lekko, miała już dosyć kolejnych tropów. Bruno jednak zaczął warczeć i kręcić się nerwowo. Robił tak tylko w dwóch sytuacjach kiedy znalazł narkotyki lub ciało człowieka. Żołądek Agaty nerwowo podskoczył— Szukaj. Szukaj— powtórzyła drugi raz niepotrzebnie, ponieważ zachęcony Bruno zaczął iść szybko w miejsce, gdzie do Sanu wpadała rzeka Hulski. Po wbiegnięciu na plażę zatrzymał się na chwilę, wokół był tylko śnieg, skały i lód na rzece. Zawiał wiatr i pies znów podjął trop. Podbiegł do skały zasypanej śniegiem i zaczął w nim intensywnie kopać, szczekać i popiskiwać. Bruno przekopał cały śnieg i dotarł do małego nasypu skał w które drapał dalej i powoli osuwały się. Agata zaczęła zdejmować razem z nim skały i kiedy otwór był na tyle duży i bezpieczny żeby wejść kazała psu zaczekać a sama poświeciła latarką i na ścianę jaskini i ciągnący się mały tunel. Wpuściła Bruna i ruszyła za nim, nie minęła minuta kiedy pies intensywnie zaczął piszczeć, skomleć i szczekać. Ruszyła się czym prędzej i kiedy tunel lekko zawinął w prawo zobaczyła psa, który szturchał mężczyznę z zasłoniętymi oczami nosem. Ręce miał związane razem z nogami a twarz schowaną w ramionach. Otulony był kocem. Agata podeszła do niego i zaczęła nim trząść:

— Halo, proszę Pana — ciało było całe lodowate i skostniałe. W świetle latarki widziała, że twarz mężczyzny jest cała posiniaczona, poraniona, tak samo dłonie na których widniała obrączka taka sama jaką ona miała na palcu od ponad dwudziestu lat z inicjałami AW. Sprawdziła puls i cisza. — Halo, kim jesteś? — Przecięła sznury i mogła teraz zobaczyć więcej twarzy mężczyzny. — Odsunęła się przerażona — Nie, nie, nie to nie możesz być Ty — Podbiegła do ciała, zdjęła swoją kurtkę. Wyjęła złoty koc— Janek nie rób mi tego, proszę nie zostawiaj mnie. Znalazłam Cię— wyła i co chwilę sprawdzała puls czy może coś się nie zmieniło. — Tak Cię przepraszam. Nie chcę się kłócić, już mogę mieszkać w tych Bieszczadach tylko wróć.

Nie wie ile czasu trzymała ciało męża w objęciach zanim dotarło do niej, że nie żyje. Wiedziała, że musi zawiadomić służby. Spod bluzki ze specjalnej kieszonki wyciągnęła krótkofalówkę, włączyła ją żeby nadać najtrudniejszy komunikat w swoim życiu.

— Zero, zero do zero jeden. Zgłoś się— nie mogła uwierzyć, że mówi te słowa— Zero, zero do zero jeden. Zgłoś się— ten szum trwał wieczność.

— Zero jeden do zero zero. Zgłaszam się— odpowiedział głos po drugiej stronie

— Tu komisarz Agata Wilk, znaleziono ciało mężczyzny w jaskini na plaży przy wpływie Hulski do Sanu. Mężczyzna to straszy chorąży Janusz Wilk, funkcjonariusz Straży Granicznej, zaginiony przed rokiem. Potrzebna pilna ewakuacja medyczna.

Proszę o wsparcie GOPR i Straży Granicznej.

Nie słyszała już słowa przyjełam ani tego jak weszli i odciągnęli ją od ciała martwego męża. Nie słyszała tego jak krzyczy kiedy ratownik medyczny potwierdza, że zginął do bólu temu. Nie słyszała jak Bruno jej broni przed innymi i nie pozwala jej dotknąć. Nie czuła kiedy strzykawka dotknęła jej skórę i odpłynęła w błogi sen. Słyszała tylko te melodie, która mówi jej, że ma nie płakać i widziała tylko jego uśmiech, który nie pożegna jej więcej.

MAGDALENA SALA

Przyjaciół?

Towarzyszył mi, od kiedy pamiętam. Chociaż nie pamiętam, kiedy się z nim poznałam. Byłam wtedy dzieckiem, takim niedużym. Nie pamiętam też, które wspomnienie było pierwsze, które drugie. Mam wrażenie, że jakoś tak płynnie zaczął wtapiać się w moje życie i był jego nieodłączną częścią.

Pamiętam, jak kiedyś moja mama szła do pracy. Nas, jak zwykle, czy może wyjątkowo, zostawiła u sąsiadki. On przyszedł razem ze mną. Pani Krysia nas zawołała do swoich dzieci. Zaczęła zagadywać, uspokajać. Mój przyjaciel zapytał mnie po cichu, żeby nikt nie słyszał:

— A jak twoja mama nie wróci i zostaniesz tu na zawsze? Może pobiegniemy za nią i ją poprosimy, żeby nie szła do pracy? Wyobrażasz sobie tu zostać na zawsze?

Biegliśmy jak szaleni, żeby tylko ją dogonić, żeby mnie nie zostawiła. Było bardzo gorąco i słonecznie, więc ten bieg nie należał do najłatwiejszych. Najważniejsze było odnaleźć mamę. Jest! Jest! Tam jest!

— Mamo! Mamoooo! Maaaamo! — Odwróciła się wyraźnie zaskoczona moim widokiem na ulicy.

— Co ty tu robisz? — Chyba nie była zadowolona, że ją dogoniłam.

— Może nie pójdziesz dziś do pracy i zostaniesz ze mną? Nie chcę mieszkać u pani Krysi, ona jest jakaś dziwna. Chcę do domu, chcę być z tobą! — rzuciłam ciągiem.

— Kochanie, u pani Krysi będziesz tylko godzinę. Zaraz babcia wróci z pracy i przyjdzie po ciebie, potem wróci tata. Nigdy, ale to nigdy nie zamieszkaś u pani Krysi, ani u żadnej innej sąsiadki.

Byłam nieco smutna, ale zgodziłam się wrócić, skoro mama tak mówi.

Czasem, kiedy mój tato wracał z pracy, patrzyliśmy przez okno, czy idzie krokiem chwiejnym, prostym, sam, czy z kimś, czy w ogóle szedł. Gdy wracał chwiejnym krokiem, mój przyjaciel zostawał u mnie. Patrzyliśmy ukradkiem, czy jest bezpiecznie, czy tata nie krzyczy zbyt głośno, czy czegoś nie niszczy. Mówił, żebym siedziała grzecznie, to tata pójdzie spać. Siedzieliśmy tak sobie w milczeniu, modląc się, żeby usłyszeć chrapanie taty.

Jak dochodziły do nas wyczekiwane dźwięki, szedł sobie do domu. Chodziliśmy razem do przedszkola. Zawsze witał mnie mocnym uściskiem już w drzwiach. Niezbyt miło wspominam przedszkole. Panie kazały spać, jeść wstrętne owsianki, rzucały zgniecionymi rysunkami i śmiały się, jak były nie na temat. Podpowiadał mi zawsze, żebym czytała po literce, nie płynnie, jak potrafię, bo pani się przyczepi i będzie mnie krytykować przy wszystkich dzieciach. Bawiliśmy się razem, nosiłam go czasem na plecach, czasem uwieszał mi się na szyi.

Do szkoły też poszliśmy razem, siedzieliśmy razem w ławce. Mówił, żebym się lepiej nie zgłaszała, bo starucha na pewno mnie skrzyczy, jak coś źle powiem, albo jak zauważy, że czegoś nie umiem. Uczyliśmy się razem, czasem nawet po nocach, żeby dobrze się przygotować. W sumie nie dlatego, żeby coś umieć, tylko po to, żeby tata był zadowolony, żeby dostać dobrą ocenę i w szczególności, żeby się nie narażać. W szkole poznałam też Kamilę i Agatę. On wtedy zostawiał nas. Z dziewczynami bawiliśmy się wesoło lalkami, grałyśmy w piłkę, słuchałyśmy muzyki, czesałyśmy włosy. Pojawiał się dopiero, jak wracałam do domu. Odprowadzał mnie, w szczególności, gdy już było za późno. Nasza przyjaźń trwała z różną częstotliwością. Czasem częściej był ze mną, czasem rzadziej.

Poszłam na studia, wyszłam za męża, pracowałam. On czasem wpadał bez zapowiedzi, czasem spodziewałam się jego odwiedzin. Przytulał mnie bardzo mocno. Mogłam na niego liczyć w trudnych sytuacjach.

Moje życie nieco się skomplikowało gdy tato zaczął z powrotem pić. Mama dzwoniła do mnie w środku nocy, siostra wysyłała smsy, że z tatą niedobrze. Bałam się już wtedy wszystkiego, bałam się spojrzeć na telefon, bałam się przebudzić w nocy. Mój przyjaciel był wtedy ze mną, ale przestało mi się to podobać. Odwracał moją uwagę od rodziny. Nawet jak chodziłam na zakupy, to ciągle do mnie gadał, że musisz coś zrobić, może tata mamie coś robi, albo pewnie już gdzieś uciekł. Nie mogłam się skupić. Aż w pewnej nocy przebudziłam się, a on złapał mnie za ręce, za szyję i zaczął dusić. Nie mogłam się ruszyć. Krzyczał na mnie. Nie chciałam już go. Nienawidziłam i siebie, i jego, i mojej rodziny, ojca, matki. Chciałam umrzeć, cokolwiek. Byleby sobie już poszedł. Modliłam się w duchu. Jezu, ufam Tobie. Jezu, Ty się tym zajmij! Uratuj mnie! Niech się to skończy!

Obudziłam się rano. Wyrzałam przez okno. Zobaczyłam, że świat jest piękny. Już kompletnie o tym zapomniałam. Przypomniałam sobie noc. Całe szczęście on już sobie poszedł. Byłam zmęczona, wściekła, cholernie wściekła, wkurwiona. Tak nie będzie! O nie! Wybrałam numer telefonu. W słuchawce odezwał się przyjemny, damski głos:

—Dzień dobry, tu Anna.

—Dzień dobry, pani Aniu. Chciałabym umówić się na wizytę. Wydaje mi się, że LĘK zawładnął moim życiem.

Po roku terapii mogę powiedzieć, że nasza przyjaźń nie jest już taka zaborcza. Lęk towarzyszy mi w wielu sytuacjach. Jasne! Jeździ ze mną do pracy, chodzi ze mną załatwiać różne sprawy. Czasem pojawia się w trudnych sytuacjach, ale już nie jest taki silny jak kiedyś. Już nie pozwalam mu sobą rządzić. Jest koło mnie, akceptuję go, współczuję mu czasem, ale już nie ma nade mną władzy. Jeśli chce się za bardzo rozhulać, oddychamy, dzwoniemy do przyjaciółki, sprzątamy, piszemy pamiętnik. Szanuję go, bo myślę, że będzie ze mną już zawsze. Ale mam teraz jeszcze nowych przyjaciół. Miłość, wdzięczność, współczucie, zrozumienie dla siebie i dla niego też. Czy to była przyjaźń, skoro był ze mną przez całe życie? Na początku zawsze mogłam na niego liczyć. Teraz... to ja się nim zaopiekowałam i wydaje mi się, że w tej konfiguracji żyje nam się znacznie lepiej.

MAJA ZDUŃ

Lustro Matyldy

Nasz dom był jednym wielkim labiryntem. Nie miał początku ani końca, tylko niezliczoną ilość ślepych korytarzy, pustych sypialni i krętych, częściowo nadgryzionych przez korki schodów, które każdego poranka wspinały się coraz wyżej i wyżej na nowe, nieodkryte jeszcze przeze mnie kondygnacje. Okna naszego domu miały mleczne szyby, więc właściwie trudno było jednoznacznie stwierdzić, kiedy rozpoczynał się poranek, a kiedy kończyła noc, bo światło, które wpadało do środka, mogło być zarówno światłem słonecznym jak i blaskiem księżyca. Żyliśmy tam od zawsze, czas płynął nam leniwie – a może w ogóle nie płynął? – na wypełnianiu codziennych obowiązków i przemierzaniu wydeptanych ścieżek: po każdym spożytym wspólnie posiłku, matka udawała się w lewo, a potem do biblioteki, gdzie na niekończących się regałach układała w porządku alfabetycznym książki, które za sprawą jakiejś tajemnej siły wracały do chaotycznego ustawienia podczas każdej jej nieobecności w bibliotece, ojciec szedł w prawo i na dół, do warsztatu w piwnicy i strugał krzesła do nowych pokoi, ciocia wracała do kuchni drugimi drzwiami na tyłach jadalni, żeby przygotować duszoną kaczkę na kolejny posiłek, kuzyn szedł do salonu znajdującego się na wprost od jadalni i czyścił ogromny kominek, w którym ciągle przybywało popiołu i sadzy, babcia natomiast wspinała się najbliższymi schodami na pierwsze piętro i spacerowała po korytarzu przed swoją sypialnią przez dokładnie dwie godziny, po czym kładła się na drzemkę. Tylko Matylda gdzieś znikwała i nigdy nie wiedziałam, gdzie się podziewa. Podobno kiedyś wchodziła do każdego pokoju i nakręcała zegary, ale z jakiegoś powodu przestała to robić.

Moim codziennym obowiązkiem było odkrywanie nowych korytarzy w naszym domu. Gubiłam się w nich często i potem godzinami nie mogłam odnaleźć drogi powrotnej do swojego pokoju, zawsze trafiałam do niego przypadkiem, po dłużących się godzinach poszukiwań, kiedy wyczerpana wędrownką, na oślep otwierałam kolejne drzwi w mrocznych korytarzach. W którymś momencie po prostu wpadałam niepodziewanie do ciszy swojej sypialni.

Każdy zakamarek naszego domu spowity był drażniącą, wibrującą w uszach ciszą. Czasem miałam wrażenie, że nieskończone korytarze karmią się wszystkimi dźwiękami,

wysysają esencję z naszych rozmów przy stole w jadalni, na deser połykają szepty, szep-
tane w zaciszu własnych czterech ścian. Tutaj drzwi nie trzaskały w przeciągach, pod-
łoga nie skrzypiała, szyby w oknach nie trzeszczały od wiatru, a przez Matyldę nawet
i zegary milczały.

Matylda była osobą pełną tajemnic. Odkąd pamiętam, wszyscy odnosili się wobec
niej z pewną dozą nieufności. Podejrzewam, że powód takiego traktowania Matyldy
przez resztę miał jakiś związek z tym nakręcaniem zegarów, a właściwie ich nienakręca-
niem. Nie potrafiłam określić jej wieku. Była zwyczajna, spokojna, ale zbyt często dawa-
ła się przytapać z delikatnym uśmiechem błakającym się na ustach i w oczach. Sprawiała
wtedy wrażenie, jakby była nieobecna, jej kruche ciało jadło z nami duszoną kaczkę, ale
dusza błędziła gdzieś daleko stąd, po innym świecie, być może po świecie poza murami
tego domu — myśl o świecie poza domem była dla mnie tak niepojęta, że dostawałam
zawrotów głowy na sam widok tego jej uśmiechu. Mama podejrzewała, że to Matyl-
da przestawia książki w bibliotece, tata, z powodu zegarów, obwinił Matyldę o swoje
spóźnienia na posiłki, a kuzyn podobno widział kiedyś przez otwarte drzwi łazienki jak
zmywała sądzę z dłoni. Z Matyldą ewidentnie było coś nie tak, nie pasowała tu, odkąd
zaczęła się tak uśmiechać przy jedzeniu, znikać i pojawiać nie wiadomo skąd.

Pewnego razu po skończonym posiłku wymknęłam się za nią z jadalni i, zachowując
odstęp siedmiu dużych kroków, śledziłam jak krąży po labiryncie korytarzy, wspina się
to na wyższe to na niższe piętra, aż w końcu dociera do drzwi, podobnych do wszystkich
innych w tym domu. Przyglądałam się jej zza rogu ściany, patrzyłam jak na jej twarzy
maluje się ten nieobecny uśmiech, widziałam jak dłoń jej drży, kiedy sięgała do klamki,
niemal poczułam chłód metalu, kiedy się wzdrygnęła. Otworzyła drzwi i bezszelestnie
wślizgnęła się do środka. Podbiegłam siedem korków i, zanim drzwi się za nią zamknęły,
zdążyłam dostrzec coś lśniącego w mroku pokoju.

Przyłożyłam ucho do drewna. Z początku słyszałam tylko ciche kroki, ale zaraz do-
tarty do mnie niewyraźne szepty. Wkrótce nawet one umilkły.

Nie wiem, jak długo czekałam, przemierzając korytarz w tę i z powrotem, ale jestem
pewna, że na perskim dywanie trwale odcisnął się kształt moich butów i zapach gumo-
wych podeszew.

Gdzie ja właściwie byłam? Zwiedziłam już tyle korytarzy, tyle pięter i pokoi, ale ten
zakamarek domu nawet dla mnie wciąż pozostawał nieodkryty.

Nagle w oddali usłyszałam jakiś odgłos. Odgłos zadudnił jak echo kilka pięter niżej,
odbił się od nadgryzionych przez korniki stopni schodów, wspiął na górę i zadźwięczał
głucho w ciszy korytarza, aż w końcu rozpoznałam w tym odgłosie śpiew dzwonka,
którym mama wzywała wszystkich na duszoną kaczkę.

Odskoczyłam od drzwi na siedem kroków i ukryłam się za rogiem. Matylda wyszła

z pokoju, bezgłośnie zamknęła za sobą drzwi i ruszyła za oddalającym się śpiewem. W pierwszej chwili chciałam pójść za nią, bo nie wiedziałam, jak dostać się stąd do jadalni, ale jednocześnie przeczuwałam, że drugi raz nie trafię sama pod te tajemnicze drzwi, a ciekawość wręcz pożerała mnie od środka.

Zagryzłam wargi i, nim Matylda mnie minęła, ukryłam się w cieniu wnęki okiennej. Poczekalam, aż korytarz połknie dźwięk dzwonka i kroków, po czym wyszłam z kryjówki i stanęłam przed drzwiami, za którymi wcześniej zniknęła Matylda.

Zrobiłam jeden krok do przodu. Deski pod dywanem zaskrzypiały ostrzegawczo, a drzwi otworzyły się wolno, z wyraźnym oporem i głośnym jękiem zawiasów. Zamarłam. Nie przypomniałam sobie, żebym kiedykolwiek wcześniej słyszała te dźwięki. Zupełnie jakby dom obudził się ze snu. Jakby nie chciał wpuścić mnie do środka.

Weszłam do ciemnego pokoju, w którego centrum, oświetlone blaskiem padającym zza mlecznej szyby okna, stało lustro. Było to zwyczajne, duże lustro z przetartą taflą szkła w mosiężnej ramie misternie zdobionej liśćmi winorośli. Podeszłam do niego i w momencie, kiedy moje oczy napotkały czyjeś oczy, wiatr wdarł się przez szparę pod szybą do środka, musnął końcówki moich włosów i dopadł do drzwi, które zatrzasnęły się z głośnym hukiem.

Wpatrywałam się w jej oczy we szkłe, wielkie i brązowe jak stoje na drewnianym blacie stołu w jadalni. Nagle poczułam, że zaczyna brakować mi powietrza w płucach, ten nieruchomy wzrok związał mi przełyk szorstkim supełem i nie mogłam zaczerpnąć tchu, krople potu spływały mi za kołnierzyk, i dopiero kiedy podniosłam rękę do szyi zrozumiałam, że dziewczyna, w którą się wpatrywałam, była mną.

W miarę jak ta świadomość do mnie docierała, supeł się rozluźniał. Oddychałam teraz płytko, kurz łaskotał mnie w podniebienie, miałam wrażenie, że ktoś rzucił w moje oczy garść piasku, ale nie odważyłam się jeszcze ani mrugnąć, ani poruszyć.

Nigdy, nawet w najśmielszych snach, nie przyszło mi do głowy, że kiedyś ujrzę swoje spojrzenie. W naszym domu wisało kilka luster, ale wszystkie były tylko kawałkami szkła, w których mieniło się światło — ot, zwyczajne ozdoby, nie mające żadnego praktycznego zastosowania.

Wyglądało na to, że dom, jak my wszyscy, miał swoje tajemnice.

Tylko skąd Matylda o nich wiedziała?

Za moimi plecami rozległo się nagle tykanie starego, nienakręconego zegara, które rozbrzmiało w każdej komórce mojego ciała. Wzdrygnęłam się, czując jak moje serce zaczyna bić w wyznaczonym przez wskazówki rytmie.

Jeszcze raz rzuciłam okiem na to obce, a jednak znajome odbicie, po czym wybiegłam na korytarz.

Drzwi wypłuły mnie na inne piętro, zaczęłam błądzić więc po labiryncie zakrętów,

rozpaczliwie szukając jadalni. W końcu wpadłam do swojego pokoju, odetchnęłam z ulgą i oparłam się o ścianę obok drzwi. Policzyłam wszystkie belki na suficie, żeby uspokoić tykające serce, a kiedy w końcu moje nogi przestały drżeć, odważyłam się zejść na dół, na duszoną kaczkę.

Podczas całego posiłku mama świdrowała mnie takim spojrzeniem, jakby wiedziała, że byłam w miejscu, do którego nie powinnam nigdy dotrzeć, a ja starałam się ze wszystkich sił skupić wzrok na kacze. Gdziekolwiek bowiem się nie obróciłam, tam widziałam swoje odbicie – w ostrzu noża, w wodzie w szklance obok talerza, w kryształowych łzach żyrandolu, nawet w szeroko otwartych oczach mamy. Czy ono zawsze tam było? Moja własna twarz zaczęła mnie prześladować, czułam jej obecność bardziej niż kiedykolwiek, widziałam wyraz brązowych oczu i czającą się w nich pustkę, którą wielokrotnie widziałam w oczach innych domowników, przyciągała mnie ona, a ja nie wiedziałam jak przed nią uciec.

Ale domyślałam się, kto mógł to wiedzieć.

–Widziałam lustro – powiedziałam do Matyldy.

Po skończonym posiłku dogoniłam ją pod schodami oddalonymi od jadalni o siedem zakrętów.

Przekrzywiła delikatnie głowę jak robił to cień ptaka, który przechadzał się czasem po parapecie za oknem mojego pokoju. Matylda nie wyglądała na zaskoczoną tym wyznaniem, jej uśmiech podpowiadał mi, że się go raczej spodziewała. Zakręciło mi się w głowie.

– A więc czemu przed nim uciekasz? – spytała głosem spokojnym, ciepłym jak mrugnięcie światła w kawałku szkła. – Chodź, musisz kogoś poznać.

Poprowadziła mnie labiryntem korytarzy. Każde mijane drzwi oddalały mnie od domu, który znałam, od członków rodziny, pogrążonych teraz pewnie w rutynowych czynnościach, od unoszącego się wciąż w powietrzu zapachu duszonej kaczki, ale szłam za Matyldą, a nasze kroki brzmiały na drewnianej podłodze jak tykanie zegara. Próbowalam liczyć zakręty, stopnie na schodach i znajome uszczerbki w ścianach, ale szybko zgubiłam się we labiryncie własnych myśli.

W końcu zatrzymałyśmy się przed właściwymi drzwiami, które Matylda otworzyła znowu drżącą dłonią. Weszłyśmy do środka, a drzwi zamknęły się za nami z przeciągłym jękiem.

Wcześniej ten pokój wydawał mi się całkiem spory, ale teraz lustro zajmowało w nim całą pustą przestrzeń, ciemność skurczyła się, żeby zrobić miejsce oplatającym ramę lśniącym liściom winorośli. Matylda zachęciła mnie gestem, żebym podeszła bliżej i stanęła przed lustrem, potem sama wycofała się w cień. Przełknęłam gulę w gardle, policzyłam do siedmiu i dopiero wtedy uniosłam głowę, spodziewając się napotkać znowu te puste, brązowe oczy...

Ale twarz, którą ujrzałam była twarzą kogoś innego.

Poczułam dokładnie ten moment, kiedy moje serce się zatrzymało i kiedy świadomość, że od teraz wszystko się zmieni uderza we mnie, wyciskając resztki powietrza z płuc.

Zegar zatykał cicho za moimi plecami, twarz w lustrze spojrzała na mnie, a za plecami usłyszałam jak Matylda uśmiecha się w ciemności.

MICHALINA JARUGA

Ogień

Na złość

Oho. Idzie ulewa. Czuję to w kościach. Dookoła grzmi: szcęk sztuców, bulgot rozmów pomieszczenia wypełnionego aż po brzegi, hałas z kuchni — a ona zachmurza się coraz bardziej. Zaraz popełnię jakiś błąd i lunie na mnie jak z cebra.

Oby. Oby tylko coś się działo, a nie tylko kottowało się pod powierzchnią, jak zawsze. Bo wtedy nic nie mogę zrobić. Wtedy nie mam dostępu do tej jej wody.

— Musisz się tak zachowywać jak dzikus? — mówię do niej, żeby trochę namieszać, ale ona ledwo mnie słyszy. Spina wszystkie mięśnie, widać po jej oczach, że przyjmuje do siebie cały ten hałas dookoła, że nie potrafi oddzielić ziarna od plew. Jak zawsze.

Zaczyna mnie przeproszać, że się tak zachowuje, że się nie spodziewała że będzie tyle ludzi, że jak wyjdziemy to wymyślimy coś lepszego i ona już będzie normalna. Strzela ze mnie kilka iskier — nie znoszę jej takiej. Ogarnij się, dziewczyno.

Chciałbym móc ją teraz dotknąć, przytulić, zgnieść, pożreć na oczach wszystkich. Zresetować ją, bo znowu odpłynęła.

Zamiast tego przekierowuję tę energię na kelnerkę.

— Przepraszam, czekamy już dwadzieścia minut na samą wodę — mówię. Normalnie mówię, tak jak zawsze, ale one obie jeszcze bardziej się obruszają.

Czasem mam tak, że chciałbym po prostu wszystko spalić. Cały świat.

Ale bardzo rzadko.

— Ale jaki spragniony — rzuca moja Woda, dorzuca drewna do pieca. Drwi ze mnie.

— Żebyś wiedziała — odpowiadam, i ten ogień od razu zmienia barwę. Łapię jej nogę między swoje nogi, bo tylko tyle można zrobić przy tym głupim stole, przy którym nas posadzili.

Chcę ją już, teraz, zaraz, całą — ale spokojnie. Spokojnie. Teraz nie pozwoli. Ta restauracja to jest jej test, od niego zależy, czy później pozwoli.

W końcu nie wytrzymuję i przestawiam stół tak, żebym mógł usiąść bliżej. Próbuje zawładnąć nią moimi językami ognia, a ona się śmieje:

— Jesteś takim dzikim zwierzęciem, nie wiem, dlaczego wzięłam cię do restauracji.

Bo ona mówi, że jej bramy są dla mnie zamknięte. Mówiła, że mam ją gdzieś wziąć, gdzieś do prawdziwego świata, żeby jej udowodnić.

— Nie rozumiem, czego niby ode mnie chcesz — tak do mnie mówi czasem, często. — Mówiłam ci: nie chcę być dla kogokolwiek tylko kawałkiem mięsa.

Tak mówi, a ja nie wiem, co mam jej odpowiedzieć. Bo co mam odpowiedzieć? Przecież nie powiem jej „wybrałam sobie ciebie i teraz nic nie mogę z tym zrobić, musisz sobie z tym jakoś poradzić”.

Więc zamiast tego mówię jej:

— Po prostu bardzo cię lubię.

Bo myślę, że jaśniej się nie da, i bo dalej nie idę, bo nie mogę się aż tak odkrywać. Przed sobą samym nawet. A ona na to, że mnie nie chce, i ucieka. Ciągłe tylko ucieka. Teraz też by najchętniej uciekła. Bo mnie nie chce — tak mówi. Ale czy na pewno? Bo z nią to jest tak trudno, w ogóle jej nie rozumiem. To chce, czy nie chce?

— Ale co chcę? Ja cię w ogóle nie rozumiem.

Tak mi opowiada. I tak te nasze słowa przeplatają się już od stuleci, bez żadnego konsensusu:

— Nie rozumiesz mnie.

— Nie rozumiem cię.

— Znowu coś płaczesz, skup się.

— Możesz mówić jaśniej?

— Możesz nie mówić do mnie w taki nieestetyczny sposób?

To ostatnie jest ciekawe. Do tej pory mówiono mi „nie bądź taki wulgarny”. A ona mówi:

— Twoje słowa źle brzmią. Jak mówisz o *ruchaniu*, to ja sobie myślę, „boże, jakie nieatrakcyjne słowo”. Musisz wymyślić inne. To ledwo mi przeszło przez gardło.

— Hehe, *przez gardło*.

Wywraca oczami, a ja jej mówię, że przecież sama wybrała takie sformułowanie i dobrze wiedziała, że tak to się skończy.

Kurwa, jak ona miesza.

Jak to woda.

Czasami jest słodka i zdatna do picia, ale jej 97% jest jednak słona.

Mówi:

— Chcesz tylko brać, brać, brać, nigdy nic mi nie dajesz. Żadnych słów. Potrzebuję słów, zanim pojawi się potrzeba ciała. (Ciągłe ci to mówię przecież). Nic o tobie nie wiem. Nic mi nie mówisz. Wszystko tylko ukrywasz.

Wtedy rozpalam się do takiej temperatury, że ona wie, że jak się bardziej zbliży, to się oparzy. Oddalam się, nie chcę słuchać tego pieprzenia. A co niby ona mi daje? Nic mi nigdy nie dała. Same słowa i emocje, nic rzeczywistego, nic namacalnego, nic prawdziwego. Jakbym z duchem gadał.

Lanie wody.

Czasem mówi:

— Zajmujesz tyle miejsca, że nie zostaje go w ogóle dla mnie.

Dziewczyno, 60% mojego ciała to woda, a ty mi mówisz, że nie zostawiam ci żadnego miejsca?

(A body of water)...

Ale ona o ciele rozmawiać nie lubi. „Nie lubię, jak ciało to 95% rozmowy”.

Raz jej powiedziałem: „zajmujesz bardzo dużo miejsca w mojej głowie” — bo już miliard razy przechodziliśmy przez ten sam moment w czasie i przestrzeni, i nadal się nie dogadaliśmy czy coś ma z tego być, czy nic nie ma być — no więc jak raz jej tak powiedziałem, i dla mnie to były *duże słowa*, to ona odpowiedziała:

— Po chińsku w podstawowej konstrukcji zdania nie da się nawet powiedzieć, że coś jest „bardzo” — „bardzo” to neutralne słowo. „Bardzo ważny” znaczy tyle, co „ważny”.

Więc ona zawsze przesadza. Mówi mi:

— Jesteś najgorszy.

Albo:

— Jesteś mój ulubiony.

Albo:

— Jesteś strasznie piękny, najpiękniejszy na świecie.

Ale co to w ogóle znaczy. Poza tym mówi do mnie te wszystkie słowa, a nie pozwala się dotknąć. Nawet w rękę.

(Inna sprawa, że jak dotykam jej ręki, to zaraz nie mogę się powstrzymać od pochłonięcia jej w całości.

A ona wtedy ucieka, a jak ją złapię, to pyta czego ja właściwie od niej chcę.)

Śmieszna sytuacja. Na jej pizzy jest tylko jedna krewetka. Śmieję się z niej, ale ona teraz jest już na granicy. Wołam kelnerkę, a potem siedzę cicho, tylko patrzę na nią. A ona nic nie mówi. I nic nie mówi. I nic nie mówi. Cała spięta, zamknięta jak małż w skażonej wodzie.

I w końcu kelnerka sobie idzie, a ona już teraz cała jest miejscem spotkania Bałtyku z Morzem Północnym. „Przepraszam” i „spierdalaj”. Tak wygląda, na raz.

Mówię jej:

— Nie dramatyzuj, to jest mała sytuacja. Myślałem, że sobie z nią poradzisz sama, dlatego cię w nią wepchnąłem.

A ona dramatyzuje jeszcze bardziej.

— Musisz mi tak zawsze mieszać?

Chcę jej powiedzieć, że muszę, bo woda nie może stać w miejscu. Dziewczyno, płyń! Zatop ich wszystkich! I mnie. Zatop mnie całego w sobie.

A ona ucieka z tej restauracji, zanim nawet znajdę jakieś wyważone słowa, żeby jej przekazać tę szalenie ważną wiadomość.

Mówiła mi wcześniej wiele razy, że nic nigdy nie mówi, bo nikt jej nigdy nie słucha. Bo nikt jej nigdy nie goni, kiedy zaczyna uciekać.

Więc wybiegam za nią, prosto do lasu. Jest szybka, w końcu jest sześćdziesięcioma procentami mojej wagi — ale ogień rozlewa się w mgnieniu oka. Przygwożdżę ją do ziemi i nie pozwolę jej uciec, dopóki się nie wyjaśni. Dopóki pokrywa lodowa nie zacznie parować. Nie ma tak, że ona dramatyzuje, że nikt jej nigdy nie słucha, a potem jak ja chcę słuchać — jak chcę wyrwać z niej wszystkie słowa, jakie ma do zaproponowania — to ona ode mnie ucieka. Żeby potem mówić, że jej nie słucham.

Mówiła, że się mnie boi jak ją tak gonię, ale dobrze wiem, że to nieprawda. Tylko tak gada, korzysta ze schematów. Gra na czas, bo wie, że jak ją w końcu złapię, to już tak zostaniemy.

— Słowa raczej chłodne, ale myśli same w gorącej wodzie kąpane.

Tak raz o mnie powiedziała.

MONIKA KUMOSIŃSKA

Woda

1

Na zdjęciu trzy zmęczone uśmiechy w czapkach i kapturach, za nimi cienka linia relingu i nieskończona płaska szarość. Morze i niebo, niebo i morze. Statyczna stopklatka, zdjęcie nie oddaje morskiej rzeczywistości.

Dopiero na filmie horyzont rytmicznie przesuwają się poza górne i dolne granice kadru. Jacht idzie po falach, których amplituda osiąga wysokość pięciopiętrowego budynku.

Na filmie słychać jego głos. Powtarza: „Płyniemy, nic się nie dzieje”. Huk wiatru w tle.

W poprzednich życiach był morskim wojownikiem. Na morzu zjadł zęby. Nie znam lepszego żeglarza.

Ale nie docenił chińskiego przysłowia, a może zapomniał. „Uważaj, czego sobie życzysz”.

Pierwszy sztorm liznął ich już na Bałtyku; solidna, ale krótka dziesiątka. Kolejne przychodziły i odchodziły w miarę, jak okrążali Danię i Holandię, cięli Kanał Angielski, mijali Biskaje i spadali w dół wybrzeżem Portugalii. Niełatwy, męczący rejs; seria niżów przewalających się nad Europą, kluczenie oknami dobrej pogody pomiędzy kolejnymi wściekami Neptuna. Zmieniające się załogi, okrętujące się z głodem przygody w oczach. „Veni vidi vici”, sztorm. Marzenie początkujących sterników: każdy chce mieć to kiedyś w końcu zaliczone.

To miał być „żabi skok”, ostatni krótki przelot z Majorki na kontynent po wielu tygodniach w morzu. Potem już samolot do Warszawy. Święta.

Może, gdyby nie zaufała prognozie z bosmanatu i sam sprawdził mapy baryczne. Przecież zawsze sprawdzał, bezwzględnie uczył tego adeptów.

Może, gdyby pamiętał chińskie przysłowie. Gdyby tak bardzo nie chciał już do domu, gdyby nie zadziało prawo „ostatniego kilometra przed metą” ...

Jezu. Gdyby sam sprawdził mapy baryczne.

Ostatni raz oddali cumy w Pollenzy, przed zachodem słońca. W południe będą w Barcelonie.

Pierwsze usłyszane MayDay zapamiętuje się na całe życie.

Tamtego ranka ten sygnał właściwie nie ustawał, jednostajne buczenie radia, głośniejsze niż wszechobecny łoskot. Dwukrotny komunikat radia Barcelona: kto może, jest proszony o podjęcie załóg tonących kutrów.

Bez odpowiedzi. Nikt nie może; ten, kto jest w morzu, sam walczy o życie.

Akurat był pod pokładem. Usłyszał inny niż wszystkie huk.

W kilka sekund wrócił na górę; jacht już zdążył ustawić się wzdłuż fali.

Maszt nie był złamany; był wyrwany z poszyciem. Przez burtę schodził z płataniną takielunku w kipieli wody i w wodę ciągnął za sobą jacht.

Wpiął się w lajflinę i na kolanach ruszył w stronę dziobu, odpinać tratwę. Od drugiej burty nadeszła ściana wody. Położyła łódź.

Nie mieli czasu na ewakuację. Nie zdążył.

Ale jacht wstał. Przed uderzeniem kolejnej bocznej fali dostali drugą szansę.

I znowu nie zdążył.

A jacht znowu wstał.

Ukochany jacht, dzielny morski czołg. Niezbyt szybki, ale stworzony do tańca z wodą i wiatrem. Jacht, który uratował im życie.

Odwołał ewakuację. Jacht chce walczyć, będą walczyć ramię w ramię. Odcieśli sztagi i wanty, maszt poszedł pod wodę. Znowu ustawili się pod falę.

Obrali kurs. Barcelona.

Według skali Beauforta dwunastka to „hurricane”. Tutaj skala się kończy, wszystko powyżej rejestruje się do pewnego stopnia uznaniowo.

Tamtego dnia pod wschodnim wybrzeżem Hiszpanii zarejestrowano czternaście w skali Beauforta. Nad akwenem zaległ potężny niż wtórny. Media relacjonowały później, że po raz pierwszy w historii dalekie ogony Katriny, amerykańskiego huraganu, dotarły do Europy; najdalej dotarły w okolice Barcelony.

2

Zwykły grudniowy dzień niedługo przed Wigilią, okolice południa. Dzwoni Mama. Ma głos automatycznej sekretarki, tylko bardziej drżący.

Padają trudne słowa:

Wybrzeże Hiszpanii, huragan, jednostki wzywające pomocy.

Tata nie miał czasu rozmawiać.

Zadzwoił się tylko pożegnać.

W razie, gdyby.

I prosił, żebym odwołała mój bilet do Barcelony na styczeń, może dostanę zwrot pieniędzy. Nie będzie przecież po co lecieć.

To pomaga mi wydobyć wreszcie głos.

— Jaki bilet?! O czym Ty mówisz?! — krzyczę, a to jej pozwala pęknąć. Zaczyna płakać.

To wszystko do niej, do nas, nie dociera.

Idę do łazienki. Obmywam twarz. Wracam.

Powinna stąd wyjść, ale nie jestem w stanie się pozbierać. Patrzę w monitor, excel jest tablicą pełną znaczków pozbawionych sensu. Suche oczy, tylko w głowie ogłuszający szum. Serce, które chciałoby wyskoczyć z klatki.

Nie mogę nic zrobić.

NIE

MOGĘ

NIC

ZROBIĆ

.

Kolejne godziny są czekaniem w wieczności.

Czekam.

Modłę się.

Czekam, trwam w zamrożeniu.

Jestem z Mamą.

Czekamy.

Jestem tam z nimi. Próbuję sobie wyobrazić. Jak mantry powtarzam morskie procedury, jakby to były zaklęcia. Zaklinam morze.

Czekam.

Mówimy sobie na zmianę, że Tata z tym przecież wygra. Że to jego żywioł. Że to się tak nie skoczy.

A potem dzwoni telefon. Na wyświetlaczu zdjęcie Taty, to w sztormiaku.

MONIKA SOLANIUK

Pamiętniki z wakacji

Droga Krysiu,

Nasz najstarszy, Darek, kupił nam nowego laptopa z okazji 30—tej rocznicy ślubu, to go wzięliśmy na wakacje, bo Tadek się uparł, że od razu wszystkie zdjęcia będzie na niego zgrywać. I teraz prawie codziennie siedzi z tym laptopem na balkonie i mecze ogląda. To ja pomyślałam, że mejla ci napiszę jak tam u nas na rocznicowych wczasach. No fajnie, że nam dzieci tak prezent zafundowały, ale ja Ci powiem, że ja to bym wolała u nas nad Bałtykiem a nie na tej Krecie. Już jak żeśmy do tego samolotu wsiedli, to mi się odechciało. Okazało się, że nie mamy miejsc obok siebie! Jak ta Zośka to załatwiła! Przecież ona tyle lata, już sama nawet nie wiem gdzie, to powinna wiedzieć! Ja nie wiem. No to ja się pytam tej stewardessy jak to możliwe, a ona mówi, że nic nie może z tym zrobić i można ewentualnie zapytać czy ktoś się przesiądzie. To ja się pytam tej baby obok mnie czy się nie zamieni na miejsca bo mój Tadek tam prawie na końcu samolotu siedzi, a ona, że nie, bo zapłaciła specjalnie za miejsce przy oknie! No wiesz co! Bezczelna! W międzyczasie Tadek mi się gdzieś zawieruszył w tym samolocie, stewardessa kazała mi zająć miejsce bo zaraz mieliśmy startować. Ja jej tłumaczę, że męża nie ma, a ona mi wskazuje, że mąż już zajął swoje miejsce z tyłu samolotu. Ja się odwracam, a Tadek zadowolony macha do mnie. Obok niego siedzą jakieś dwie siksy, ledwo co tyłki zakryte, cycki to już prawie w ogóle na wierzchu. I już jakieś śmichy, chichy. Ja mu cały czas mówię, żeby jednej z tych pań wytłumaczył, żeby się ze mną zamieniła, a on mówi, że na niecałe 4 godziny lotu to się nie opłaca. I ty wiesz co zrobił ten stary idiota? Prawie połowę pieniędzy na wyjazd wydał już w samolocie na drinki dla tych prostytutek! Myślałam, że durnia utłukę! Do końca dnia się do niego nie odzywałam. Dopiero przy kolacji okazało się, że te siksy są w innym hotelu, to Tadek oprzytomniał. Ja ci mówię, że one do pracy tam pojechały. Naciągają takich starych durniów i małżeństwa rozbijają. Dobrze, że my mamy te wczasy tzw. ol inkluziw, bo tak to ja bym musiała za wszystko płacić!

Ten hotel to też taki średni. Niby cztery gwiazdki, ale ja nie wiem za co. W telewizji nie ma polskich kanałów. Balkon jest duży z widokiem na morze, ale co z tego jak palmy

wszystko zastaniają! Dlaczego oni ich nie wytną? Do plaży mamy spacerkiem, taki ładny deptak, faktycznie, ale na tej plaży to same kamienie i skały. Jak tu się kąpać? Ja w tych klapkach ledwo co się nie zabiłam jak wchodziłam do wody. Myślałam, że sobie nogę złamałam jak przyszła fala, a Tadek zamiast mnie ratować to się tylko śmiał. Nawet z leżaka się nie podniósł. Wody słonej się nachapałam i ledwo się doczłapałam do leżaka. Dobrze, że chociaż podskoczył w końcu do baru i mi drineczka przyniósł, żebym przepłukała gardło.

Kochany ten mój chłop. Wolę już ten basen przy hotelu, chociaż tam też woda zimna jak diabli, ale przynajmniej soli nie ma. Po tej morskiej wodzie, to ja później włosów nie mogę ułożyć. Tadek też woli basen bo jest blisko baru, ale ja myślę, że temu durniowi to się te młode barmanki podobają. Krążą tu między tymi leżakami i tylko kuszą. Bogatego męża szukają, bo tu przecież sami zamożni przyjeżdżają. Hotel ma cztery gwiazdki. Nie dla byle kogo.

Powiem ci tylko, że jedzenie mamy w cenie, ale to nic nadzwyczajnego jak dla mnie. Tu są prawie sami Polacy w tym hotelu, a oni ani razu nawet schabowego nie zaserwowali tylko jakieś lokalne specjały. Jakieś owoce morza?! Ja nawet nie wiem jak to jeść! Tadekowi też nie smakuje bo wiadomo, że ja najlepiej gotuję, ale pierwszego dnia tak się tu wszystkiego obżarł, że chory był na drugi dzień. Rozwolnienia dostał! Na pewno podali jakieś nieswieże jedzenie! Całe szczęście, że wino jest do każdego posiłku. Wino tu jest dobre. Dzisiaj właśnie mamy wieczorek degustacji lokalnych win. Tadek nie chce iść bo on przecież wina nie pije, woli siedzieć przy barze. Tutaj poznaliśmy taką parę Irenę i Zbyszka co mają smażalnię ryb na plaży w Mielnie. Już nas zapraszali. Mówią, że u nich ta ryba lepsza niż tutaj. Coś mi się wydaje, że na tę degustację to ja pójdę z Irenką tylko bo te chłopcy chcą dzisiaj wieczorem jakiś mecz oglądać w hotelowym lobby. Oni to tam już w sumie siedzą od obiadu. Zajęli najlepsze miejsca, przy barze. Nie wiem czy nie skończy się tak, że będę musiała Tadka pilnować, bo on tu za dużo pije i jeszcze jakichś głupot narobi. Aż cały czerwony na twarzy jest, ale on mówi, że to od słońca, że ma alergię.

Aha, wczoraj byliśmy na całodniowej wycieczce do stolicy Krety, Chani. Tadek mi kupił kolczyki i sukienkę. Taką białą—niebieską w kwiaty. Założę ją dzisiaj i zrobię zdjęcie. Miasto nawet ciekawe, ale ty chodzenia. Komu to się chce w taki upał? Tadek ze Zbyszkim już po godzinie zrezygnowali i zostali w portowej tawernie. Zbyszek ma ponoć słabe serce i nie może tyle chodzić. My szybko zrobiliśmy zakupy i do nich dołączyliśmy. Musimy ich pilnować, żeby im się nic nie stało.

Wiesz, że tutaj jest nawet SPA w tym hotelu. Ja to sobie tam pójdę na masaż, ale żeby się Tadek nie dowiedział, bo jeszcze będzie zazdrosny! A jego tam na pewno nie puszczę, żeby go jakaś obca baba masowała. I to na pewna młoda! A wiadomo co one tam robią jeszcze? Dobra, kończę tego mejla i przygotowuję się na wieczorek winny.

Odezwę się jak wrócimy. Jeszcze cały jeden tydzień został. Jakoś przeżyjemy. Bu-
ziaczki i uściski,
Helenka

MONIKA WERESZCZUK

Supel

Kiedy całe życie ogrzewasz się światłem starszej siostry Jadwigi — mimo, że dorastasz w jej cieniu — powinnaś przecież być oparciem w chwilach jej nieszczęścia. Nakazała sobie Bogusia. Bo to nie Jadwiga rzuciła cień. To nie Jadwiga sprawiała, że w tym cieniu Bogusia wzrastała. Już dawno odważyła się wyjść poza jego doskonałe ramy, złocone pochwałami rodziców, pochwałami wszystkich, a wciąż nie wie czy znalazła się po tej jasnej stronie. Bo dla Bogusi złota zabrakło. Złoto było w cenie. Za jego brak przypłaciła niską samooceną. Niby nie wszystko złoto, co się świeci. Świeciła Jadwiga. Mogłoby się wydawać, że światła nie brakowało jej nigdy, a zwłaszcza dla młodszej Gusi, jak czule nazywała siostrę. Dzisiaj to Jadzia zgasła. Zaraz zapłoną dziesiątki cichych płomieni. Dzisiaj nie ogrzeją Jadwigi. W ich blasku zakłute zostaną wspomnienia, przewiązane wstęgami pełnymi smutku rodziny, przyjaciół i bliskich.

Z wyrazami żalu, Bogusia z rodziną — spojrzała na czarne słowa kontrastujące z białą chryzantem. Że też jej bukiet dom pogrzebowy położył obok trumny w kaplicy. *Z wyrazami żalu...* Jakby te wyrazy cokolwiek wyrażały. Jakby Jadzia się mogła na nich oprzeć. I jeszcze Bogusia z rodziną. Z jaką rodziną? Mietek nie mógł przylecieć z Danii, bo dopiero do pracy wrócił po trzytygodniowym pobycie w Polsce. Starszemu synowi się drugie dziecko lada dzień urodzi — nie chciał ryzykować, a młodszy w drodze. W kościele będzie, na różaniec nie zdążył. Taka rodzina. Jak ta wstęga, niby związana pięknie na kokardkę, ale supel coraz słabszy, nie wiadomo, ile jeszcze ją utrzyma. Ale kto by patrzył na jakiś węzeł? Bogusia patrzyła. Patrzyła na ten jadziowy, mocny. Dopiero śmierć go osłabiła, postrzępiła nić niemal nierozzerwalną. Bo tak się Jadzia z Jankiem kochali. Rostała ta ich miłość w kłębek. Wystarczyło na nich spojrzeć, żeby zapragnąć tak się związać. Bogusia odwracała wzrok. Zbyt dobrze pamiętała te drobne uklucia. Kiedy Jadwiga dostała budyniowego malucha, Mietek przywiózł Bogusi chemię z Niemiec — pierwszego kraju, do którego wyjechał za pracę. Auć. Kiedy Janek woził córkę Matyldę na zajęcia dodatkowe, Mietek zaczynał latać do Danii. Bogusia sama walczyła z młodszym synem, żeby poszedł na korepetycje i postarał się zdać do kolejnej klasy. Auć. Sama. Wciąż sama. Sama synów wychowała, bo ojciec przez miesiące rozłąki przerwał z nimi

nić porozumienia szybciej niż z nią. Taki właśnie supet tworzyli. Ale kokarda piękna. Wspólne wakacje, rodzinne kolacje, atrakcje. Tylko relacje się zgubiły.

I Bogusia wołała się gubić. W kuchni dbając o żołądki wszystkich, albo wymykać do ogrodu

z wnuczkami i swoją robótką. Wychylać się znad płótna, żeby czerpać kolory z dziecięcych uśmiechów.

Jadzia ma i silny supet i najpiękniejszą kokardę.

Jadzia miała.

Siostry, ramię w ramię, pierwsza ławka. Mogłoby się wydawać, że Bogusia wyszła dzisiaj Jadźce na spotkanie ze swoim miękkim współczuciem. A jednak stały osobne, choć w podobnych emocjach. Pogrzebana miłość. Jadwigi nagle i zaraz do ziemi. Jadwigi wielka i zawsze obok. Janek. Bogusi grzebana latami i wciąż. Bogusi niknąca za kilometrami nieba. Mietek. I patrząc ukradkiem na starszą, ta młodsza czuła ogromne zrozumienie dla jej smutku. Mimo to nie mogła prawdziwie go utulić. Nie umiała. Podszyciwało się za nim coś brzydkiego. Czego Bogusia się wstydziła. Czego tak bardzo nie chciała czuć. Bo przecież się nie cieszyła. Jak można się cieszyć z czyjejś straty? Ze straty własnej siostry. Ze starty własnej chrześnicy Matyldy, która cicho łkała tuż za plecami Bogusi. To nie było to. Nie cieszyła się. To było coś w rodzaju sprawiedliwości? Że to Jadzia straciła. A nie znowu ona. Nienawidziła się za te uczucia. Nie zauważyła nawet, że już koniec różańca. Zaraz zamkną jankowe oblicze wiekiem dębowej trumny. Poczuli silny uścisk. To Jadźka złapała jej dłoń w taki sposób, jak gdyby Bogusia miała teraz ją prowadzić. Na to ostatnie spotkanie twarzą twarz z Jankiem, który nawet nie wiadomo czy jeszcze w Janku jest. Czy nie uleciał wraz z końcowym tchnieniem. Wołałaby trzymać teraz w dłoniach tamborek i prowadzić igłę. Tworzyć barwne historie prostą nicią. Te utkane z codzienności są zbyt poplątane.

NATALIA WRZESIEŃ

Okno

Zostałam zrobione na miarę w 1935 roku. Powstałam do warszawskiego mieszkania państwa Ciesielskich, przy Dobrej, niedaleko ogrodu Botanicznego, koło szpitala na Karowej. Nie jestem wyjątkowe. Całkiem zwyczajne jak na tamte czasy. Mam taflę szklaną, pokrytą srebrem, a ramę dębową, z dwiema toczonymi kolumnkami po bokach, zwieńczone zaś jestem gzymsikiem. Dołem idzie półteczka, wąska dość, około trzydziestocentymetrowa, wsparta z przodu na dwóch toczonych, okrągłych nóżkach. Plecy mam zrobione z desek sosnowych, tańszych, bo niewidocznych.

Na Dobrej stałam w garderobie, we wnęcie między szafą a komodą.

Na tej wąskiej półce pani Ciesielska ustawiła swoje szklane flakony o geometrycznych kształtach i puzderka z biżuterią.

Moje pierwsze odbicie? Pani Ciesielska. Wysoka, postawna kobieta, z krótkimi włosami, do ramion, które nad jej wysokim czołem układają się falą. Pan Ciesielski również jest wysoki. Stoi za żoną i chwyta ją w tali, a potem całuje w szyję. Rozglądają się po garderobie, wskazując na coś palcami i z zadowoleniem kiwając głowami.

Pani Ciesielska przymierza dwa szale. Jeden po drugim. Granatowy i biały. Oba pasują do jej luźnej sukienki, sięgającej połowy łydki.

— W obu ci do twarzy. — mówi pan Ciesielski, a ona wybiera szal granatowy. Dobry wybór. W mieszkaniu gaśnie światło.

Pokojówka przeciera moją srebrną taflę bawełnianą ściereczką. Ściera kurz z kolumniek, gzymsu i półki.

Pani Ciesielska przymierza kapelusze. Sukienka jest mocno zaokrąglona na brzuchu, jej twarz napuchnięta. To gorący dzień lata. Pani Ciesielska wybiera kapelusz słomkowy.

W korytarzu dzwoni telefon, pani Ciesielska krzywi się i odchodzi odebrać.

Garderoba jest pusta. Odbijam pół szafy pana Ciesielskiego. Dębowej, solidnej, z dwiema szufladami na dole. Gdzieś w głębi mieszkania płacze dziecko. Ktoś śpiewa mu kołysankę.

Pokojówka przeciera moją srebrną taflę bawełnianą ściereczką. Ściera kurz z kolumniek, gzymsu i półki.

Mała dziewczynka wspiera się rączkami o moją dębową półeczkę. Patrzy prosto w swoje duże brązowe oczy. Sięga rączką do srebrzonej tafl i zostawia na niej lepki ślad małych palców. Opiekunka w białym fartuchu wkracza do pokoju, podnosi ją gwałtownie, wyprowadza z garderoby i zamyka za sobą drzwi. Tak poznałam Sabinkę.

Pani Ciesielska w letniej sukience w kwiaty. Jest w zaawansowanej ciąży. Zakłada na szyję złoty łańcuszek z medalikiem.

Pan Ciesielski zakłada mundur, marszcząc przy tym czoło. Kurtka podkreśla barczystość ramion. Wysoki kołnierz jest sztywny. Pan Ciesielski mocno ściąga skórzany pas. Przygląda się sobie uważnie. Ustawia się bokiem i prostuje plecy. Odbijam promień światła, w którym błysnął siwy włos na jego skroni. Pan Ciesielski przygląda włosy dłonią. Patrzy srogo w swoje odbicie i cicho wzdycha.

Pokojówka przeciera moją srebrną taflę bawełnianą ściereczką, sapiąc. Ściera kurz z kolumienek, ale zapomina o gzymsie. Zapomina?

Tupot małych stópek. Sabinka i druga mała dziewczynka wspinają się na palce, żeby sięgnąć do puzderek pani Ciesielskiej stojących na mojej półeczce. To siostra Sabinki – Terenia. Przymierzają kolie i pierścionki pani Ciesielskiej, chichocząc. Starają się być poważne i nie narobić hałasu, ale jedno z porcelanowych pudełek upada i tłucze się. Dziewczynki uciekają. Przychodzi opiekunka i zamiata podłogę.

Pani Ciesielska z dużym pośpiechem pakuje ubrania do walizek. To pojawia się, to znika w świetle mojej ramy. Wreszcie staje przed lustrem i opróżnia pudełka z całej swojej biżuterii. Pakuje je do bawełnianego worka. Spogląda na siebie. Postarzała się, ma zmarszczki pod oczami. A może jest zmęczona? Nie widać dobrze w późnym popołudniowym świetle. Wzdycha, odruchowo poprawia włosy, obciąga bluzkę i wychodzi z garderoby. Po chwili wraca i zakrywa mnie wielkim białym prześcieradłem.

Ciemność. Ciemność i ciemność. Co jakiś czas przez białe płótno przebijają krwawe rozbłyski, którym towarzyszą grzmoty. Ogromny huk w pobliżu. Z okna garderoby wypadają szyby.

Stukot skórzanych butów na dębowym parkiecie. Dźwięk rozbijanego szkła, w jadalni czy kuchni. Dźwięk rozbijanego szkła w skrzydłach drzwi do garderoby. Komendy po niemiecku.

Stukot skórzanych butów na dębowym parkiecie. Dźwięk rozbijanego szkła, w jadalni czy kuchni. Chrzęst deptanego szkła na drewnie. Słowa po rosyjsku. Opada ze mnie białe płótno. Przed moją taflą stoi mężczyzna w gimnastorce, ze stójką i w płaszczu. Strąca puste pudełka z drewnianej półeczki. Porcelanowe tłuką się, a drewniane upadają z łoskotem. Dwóch innych żołnierzy stoi w głębi garderoby i wyrzuca na środek ubrania pana Ciesielskiego, wyłamując przy tym drzwi dębowej szafy.

Cisza.

Pani Ciesielska. Przechodzi przez pokój. Resztki szkła chrzęszczą pod jej butami. Bardzo się postarzała, odkąd ostatnim razem się we mnie przeglądała. Uśmiecha się do mnie lekko. Do mnie? Do mnie.

— Patrzcie, patrzcie, a lustro się ostało! — mówi.

Dwóch furmanów stęka i wyciąga mnie z mojej wnęki. Mojej, bo przecież byłam do niej przeznaczona.

Sufit. Biały, popękany. Próg mieszkania. Odrapany sufit klatki schodowej. Bardzo zniszczony fragment fasady podwórka i niebo. Jasne i niebieskie, z delikatnymi obłoczkami. Wóz drabiniasty i meble. Drewniane szafy, komody, ramy łóżek i siano. Podróżuję, odbijając powierzchnię brudnego brązowego pledu, którym mnie okryto.

Niebo. Szare. Zakopcone. Szara fasada szarej kamienicy. Ciemne, szare podwórko jak studnia. Odrapana ściana klatki schodowej. Parter. Próg wąskich drzwi. Brodata twarz sapiącego draba, jego brudne, czarne jak smoła paluchy chwytają mnie za srebrzoną taflę. Pani Ciesielska pojawia się ukosem i zaraz znika.

— Tutaj to proszę postawić.

Osiadam w ciemnym wąskim korytarzu, w miejscu, gdzie ukośnie rozszerza się na drzwi wejściowe i wejście do kuchni. Plecami opierają mnie o ten skos i w szklanej tafli odbijam teraz fragment drzwi wejściowych i pół wejścia do kuchni. Pani Ciesielska podaje drabom w ich brudne włochate dłonie zwitek banknotów i zamyka za nimi wąskie drewniane drzwi.

Podchodzi do mnie i gładzi mój gzyms.

— Jednak uszczerbili, cholera. — mamrocze do siebie. Przeciera ostrożnie moją taflę bawełnianą ściereczką i ciepłą wodą, usuwając ślady brudnych paluchów.

W ciemności rozbłyśka światło kuchennej lampy. Pani Ciesielska wstawia wodę i parzy kawę. Oczy ma spuchnięte od snu. Obmywa twarz w zlewie. Korytarz jest tak wąski, że kiedy przechodzi obok, jej nocna koszula zahacza o moją drewnianą półkę. Nie stoją już na niej żadne puzderka. Po chwili wraca w poliestrowej sukience, narzuca na siebie płaszcz i szalik, pospiesznie zerka w odbicie. Zmęczona twarz wyłania się z ciemności mieszkania dzięki światłu górnej lampy. Nie jest korzystne moim zdaniem, podkreśla jej worki pod oczami. Pani Ciesielska krzywi twarz z niezadowolenia i wychodzi z mieszkania. Za drzwiami miga gęsta czerń korytarza.

Sabinka i Terenia, nadzwyczaj poważne, ubierają popielate płaszcze i nakładają na plecy szerokie teczki. Trzaskają drzwiami, a przekręcany klucz chrzęści w zamku.

Całymi dniami nic się nie dzieje. Cisza i mrok wąskiego korytarza. W marnym świetle dnia odbijam zarysy kuchni i spory fragment drzwi wejściowych. Pani Ciesielska wstaje, kiedy jest jeszcze ciemno, robi kawę i wychodzi przed dziewczynkami, które z kolei wracają do domu przed nią. Sabinka gotuje obiad, który pani Ciesielska zjada na późną kolację.

Marne światło dnia nie jest tu wcale lepsze od wieczornego światła lampy. A żebym mogło dobrze pracować, potrzebuję dobrego światła. Pani Ciesielska nie widzi wyraźnie, ile siwych włosów ma już na głowie, ale nie wydaje się tym bardzo zatroskana. Na półce pod srebrzoną taflą walają się rękawiczki, czapki i szaliki. Klucze i torebki.

Dzwonek do drzwi wywołuje panią Ciesielską z głębi mieszkania. Jej plecy wchodzą w moje odbicie z prawej strony. Listonosz w granatowym uniformie podaje jej list. Pani Ciesielska siada przy stole w kuchni, plecami do mnie. Są zgarbione.

Pani Ciesielska staje przede mną w granatowej sukience w białe groszki i przygląda się sobie uważnie. Taksuje włosy. Wciąż nosi je do ramion, ale z reguły spina je spinką z tyłu głowy. Usilnie układa je teraz na bok za pomocą grzebyka i stara się upchnąć pod spód siwe kosmyki. Drży na odgłos dzwonka. Za drzwiami stoi barczysty mężczyzna. Dopiero gdy go wprowadza do wąskiego korytarza, w odbiciu mojej tafli pojawia się twarz pana Ciesielskiego. Bardzo zmieniona. Jakby postarzona. Długo stoją przy wejściu przytuleni.

Od przyjazdu tutaj nikt mnie nie przecierał jeszcze z kurzu. Wydaje mi się, że na tafli gromadzi się też sadza z pieca opalanego węglem i inne kuchenne osady. Nie wiem, jak sobie z tym radzić. Nigdy nie stałam przy kuchni. Nie mogę dać przez to dobrego odbicia. Nie mówiąc już o tutejszym świetle.

Bardzo przejęta Terenia próbuje różnych upięć włosów. W końcu stawia na warkocz. Ma na sobie błękitną sukienkę i zapinany z przodu liliowy sweter. Trudno mi wydobyć pełne kolory i fakturę jej ubrania. Sabinka podaje Tereni chustkę, którą ta zawiązuje na włosach.

Obie siostry są podekscytowane. Sabinka otwiera drzwi szykownej pani, którą obie nazywają ciocią. Pan Ciesielski, który od powrotu do domu rzadko wychodzi na zewnątrz, podaje jej żółtawy banknot. Jadzia żegna się z siostrą i ojcem i wychodzi z szykowną panią.

Dzwonek. Pan Ciesielski w brązowym garniturze otwiera drzwi. Zza jego pleców wyłania się wychudzony mężczyzna z bukietem czerwonych gerber. Pan Ciesielski zabiera od niego płaszcz i prosi na pokoje. Pani Ciesielska w żółtej sukience wynosi z kuchni talerz z szarlotką.

Terenia w białej sukience i welonem na włosach kładzie na mojej półeczce bukietik frezji przewiązany tasiemką. Pudruje policzki. Pani Ciesielska upięła włosy na bok. Pan Ciesielski założył swój brązowy garnitur. W drzwiach staje chudy mężczyzna. Państwo Ciesielscy błogosławią jego i Terenię.

Chudy pan, który ma na imię Władysław, wychodzi rano do pracy godzinę później niż pani Ciesielska. Przechodzi korytarzem w kalesonach i podkoszulku, czasem nie uważnie mnie przy tym trąca. Pali papierosy. Moją taflę pokrywa teraz nowy żółtawy osad. Jest lepki, łatwo przywiera do gładkich powierzchni.

Władysław siedzi w kuchni z panem Ciesielskim. Odbijam jego plecy w podkoszulku i pół pana Ciesielskiego, który siedzi do mnie bokiem. Parzą kawę i palą papierosy. Do korytarza dochodzą szczątki rozmów, pojedyncze słowa: „obóz”, „fabryka”, „głód” „raz dali kartofle na Wigilię”.

Światło lampy i wielkie poruszenie. Środek nocy. Władysław i pan Ciesielski przybiegają, zakładają kurtki i wybiegają w głąb mieszkania. Za chwilę wychodzą z omdłąłą Sabinką, owiniętą w koc. Pani Ciesielska jest na nocnej zmianie w fabryce. Kiedy wraca do domu, jest w opłakanym stanie.

Pani Ciesielska przechodzi szybkim krokiem przez korytarz.

Terenia krząta się po kuchni w milczeniu.

Pan Ciesielski trzaska za sobą drzwiami.

Władysław trąca mnie w biegu i odłamuje niechcący róg drewnianej półki.

Terenia i pani Ciesielska rozmawiają w kuchni. Raz po raz Terenia pojawia się przy stole, który znajduje się w moim odbiciu, siada przy nim, po czym wstaje. „Doktor powiedział...”, – szepcze pani Ciesielska. „Tarczyca”. „Nie wiadomo”. Terenia siada przy stole i pospiesznie je obiad. Wychodzi do przedpokoju, zakłada płaszcz. „Zabierz termos z herbatą”. Pani Ciesielska wynurza się na chwilę z kuchni.

Zapłakana Terenia gotuje w kuchni. Raz po raz staje przy stole pokroić warzywa. Ociera nos w fartuszek.

Pani Ciesielska staje przede mną w czarnej sukience i czarnym futrze z karakuł. Chyba jeszcze przedwojennym, albo pożyczonym. W każdym razie pierwszy raz ma je na sobie. Zapłakane oczy są czerwone i napuchnięte. Nawet w tym ciemnym korytarzu to widać. Nie próbuje się malować. Patrzy na siebie nieobecny wzrokiem. Pan Ciesielski podchodzi do niej i wyprowadza ją pod ramię.

Mija czas, a ja pokrywam się coraz większą warstwą kurzu, papierosowego i węglowego osadu, na które tylko ja zwracam uwagę. Coraz mniej światła mogę odbić, a przecież nie ma go tu zbyt wiele.

Władysław wraca do domu pijany. Uderza się o półkę na buty i klnie głośno.

Terenia przechodzi obok mnie zaaferowana z becikiem.

Pod sufitem w kuchni, Władysław wiesza rzędy białych pieluch. Nocami wygotowuje je w wielkim garnku.

Światło zapala się i gaśnie o nieregularnych porach.

Terenia wchodzi i wychodzi do kuchni z kaszkami, butelkami i wyparzonymi smoczkami.

Po mojej poobrywanej półce wspinają się małe rączki. Do przybrudzonej tafli twarz przybliża kilkuletni urwis. Staje na chwiejnych nóżkach, patrzy w swoje odbicie, śliniąc się obficie z bezzębnych ust. Terenia przybiega i staje za plecami synka. Klaszcze w dłonie woła:

— Władziu! Jędrus stoi!

Jędrzek widzi odbicie mamy, śmieje się perlistym głosem pulchnego dziecka i grzmoci pupą o podłogę.

Pani Ciesielska mocno postarzała, zamiata podłogę w korytarzu. Wciąż nikt nie pamięta, aby mnie odkurzyć. Może by zauważyli odłamane elementy stolarki i inne ubytki.

Władysław staje przede mną i nakłada czerwoną kapotę, doczepia sobie białą brodę z waty, smaruje burakiem policzki. Narzuca na plecy jutowy worek.

Pani Ciesielska wciąż jest postawna, jednak wyraźnie zgarbiła się i pomarszczyła na twarzy. Powolnym krokiem wychodzi z kuchni na mój korytarzyk, ale nawet nie patrzy w moją stronę.

Terenia uważnie pudruje policzki. Po ciąży nabrała tuszy.

Władysław trzusi się, żeby przenieść przez wąskie drzwi wejściowe pralkę.

Władysław przynosi opiekacz.

Władysław przynosi telewizor.

Nadal chodzi po domu w kalesonach i podkoszulku. Z nieodłącznym papierosem w zębach. Rzadko na siebie spogląda, a rysy jego twarzy wyostają się, policzki zapadają coraz bardziej.

Terenia staje przede mną i bardzo uważnie mi się przygląda. Pokraśniałam na myśl o przemyciu tafl.

— Władziu — mówi do męża. — Chyba trzeba by coś z tym lustrem zrobić.

Władysław staje obok żony, podpira się pod boki.

— Stoi tu taki mebel, tylko nam zagraża przejście. — ciągnie Terenia.

— Tereska, takiego lustra dzisiaj nie dostaniesz nigdzie. — oponuje Władysław. — To przedwojenna robota.

— No tak. Ono było na zamówienie robione. Do mieszkania rodziców jeszcze. Ale to były inne warunki przecież. Tu nie ma miejsca. W Juwentusie widziałam lustro w drewnianej ramce, do powieszenia na ścianie.

— Chyba politurowanej. — mamrocze Władysław. — Szkoda tego wyrzucać.

— Do piwnicy wynieś. Może kiedyś się przyda.

Władysław owija tekturą moją taflę, obwiązuje sznurkiem. Wysuwają mnie za oplecione pajęczynami i kotami kurzu nóżki. Prowadzą schodami do piwnicy.

Nieprzerwana ciemność. W niej tylko szelest mysich nóg i chrupot korników podgryzających dolną półkę i boczne kolumny dębowej ramy. Obrosłam w pajęczyny i wylinki pajaków. W kurz i piwniczny pył. Wilgoć wdiera się w otulającą mnie tekturę, podgryzaną przez myszy. Przenika moje drewniane nóżki, które puchną, mięknią i pokrywają się pleśniowym osadem. Stałam w tej piwnicznej ciemności latami i spałam.

Budzi mnie promień światła. Przenika przez tekturę jak świt przedziera się przez

zamglone pole. Odgłosy dochodzą z oddali, jak spod grubej warstwy waty, wełny mineralnej albo innej otuliny.

— Co to za rupieciarnia! — głos kobiecy.

— Ojciec tu latami składował niepotrzebne rzeczy. — głos męski.

Szuranie, gruchot, przesuwanie, łomot.

Oślepia mnie blask. Bardzo piękna młoda kobieta w zaawansowanej ciąży ściąga ze mnie lata kurzu i pyłu. Ciepła, wilgotna ściereczka irchowa przeciera posrebrzaną taflę, drewnianą ramę, półkę, a nawet nóżki.

— Andrzej, to lustro jest przepiękne. Ale ma drewnojada. Popatrz — pełno tu dziurek.

Podchodzi do niej mężczyzna, który wygląda znajomo. Trochę jak pani Ciesielska, a trochę jak Władysław. Rozpoznałam w nim Jędrka.

— To jest lustro z mojego dzieciństwa. — śmieje się — Stare jak świat. Może dostanę gdzieś jakąś chemię na robala. Ale tobie nie wolno się do tego zbliżać, zrozumiano! — całuje kobietę w czoło. — To są toksyczne substancje.

Stanęłam więc w nowym miejscu. Sufit nie jest tu tak wysoko jak w Warszawie. Stoję w dużym pokoju, tuż obok drzwi balkonowych, od których trochę zawiewa wilgocią. Odbijam teraz rząd okien na ścianie po mojej prawej stronie, zza których widać tylko niebieskie niebo i obezwładniające światło południa. Pod oknami odbija się w mojej tafli stół i dwa fotele. A naprzeciwko mnie, pod ścianą — mały telewizor stojący bezpośrednio na podłodze. O jego bok opiera się rząd płyt winylowych. Wyżej, na ścianie wiszą dwie grafiki w drewnianych cienkich ramkach. Na mojej półce stoją teraz kamienne figurki.

Anna siedzi w fotelu i czyta. Z adaptera, który stoi po mojej lewej stronie, płynie jazz.

Anna siedzi w fotelu i trzyma na kolanach małe dziecko. To dziewczynka. Ma wielkie czarne oczy, które widać w mojej tafli aż z tej odległości.

Puste fotele, stół i pokój. Andrzej krzyczy w pokoju obok. Anna wpada do pokoju, rzuca się na fotel i płacze. Gdzieś w głębi mieszkania trzaskają drzwi.

Mała Dziewczynka raczkuje po podłodze.

Andrzej wnosi do pokoju regał, na którym stawia telewizor i płyty.

Mała Dziewczynka rysuje parkiet skacząc po pokoju na koniu na biegunach, co bardzo śmieszy Annę i bardzo złości Andrzeja. Wieczorem, kiedy dziewczynka śpi, Anna i Andrzej kłócą się o parkiet.

Andrzej wynosi z pokoju wytarte fotele, w ich miejsce wstawia kanapę. I rozwija dywan.

Mała Dziewczynka biega po pokoju i skacze na kanapie. Nagle ześlizguje się i upada, a spadając uderza czołem o moją półkę i płacze. W tafli widać czerwone wnętrze jej gardła. Z czoła leci strużka krwi. Anna zabiera dziecko i wybiega z nim z pokoju.

Andrzej śpi na kanapie. Anna przykrywa go kocem.

Anna śpi na kanapie, Andrzej przykrywa ją kocem.

Anna i Andrzej śpią na rozkładanej kanapie. W niektóre noce kochają się, a ich odkryte ciała są spowite w niebieską poświatę, którą cicho odbijam na nich z okna.

Między mną a kanapą stoi choinka. Mała Dziewczynka, która jest już całkiem duża, zakrada się, zdejmując bombkę za bombką i przerabia je na brokat w zakamarku między mną a drzwiami balkonowymi. Odbijam jej białe stopy, do których przyklejone są okruszki z podłogi. Rodzice w tym czasie śpią na kanapie. Za dziewczynką rozciąga się błyszcząca brokatowa ścieżka. Jej światło pięknie mieni się w moim posrebrzonym szkle.

Anna i Andrzej oglądają wiadomości w telewizji. Na ekranie widać wiele osób siedzących przy okrągłym stole. Staram się jak najwyraźniej odbić obraz z telewizora.

Mała Dziewczynka pochyla się nade mną i smaruje sobie usta czerwoną szminką Anny. Rozciera ją wargami, jak podpatrzyła u mamy. Wygląda komicznie i śmieje się do swojego odbicia. Jest szczerbata, zaczyna tracić mleczne zęby.

Anna podchodzi do mnie i zakłada złote kolczyki.

Mała Dziewczynka leży na kanapie i ogląda kreskówki na video, dłubiąc w nosie i zjadając własne gile.

Cała rodzina zbiera się przy stole na wigilii. Z wielkim trudem rozpoznaję Terenię. Jest ubrana na czarno, ma całą pomarszczoną twarz. Jest i inne starsze małżeństwo, w którym domyślałam się rodziców Anny.

Mała Dziewczynka obciąga na sobie bluzkę i spogląda na rosnące piersi. Potem patrzy sobie prosto w oczy i wytyka język.

— Gównu! — wykrzykuje i wybiega z pokoju.

Mała Dziewczynka głaszcze małego kotka. Poddusza go, kierując jego pyszczek w moją stronę. Jest puszysty i zachwycający. Całuje go w miejsce między uszami.

W nocy kot wskakuje na mój gzyms, z którego zeskakuje na parapet i strąca z niego doniczkę. Anna i Andrzej zapalają światło obudzeni.

Kot wskakuje na moją półeczkę, strąca z niej figurki. Kładzie się i oblizuje sobie łapy. Jego miękkie futro opiera się o moje chłodne szkło. Kot wstaje i sika na moją taflę. Mocz wyżera srebrny film na szkle. Powstaje odbarwiona plama. To tak jakbym traciło wzrok, miało jaskrę albo permanentne zapalenie spojówek.

Anna próbuje zetrzeć plamę. Tego się nie da zetrzeć. To jest immanentne. Wzrusza ramionami.

Andrzej pochyla się nade mną, kuca przy plamie i przesuwając ją po niej palcami. Nie mogę wytworzyć jego odbicia. Nie wiem, co robi.

Mała Dziewczynka, której już urosły piersi, przymierza sukienki, jedną po drugiej. Rozrzuca je po dużym pokoju, po kanapie i podłodze. Po nich biega rozszalały kot. Z telewizora leci głośna muzyka. W prawym górnym rogu, czyli moim lewym górnym, widać

logo MTV, które trochę inaczej wygląda w mojej taflí. Po wybraniu czarnego topu z odstóniętym brzuchem i szarej spódnicy długiej do kostek, Mała Dziewczynka wyłącza telewizor i wychodzi z pokoju, do którego wchodzi Andrzej. Wścieka się na bałagan. Przychodzi Anna i sprząta ubrania córki.

Anna i Andrzej leżą na kanapie i oglądają film w telewizji. Kot śpi w ich nogach.

W ciągu dnia, kiedy rodzice są w pracy, Mała Dziewczynka, która powinna być w szkole, pojawia się w dużym pokoju. Przy niej na kanapie siada chłopak. Mała Dziewczynka całuje go w usta, a całując go, patrzy prosto na mnie, na posrebrzaną, starą taflę przedwojennego lustra. Wydaje mi się, że się rumieni, chociaż to ona powinna się wstydzić.

Anna sprząta mieszkanie. Wyciera kurze z parapetów i stołu. Oraz z mojej półeczki, na której już nie stoją figurki, odkąd pozrucił je stamtąd kot. Pochyla się nad moją plamą.

— Nie mogę patrzeć na tę plamę. To tak jakbyśmy tu mieli wystawione w ramie siki kota. — mówi. Andrzej wzrusza ramionami.

— Jest ci to obojętne? — w głosie Anny słychać pretensję. Andrzej podchodzi i staje za jej plecami. Patrzy w mój prawy dolny róg.

— Ja, wiesz, mało czasu spędzam przed lustrem. — ironizuje.

— Nie chcę tego tutaj mieć.

— Kiedyś ci się podobało to lustro. Należało do mojej babci.

— No rama jest ładna i pasuje nam do mieszkania, ale tafla jest cała zniszczona. Tu popatrz. Już odłazi coś z tego szkła. — wskazuje palcem na moje srebro uszkodzone moczem kota.

Mężczyzna w roboczym kombinezonie rozciąga miarkę wzdłuż gzymsu. Mierzy mnie wzdłuż i wszerz. Odsuwa mnie od ściany i ogląda sosnowe plecy. Potakuje głową. Andrzej stoi za nim i obserwuje go przy pracy.

Anna odkurza dywan w dużym pokoju. Andrzej leży na kanapie i ogląda teleturniej.

Mała Dziewczynka staje przede mną i rozciera sobie na policzkach róż palcami o bardzo obgryzionych paznokciach. Kot łasi się jej do nóg.

Anna prasuje przed telewizorem.

Mężczyzna w roboczym kombinezonie kładzie na stole z białym obrusem skrzynkę z narzędziami. Anna i Andrzej stoją za nim i patrzą na ścianę po mojej lewej stronie. Kiwają głowami z zadowoleniem. Mężczyzna powoli i z dużą ostrożnością wyciąga mnie z ramy. Odbijam z bliska białą ścianę.

Próg mieszkania, klatka schodowa o ścianach malowanych olejną farbą, z lamperią pośrodku. Schody. Plastikowa czerwona poręcz. Lastrykowa posadzka. Kratka i oszkło-
ne drzwi do bloku mieszkalnego. Niewielka ciężarówka stoi zaparkowana na parkingu, obok nielicznych samochodów osobowych.

Włóknista ścianka wnętrza ciężarówki. Brudny koc w czerwoną kratę. I bardzo mało światła.

SABINA KASOŃ

Przyjaźń i inne korzyści

Trzasnęła wejściowymi drzwiami. Z impetem cisnęła swoją elegancką torebkę Wittchen na szafkę przy drzwiach. Po czym nie ściągając butów, rzuciła się na łóżko i zapłakała.

Za oknem, pogoda, jakby czując nastrój Emilii, rozpoczęła symfonię rześistego deszczu wygrywając rytm na werblu parapetu.

To nie mogła być prawda! To się tak nie mogło skończyć! To przytrafiło się innym osobom. Ale nie jej.

To ona okazywała bliskim ciała zmarłych w szpitalu osób. Tłumaczyła przyczynę śmierci i dawała taktownie czas na pożegnanie się.

Tym razem wszystko było inaczej.

Od wczoraj nie mogła się dodzwonić do Roberta. Byli umówieni na kawę po pracy. Nie przyszedł. Pierwszy raz. Wiedziała, że ma żonę. Ponoć nie byli szczęśliwi. A ona z Robertem byli raczej friends with benefits. I to naprawdę dobrymi przyjaciółmi. Nie parą. Nie wiązała z nim przyszłości. To, co było, wystarczało jej.

A dziś rano, kiedy przyszła na dyżur, poprzednik przekazał jej raport o nowych gościach w ich prosektorium. Tuż po 8:00 ordynator traumatologii przyprowadził przystojną babkę, w jej wieku, do gościa 84357/T/06/24. Wysunęła ciało z chłodni. Odkryła prześcieradło. I zbladła. To był Robert. Zupełnie nie spodziewała się, że go tu spotka. A obok stała właśnie jego zrozpaczona żona.

To był wyjątkowo ciepły maj. Wracała po dyżurze do domu. Ale do domu iść nie chciała. Bo było tam zbyt pusto. A ona chciała poczytać książkę w towarzystwie. Dlatego wstąpiła do sieciówkowej kawiarni, gdzie o tej porze zwykle juppies tylko wpadali po kawę w kartonowych kubkach i kanpkę na wynos.

Ona nie lubiła pić kawy w pośpiechu. Lubiała się nią delektować. Smakować. Każdy łyk kosztowała, jakby to było wyborne wino, jakieś Château Margaux rocznik 1983. Zawsze zamawiała latte. Tak, uwielbiała te wymyślne kompozycje przygotowywane

przez kawiarnie w zależności od pory roku. Co rok były coraz bardziej skomplikowane, kolorowe i coraz słodsze. Ale ponieważ Emilia generalnie prowadziła dość ascetyczne życie, to od czasu do czasu pozwalała sobie na takie kawowe szaleństwo. Tego dnia zamówiła LavendoveLatteLove — kawę z bardzo słodkim syropem lawendowym, posypaną drobkami suszonej lawendy jadalnej. Po prostu niebo w gębie po ciężkiej nocy w szpitalu. Do tego kanapka z baba ganush i grilowanymi warzywami. W ten sposób miała załatwiony posiłek już przynajmniej do samej kolacji. Albo późnego obiadu. Przed pracą, która zaczynała się o 18:00 wypadałoby jeszcze coś zjeść.

No i jak zawsze wyciągnęła do tego zestawu książkę. Zawsze miała jakąś książkę ze sobą. Nie, nie jakąkolwiek książkę. Najczęściej było to jeden z kryminałów Agathy Christie, czasem Arthura Conan Doylea. Uwielbiała czytać je w kółko. Analizowała motywy, pozostawione poszlaki, tropy, dedukcję detektywów — czy to był Herkules Poirot, czy Panna Marple czy szacowny Sherlock Holmes.

Tego dnia miała przy sobie Morderstwo w Orient Expressie. Klasyk. Zamieszała kawę, upiła pierwszy łyk i wróciła do czytania w miejscu, w którym musiała przerwać wczoraj, przed rozpoczęciem dyżuru. Kiedy zanurzyła się w lekturze, poczuła, że świat wokół niej zanika, a ona udaje się w podróż tym mistycznym pociągiem. Dlatego nie zauważyła przystojnego bruneta, który zerknął na nią stojąc przy barze i czekając na swoją kolejkę do złożenia zamówienia. A Robert, był tak samo wielkim miłośnikiem twórczości pani Christie.

— Już pani wie, kto zabił? Rozwikłała pani już tę zagadkę jak wielki Poirot? — nad Emilią stał wysoki mężczyzna trzymający w dłoni malusieńki kubeczek z kawą. Aha, pomyślała — zaraz mi się dostanie, że paskudzę kawę mlekiem i syropami. Rozpoznała w nim espresso—maniaka. U takich osobników kawa wchodziła w grę tylko w bardzo skondensowanej ilości, bardzo mocna, bardzo kawowa i bardzo bez dodatków.

— Ach, to bardzo proste. Są dwa rozwiązania tego morderstwa. Albo wszyscy po trochu maczali w nim palce, albo zrobiła to osoba, której nie było w pociągu, nieznany sprawca. — Odpowiedziała z dużą pewnością siebie — w końcu czytała tę książkę już chyba ósmy raz. I mogła trochę sobie pożartować z nieznajomego. W końcu pewnie nigdy w życiu go nie spotka. — Wie pan, Agatha Christie była jedną z pierwszych kobiet, które należały do męskiego ówczesnie Klubu Detektywów. Ten klub skupiał popularnych w latach 20—tych XX wieku pisarzy kryminałów.

— Tak, a oni zobowiązywali się w przysiędze, że nie będą w swoich intrygach wykorzystywać nadprzyrodzonych mocy ani powszechnie dostępnych trucizn. Agatha Christie to moja ulubiona pisarka. A ja jestem Robert — wyciągnął w jej kierunku rękę, w której akurat nie trzymał mikrokubeczka z espresso. Wbrew wszystkiemu, co w Emilii krzyczało, żeby tej ręką nie ścisnęła, bo przecież to obcy, bo niewiadomo—co—to—za—jeden i espresso—maniak — Emilia uściśnęła wyciągniętą z serdecznością dłoń.

— Emilia. Przyznam, że też bardzo lubię czytać książki Christie, ale też innych klasycznych mistrzów — Conan Doyle, Poe, Hammeta czy Chandlera.

— Ach, to widzę, że jest pani znawczynią kryminałów. Ciekawi mnie, co panią tak w nich pociąga? — Robert zadał to pytanie z autentycznym zainteresowaniem, jednocześnie pytając wzrokiem czy może się przysiąc. Kiedy Emilia nieznacznie tylko skinęła głową, odsunął krzesło i tak zaczęła się ich przyjaźń.

Robert od zawsze był zakochany w kryminałach. Chciał być detektywem. Dlatego od małego wymyślił sobie studiowanie prawa. Tylko jakoś potem, kiedy był już na studiach, uznał, że to trochę pogoń za dziecinną mrzonką i że dużo lepiej może usytuować go prawo handlowe. Zaczął się więc specjalizować w prawie spółek. Umowy, przejęcia, rozliczenia między wspólnikami, wejścia na giełdę. Kiedy tamtego dnia wszedł do kawiarni, w której siedziała Emilia, już od pięciu lat pracował w jednej z większych warszawskich kancelarii specjalizujących się w prawie spółek. Jego błyskotliwy umysł podsuwał rozwiązania, na które nie wpadali starsi wspólnicy. Szybko pięł się po kancelaryjnej drabinie. Pewnie w ciągu 2–3 lat zostanie młodszym partnerem. Już kilka razy zdarzyło się, że nowy klient, który przychodził prosił wręcz, żeby to pan Robert się nim zajął. Do tego młoda, idealna żona, dziecko w drodze. Można by pomyśleć, że jego życie jest perfekcyjne. Dokładnie takie, jakie powinno być. I tylko brakowało w tym życiu iskry. Wszystko to robił na automacie. Idealnym. A on tak chciał takich zwykłych rozmów, o książkach, o pierdołach. Chciałby powłóczyć się po górach z plecakiem, ale otoczenie oczekiwało, że pojedzie na wakacje do drogiego kurortu i przez cały pobyt ani razu się nie spoci. A z pewnością tego oczekiwała jego żona, Konstancja. Robert nawet nie wiedział, kiedy zrobiła się taka, jakby kij od szczoty połknęła. Ciągłe tylko go strofowała, gdzie powinien być widziany, a gdzie nie. Jaki garnitur, jakie koszule, jakie buty. Hot–dog z Żabki — absolutnie nie. Kawa w tekturowym kubku z modnej sieciowej kawiarni — zdecydowanie tak. Burger w Mac'u — nie mógł nawet o nim pomyśleć. Za to sushi w tradycyjnej japońskiej restauracji było akceptowalne, ale pod warunkiem, że jadł pałeczkami. Których nienawidził z całego serca. Czasem miał wrażenie, że jest tylko marionetką w sprawnych dłoniach swojej żony. Że ona zaplanowała mu już karierę. Co najmniej do poziomu głównego wspólnika w kancelarii. Ale kto wie? Może nawet widziała go na fotelu prezydenta kraju? Nie znał jej już.

To Konstancja urządziła ich mieszkanie na modnym osiedlu na Żoliborzu. Kiedy do niego wchodził, miał wrażenie, że przestępuje progi jakiegoś obcego miejsca, skrzyżowania sterylnego laboratorium z muzeum sztuki nowoczesnej. To ich mieszkanie było zimne, nie było w nim życia. Nie było w nim znaków życia. Żadnych nie odłożonych na miejsce brudnych naczyń, żadnych książek położonych w trakcie czytania na stoliku

przy sofie, żadnych ubrań poza szafą. Żadnych zdjęć Konstancji i Roberta. Nawet ze ślubu. Tylko same „eksponaty” muzealne — jak nazywał w myślach durnostojki kupowane przez Kostkę za niewiarygodnie duże sumy. Oczywiście wszystko pochodziło od modnych projektantów, których nazwisk nawet nie chciał zapamiętywać.

I wtedy, tak niespodziewanie dla samego siebie, podszedł do młodej kobiety pochłoniętej lekturą Morderstwa w Orient Ekspresie.

Emilia kilka lat wcześniej skończyła studia medyczne. Szkoliła się na patologa. Najpierw staż na patologii, potem egzamin lekarski. Teraz akurat była w trakcie specjalizacji. Jeszcze 2—3 lata i zostanie lekarzem specjalistą patologiem. Nie miała czasu na zwiazki. Albo się uczyła, albo pracowała. No i czasem czytała. Przeprowadzając sekcje zwłok czuła się jak detektyw. Musiała odkryć przyczynę śmierci pacjenta. Chociaż częściej w prosektorium mówili na swoich pacjentów „goście”. Bo pacjent to osoba, którą można wyleczyć. A tym już nic nie pomagało. I gościli w prosektorium zazwyczaj tylko przez chwilę — zwykle aż rodzina odebrała ciało. Czasem trwało to chwilę dłużej, kiedy trzeba było dokładnie gościa zbadać i ustalić przyczynę zgonu. A czasem nikt się nie zgłaszał. I wtedy taki gość był chowany na koszt miasta.

Więc kiedy Robert zaczął z nią rozmowę tam, wtedy w kawiarni, oboje byli bardzo samotni. I oboje bardzo potrzebowali bratniej duszy.

Początkowo spotykali się przypadkowo w tej samej kawiarni i wymieniali spostrzeżenia o poszczególnych książkach Christie. Jednak kiedyś — postanowili nie tylko uszczknąć z czasu ociupinkę — tylko poświęcić pisarstwu Agathy całe popołudnie. Żona Pawła akurat wyjechała na kilka dni do swojej matki, a Emilia skończyła zmianę o 15. Spotkali się w tej samej kawiarni, co zwykle. To nic, że sieciówka, to nic, że całkiem sporo ludzi. Dla nich nagle przestał istnieć świat zewnętrzny — całe popołudnie spędzili w świecie równoległym — krainie Poirot, Marple czy Holmesa. Rozmawiali o książkach ze sobą tak, jakby znali się od urodzenia. Wymieniali spostrzeżeniami o poszczególnych zagadkach — a gdzie były zostawione przez autorkę okruszki, a gdzie zagadka była tak trudna, że prawie do samego końca nie mogli się domyślić „kto zabił”. Ten kawiarniany klub książki wszedł im w krew. Spotykali się nieregularnie, kiedy pozwalała im praca i jego rodzina. Bo wkrótce na świat przyszedł Krzysio. Syn Roberta. Słodki bobas. I wtedy zmienili nieco rytuały. Teraz częściej Emilia kupowała dwa kubki kawy i dołączała do Roberta, który pchał wózek ze swoim synem. Spacerowali po parkach, dalej rozprawiając o książkach — i już nie tylko o książkach. Okazało się, że rozumieją się, jak mało kto. Oboje byli uważnymi słuchaczami, więc zazwyczaj każde z nich miało swój moment, żeby zwierzyć się

z trudniejszych momentów w życiu. Czy to chodziło o pracę, wyjątkowo trudny przypadek prawny bądź medyczny. Czy o rodziców, czy też o problemy małżeńskie Roberta.

Któregoś dnia Robert zaproponował, żeby spotkali się u Emilii w domu. Brzmiał dość dziwnie przez telefon, ale Emilia nie oponowała. W sumie za oknem pogoda nie nastrajała do spacerów, więc pomyślała – czemu nie.

Kiedy Robert się zjawił, miał ze sobą dwie butelki wina. Jednak to nie wino zwróciło uwagę Emilii. Był nieogolony, rozczochrany, miał podkrążone oczy.

– Dziś potrzebuję towarzystwa bardziej niż zwykle. – Rzekł tylko wchodząc. Wymięty podkoszulek i dresy – to nie był jego typowy strój.

– Czy coś się stało? – Niepokój w głosie Emilki można było kroić nożem.

– Ech – westchnął – wygląda na to, że nie spełniam małżeńskich wyobrażeń mojej żony. Ona chyba kogoś ma – Ostatnie słowa wypowiadał drżącym i coraz cichszym głosem, tak, że ostatnich sylab Emilia się domyślała. Kiedy spojrzała mu w oczy, zobaczyła jakby dwa jeziora, w których woda miała zaraz wystąpić z brzegów. Robert ostatkiem sił powstrzymał łzy.

Emilia podeszła, żeby go przytulić. Nie wiedziała jeszcze, że to może być takie wspaniałe uczucie. Być w ramionach mężczyzny, który jest tak stęskniony za bliskością, za czułością, który stoi na skraju przepaści rozpaczony za odchodzącą miłością. A może ta miłość już dawno zniknęła, tylko żadne z nich, ani on, ani Konstancja wcześniej tego nie zauważyli.

Robert wtulił się w szyję Emilii. To przytulenie było tak zupełnie inne od chłodnych uścisków jego żony. Wymuszonych. Za każdym razem, kiedy się do niej przytulał miał wrażenie, że jej ramiona raczej go odpychają niż przyciągają. Czuł, że ciało Konstancji najeżone jest kolcami, które mogą wystrzelić w jego stronę jeśli tylko będzie ją zbyt długo tulił.

A Emilia była miękka i ciepła. Przytulna. I pachniała cynamonem.

Właśnie mieli usiąść, odsunąć się od siebie, kiedy to się wydarzyło. On cofał twarz, ona swoją podnosiła, żeby spojrzeć jak on się trzyma. I wtedy, zupełnie przez przypadek, dotknęli się ustami. To był ułamek sekundy, kiedy świat eksplodował. Nagle nie liczyło się nic więcej poza jego ustami i jej ustami. Przywarli do siebie łapczywie, jakby pierwszy raz w życiu doświadczali pocałunków. Ich dłonie błędziły niecierpliwie po ubraniu szukając możliwości wyswobodzenia ciała z tych jakże niepotrzebnych teraz kawałków materiału. Guziki, sprzączki, suwaki, haftki. Wszystko. To. Było. Zupełnie. Nie. Potrzebne. Teraz.

Emilia nie pamiętała wiele z tamtego dnia. Pamięta, że kochali się długo, namiętnie, wiele razy. Tonęli w sobie i wynurzali się na krótkie chwile, żeby zaczerpnąć tchu.

Ale kiedy następnego dnia przyszło opamiętanie, oboje zgodnie stwierdzili, że to nie może być nic więcej niż przyjaźń. No i może czasami seks. Bo przecież ona miała swój szpital, swoją naukę, swoją medycynę. A on – cokolwiek by Konstancja robiła – chciał być blisko Krzysia.

I tak trwali, rok, dwa, cztery.

Aż do wczoraj, kiedy Robert nie pojawił się na spotkaniu.

Aż do dzisiaj, kiedy dowiedziała się, dlaczego nie przyszedł. Że już nigdy nie przyjdzie.

Następnego dnia rano w szpitalu Emilia działała jak na autopilocie. Do czasu, kiedy kierownik zakładu patomorfologii przyszedł do niej i powiedział:

– Słuchaj, temu gościowi z wypadku, no wiesz, temu, co na przystanku wjechał w niego pijany kierowca, trzeba zrobić sekcję. Chciałbym, żebyś się tym zajęła. Rodzina będzie z pewnością występować o odszkodowanie, może nawet do sądu, będzie potrzebna pełna dokumentacja.

Wszystkie członki Emilii zeszywniały, jakby sama była już trupem.

– Nie może się tym zająć ktoś inny? Ja... ja znałam tego gościa. – Tym razem to jej łamał się głos, wiązał w gardle, nie mogąc wydostać się rykiem rozpacz.

– Oj, wybaczone, nie miałem pojęcia. Ktoś bliski?

– Nie, znajomy z podstawówki, ale wołałabym go nie rozcinać.

– W porządku, poproszę Czyża. Przykro mi. Młody facet w sumie to był. Mógł jeszcze pożyć.

No mógł...

SANDRA SOLIŃSKA

Mieć czy nie mieć

— Ej, a co będzie, jak już będziemy dorosłe? — zapytała Gośka, lekko wytrzeszczając oczy na słowie „dorosłe”, żeby podkreślić jego znaczenie.

Miały po maksymalnie jedenaście lat i siedziały w łazience nie większej niż dwa na dwa metry, cisnąc się między prysznicem, szafką z umywalką a toaletą. Nikogo nie było w domu, ale z jakiegoś sobie tylko znanego powodu zamknęły się w tej klitce, zamiast rozsiaść się wygodnie na beżowo—bordowej kanapie w salonie. Popołudniowe słońce wpadało do pomieszczenia przez nietypowo duże okno, które kiedyś należało do kuchni, ale dziadek Justyny — w czasach, kiedy toalety mieściły się jeszcze na półpiętrach kamienic — wydzielił w tym miejscu łazienkę, w której teraz siedziały.

— Jak będę mieć tak z dwadzieścia cztery lata, to już na pewno będę miała męża i dwoje dzieci. — Justyna pokiwała z przekonaniem głową. — Studiów raczej kończyć nie będę, ale jak będę w połowie, to już przecież będę mieć wykształcenie średnie — stwierdziła, choć nie miała pojęcia ani o studiach, ani o tym, kiedy człowiek zdobywa średnie wykształcenie.

Gośka się z nią zgodziła. Dwoje dzieci, mąż, rodzina i średnie wykształcenie, bo skończą tylko dwa czy trzy lata studiów, wyższe nie jest im do niczego potrzebne...

Kiedy miała osiemnaście lat, Justyna prawie wpadła ze swoim pierwszym chłopakiem. Na informację o pękniętej gumce zaczęła się histerycznie śmiać. Potem był strach, bo przecież całe nastoletnie życie wmawiano jej, że ciąża to najgorsze, co może jej się przydarzyć w tym wieku. Co ze szkołą?! A potem przyszła pozorna akceptacja: będzie, co będzie. I kiedy zaczęli przyzwyczajać się do myśli, że mogą zostać rodzicami, przyszedł okres.

Odetchnęła, choć Mateusz zdawał się być nieco... zawiedziony?

Po rozstaniu z nim już czuła, że dzieci mieć nie chce. Nie dlatego, że im się nie ułożyło. Nie czuła tego. Drażniły ją wrzeszczące i biegające dookoła dzieciaki, a w rodzinie

nie było zbyt wielu okazji do ćwiczenia instynktu macierzyńskiego, bo to ona była najstarsza i po niej spodziewano się, że jako pierwsza da wnuki i prawnuki.

— Nie chcę, teraz ważniejsze są dla mnie studia — mówiła, ucząc się do egzaminów na kolejnym już kierunku. — Zresztą, przecież nie mam z kim — dodawała, wzruszając ramionami i śmiejąc się niezręcznie, choć do śmiechu jej wcale nie było. Zaczynały ją irytować te namowy, choć odsuwała od siebie to uczucie. Dziewczyny nie powinny się irytować.

Nie chciała. Ale społeczeństwo chciało. Rodzice oczekiwali, choć teoretycznie dawali jej wolny wybór. Dziadkowie dopytywali, „czy ma jakiegoś kawalera”. Jakby tylko od tego zależało, czy będzie w ciąży, czy nie.

Konrad był od niej sześć lat starszy. Imponował jej. Miał dwadzieścia siedem lat i własną firmę. To było coś wow w porównaniu ze znajomymi z jej roku. Zachwycała ją jego dojrzałość, inne spojrzenie na wiele spraw. Czuła się przy nim taka dorosła. A przy tym był cholernie wręcz przystojny — w jej opinii. Kompletnie nie wpasowywał się w ulubione powiedzenie babci Haliny, że „facet musi być tylko trochę przystojniejszy od diabła”. Nie. Konrad miał prezencję.

Justyna nieco głośniej mówiła już, że nie chce mieć dzieci, choć wciąż śmiechem pokrywała coraz to nowe powody: a to, że nie lubi, a to, że za wcześnie, a to, że chce się uczyć. Ale dla Konrada to nie było wystarczające.

— To może wróc do mnie, jak już przestaniesz się uczyć — mówił niby żartem, ale Justynę czasem bolało.

Nie dała po sobie poznać.

Jednak z różnicą wieku nieuchronnie przyszły też różnice w priorytetach. Ponieważ był już bliżej trzydziestki, Konrad myślał o dzieciach. Wspominał o rodzinie, o domu, o ślubie. Mieli nawet poważną rozmowę, podczas której powiedział Justynie, że niepokoi go jej podejście do dzieci. A przecież ona go kochała. Czuła, że byłby wspaniałym ojcem. I nie chciała go stracić.

Czasem stawiała przed lustrem boki i zastanawiała się, jakby to było nosić jego dziecko. Być jego żoną. Mogliby przecież stworzyć piękną, kochającą się rodzinę. A przy tym nadal mogli być pełną namiętności parą — seks był fantastyczny. Nawet jeśli często się kłócili, to przecież... pary się kłócą, prawda?

Justyna nie chciała mieć dzieci. Ale Konrad chciał. A ona tak bardzo chciała z nim...

— Czyli zmieniłaś zdanie? — pytały przyjaciółki niepewnie.

— Kocham go. — Wzruszała ramionami z lekkim, nieśmiałym uśmiechem. — Myślę, że z nim bym mogła.

— A jeśli ci się odwdzi?

— To po fakcie nie będę miała za bardzo jak się wycofać — zaśmiała się. Śmiech ponownie przykrywał negatywne emocje.

W głowie wciąż miała tę myśl, że to nie do końca dla niej. Ale on chciał. A ona chciała jego. Nawet jeśli w łóżku potrafił gładzić jej biodro, przejeżdżać palcem po rozstępach z okresu dojrzewania i pytać, czy po ciąży będzie mieć tego więcej. Przecież tylko pytał.

A potem...

— Mam endometriozę.

— Co masz?

— Endometriozę. — Spojrzała na niego.

Zaciskał dłonie na kierownicy, wpatrzony w oświetloną żółtym światłem latarni drogę. Deszcz tłukł o przednią szybę, wycieraczki machały jak szalone.

Teraz, kiedy w końcu stwierdziła, że tak, że chce, że z nim, że może, że dziecko, że rodzina, że w dupie z planami, że studia i kariera może nie są najważniejsze.

— Mogę... — zaczęła, ale gula stanęła jej w gardle, a oczy zapiekły nieznośnie. Przetknęła. Westchnęła i kontynuowała: — Mogę mieć problem z zajściem w ciążę, a potem z jej utrzymaniem.

Tama puściła, łzy popłynęły po jej twarzy. Zaczęła tłumaczyć, że jej mama przez to przeszła, że poroniła przed nią pięć razy, że kuracje, że ryzyko. Konrad spojrzał na nią przelotnie. Czekala na pocieszenie, na uścisk dłoni, na „poradźmy sobie” albo „wszystko będzie dobrze”.

— To jak długo będziesz się leczyć? Nie chcę być starym ojcem.

Siedziały z Goską na starej skórzanej kanapie, popijając wino i zagryzając przekąskami. Justyna — wciąż bezdzietna singielka z wyboru. Tego prawdziwego: przekonana o swojej wartości i o tym, że nie mierzy się jej ilością splodzonego potomstwa. Tego prawdziwego, który dawał jej wolność mówienia o nim wprost, bez opakowywania w kolorowy papier wymówek. Nie, bo nie. Nie czuję tego. Z odwagą do odpowiadania na natarczywe pytania innym pytaniem:

— A dlaczego ty chciałbyś mieć dzieci? — Pisała, kiedy typ na aplikacji randkowej dopytywał, dlaczego ona nie chce.

Miała dosyć tego, że to zawsze ona ma się tłumaczyć ze swoich wyborów. Nie, bo nie. Nie czuję tego. Tak, dobrze mi z tym, jak jest. Jestem spełniona. Jestem usatkwona, dziękuję.

Niedawno dowiedziała się, że Konrad ma dziecko. Jakaś koleżanka jej siostry była przekonana, że Justyna nadal z nim jest i to ich wspólne. Kiedy skończyła aktualizować Gośkę w temacie, ta zapytała:

— I jak się z tym czujesz?

— Dobrze — odpowiedziała Justyna bez wahania i tym razem brzmiała naprawdę jak ona. — Cieszę się, że to nie ja. — Pociągnęła łyk wina. — Bo widzisz, ja bym się zdecydowała na to dziecko z nim. Ale nasz związek i tak by się rozpadł z hukiem.

— Nie da się ukryć. — Gośka przewróciła oczami. Status przyjaciółki od przedszkola dawał jej o wiele więcej możliwości niż zwykłej koleżance.

Zresztą, po to ma się przyjaciół.

— A gdyby się rozpadł — kontynuowała Justyna — to prawdopodobnie ja zostałabym z dzieckiem. I wszyscy bylibyśmy nieszczęśliwi: ja, bo tak naprawdę go nie chciałam; ono, bo nie było chciane i zapewne by to odczuło, choć przecież wiem, że to nie byłaby jego wina; i on, bo nadal musielibyśmy się widywać.

— I jeszcze raz ty. Z tego samego powodu — dodała Gośka.

— I jeszcze raz ja, bo musiałabym się z nim widywać — zgodziła się. — Więc całe szczęście, że uchronił mnie swoim odejściem przed dalszym przekraczaniem moich granic. Przez niego i przeze mnie.

Justyna odetchnęła z ulgą, jakby po raz pierwszy to do niej dotarło, choć przecież już wiele razy o tym myślała, odkąd dowiedziała się, jak się sprawy mają. Po latach w końcu widziała tę przemoc, której wcześniej by przecież tak nie nazwała. Przecież nie bił. Może i nie, ale ciosy wyprowadzane słowem niejednokrotnie bolą bardziej niż siniaki na ciele. A totalnie ślepe zauroczenie może z nas zrobić bezwolne marionetki w cudzym spektaklu.

— Za stawianie granic — zaproponowała toast Gośka, unosząc swój kieliszek w kierunku Justyny. — Jestem z ciebie dumna.

SYLWIA DUDA

Lustro

— Panie Janku, coś do mojej kolekcji pan ma?

— Dzień dobry panie Jacku. Nic nowego nie wpadło.

— A to szkoda. Uszanowanie zatem. I małżonkę pan pozdrowi.

Gwar tego miejsca tworzył niepowtarzalną atmosferę. Od lat w każdą drugą niedzielę szperacze, posiadacze strychów, piwnic i komórek zjeżdżali ze swoimi znaleziskami do centrum miasta. Wystawki zaczynały się już od pomnika Satyrykonu na reprezentacyjnej legnickiej ulicy Najświętszej Marii Panny. Ciągnęły się wzdłuż i wszerz kwadratu Rynku. Sięgały aż do ulicy Gwarnej. Legnicki niedzielny plac targowy zamieniał się w ogromną wystawę rzeczy mniej czy bardziej a nawet wcale przydatnych. Wiele z nich pokrywała pięknie starzejąca się patyna. Inne, podrzucone z dyskontów, chciały udawać antyki w nadziei, że znajdą nowy dom, inny niż wysypisko śmieci.

Dziś było w czym wybierać, a serce miasta biło żywiej. Obok handlu na placu kwitło też życie towarzyskie.

— Bożena idzie z mężem — do moich uszu wpadł damski głos

— Gdzie ty ich widzisz? — pyta mężczyzna obok.

— Idą tu. Bożenaaaa! Bożeeena! Halo. No cześć kochana, cześć! — kobiety cmokają powietrze koło swoich policzków.

— A wy co? — pyta przywitana Bożena.

— A tak przyszliśmy popatrzeć.

W czerwcowy weekend na Jarmarku Staroci frekwencja dopisała. Rynek przypominał porcelanowo mosiężną łąkę, pełen improwizowanych straganów. Tu kusiły stare płyty winylowe, poukładane w kartonowych pudłach po bananach. Tam na małym turystycznym stoliku zapraszały grube klasery znaczków i kolekcje monet. W ucho wpadał dźwięk trzeszczącej płyty, kręcącej się z gracją pod igłą gramofonu, który również, jak wszystko tutaj, miał swoją cenę. Na rozłożonych bezpośrednio na bruku kocach leżały pojedyncze delikatne filiżanki w esy i kwiatki, mające za towarzystwo stare wazy i kilka szklanych wazonów. Szable, noże, wojskowe stare buty.

— Panie, a jaka cena tego?

— Pięć dyszek.

— Co? Ile?

Nie szukałam niczego konkretnego. Przechodziłam między stoiskami. Mieniło mi się w oczach od nadmiaru wszystkiego. Głowa już zaczynała przeciekać od głosów przekrzykujących się ludzi.

Ale to lustro mój wzrok wychwycił z daleka. Stało oparte o antyczny kredens, pomiędzy dwoma drewnianymi krzesłami. Podeszłam, żeby mu się uważniej przyjrzeć. Brudne, zakurzone, pokryte klejem i chyba smołą. Ale ta rama! Szeroka na jakieś dziesięć, piętnaście centymetrów, stworzona z wygiętych w metalu liści, okalających brudną tafłę szkła. Ktoś zadbał o szczegóły, o widoczne żyłki na liściach, o dyskretne pąki kwiatów pomiędzy nimi. Ledwo było je widać pod warstwą nieudolnie położonej złotej farby, ale dałabym radę przywrócić ramie poprzednie kształty.

— Za dwie stówy pani oddam — sprzedawca sprawił, że podskoczyłam, przestraszona nagłym dźwiękiem jego głosu koło mnie.

— Czyli nic z tego, bo mam tylko stówę — pogładziłam ramę delikatnie opuszkami. Zapewne te liście to ręczna robota, ale próbuję udawać, że mnie to nie interesuje.

— Da pani stówę i pani zabiera, ale oferta ważna tylko minutę.

— Biorę — wyjęłam z kieszeni zwinięty banknot i już miałam podać sprzedawcy, kiedy popatrzyłam na niego pierwszy raz. Przeszedł przeze mnie zimny dreszcz. Facet wyglądał normalnie, zupełnie do nikogo niepodobny. Ale jego wzrok, to dziwne spojrzenie... Zupełnie czarne oczy. Sięgnął szybko po banknot w mojej dłoni:

—Do niewidzenia — rzucił i zniknął w tłumie.

Chyba się przestęszczałam. Dziwny typ. Straszny, jak sam diabeł.

Objęłam moje lustro. Ruszyliśmy do domu, gdzie w spokoju chciałam przyjrzeć się pięknej ramie. Może uda mi się znaleźć więcej, gdy pousuwam zbędne warstwy dziwnych mazi.

Zostawiłam lustro w przedpokoju, oparte o ścianę. Przetarłam je tylko z kurzu. Z pracami nad ramą muszę wstrzymać się do kolejnego weekendu. W tygodniu po pracy obiecuję sobie pójść do marketu budowlanego, dokupić odpowiedni rozpuszczalnik, kilka pędzli, najmniej ziarnisty papier ścierny.

— Zajmę się tobą w przyszłą sobotę — mówię odbiciu w lustrze.

Otworzyłam balkon i do pokoju wbiegł radośnie kot bezdomniak, którego dokarmiałam od dwóch lat. Zadarł ogon w górę i skierował się od razu do przedpokoju, gdzie stała naszykowana specjalnie dla niego miska. To znaczy jeszcze nie naszykowana, bo dopiero wstałam z łóżka, słysząc błagalne miauczenie.

— Już ci nasypię — powiedziałam ocierającemu się o moje nogi futrzakowi.

Postawiłam pełną miskę w stałym miejscu kocich posiłków, ale mruczek przysiadł na progu między pokojem a kuchnią i mierzył mnie wzrokiem bez zaufania.

— Co jest futrzaku? Nie jesteś głodny?

Wzrok kota powędrował w stronę miski, zatrzymał się na dwie sekundy, ale potem objął dalszy kąt przedpokoju. Tam stało przyniesione przeze mnie wczoraj lustro.

— Boisz się swojego odbicia?

Kot nadal siedział w progu, jego wzrok znów spoczął na mnie. Nie miał zamiaru jeść w towarzystwie starego lustra.

Poddałam się i przeniosłam jego miskę do pokoju. Nie miałam dzisiaj czasu na kocie humory, zaraz musiałam zbierać się do pracy.

Siedziałam przed ramą, delikatnie oczyszczałam kolejny fragment. Nagle zamiast listków, ich delikatnych żyłek zobaczyłam przed oczami ludzkie chude dłonie, splecione ze sobą. Czy te dłonie splatają się, żeby pomóc sobie nawzajem? Raczej wyglądało to odwrotnie. Jak w tłumie, który panikuje, każda z tych dłoni walczyła o siebie. Jakby miały się zdeptać lub potopić wzajemnie, próbując być jak najwyżej, jak najbliżej toni... Mrugam szybko, przecieram oczy. Znów widzę tylko liście. Jestem zmęczona, bo cały tydzień źle spałam. Rozpuszczalnik, którym ostatnio oddycham, też mógł sprowadzić na mnie omamy.

Od kilku tygodni chodzę niewyspana. W nocy budzi mnie coś, co stuka. Kiedy wyrywana ze snu zaczynam się przysłuchiwać nocy, skąd pochodzi dźwięk stukania, szurania, zgrzytania i już jestem blisko rozwiązania zagadki, bo wydaje mi się, że to od sąsiada z góry, wszystko cichnie. Drugi raz budzą mnie podobne hałasy ale pochodzące jakby zza ściany, a nie z góry, jak podejrzewałam za pierwszym razem. Muszę dojść do prawdy, który to z sąsiadów i spróbować zwrócić mu uwagę. Oczywiście grzecznie, bo nie lubię konfliktów.

Ale za to mogę się pochwalić pierwszymi efektami prac nad ramą lustra, które kupiłam miesiąc temu na Jarmarku Staroci. Brzydkie warstwy starych farb, dziwnych klejów, puszczają pod rozpuszczalnikiem. Lustro musi być naprawdę stare. Nie potrafiłam zliczyć ile miało warstw srebrnej, złotej a miejscami nawet czarnej farby.

Rama skrywała pośród metalowych liści drobne owalne płaskorzeźby w metalu. Rysunki były tak solidnie zalepione i zamalowane, jakby czyjeś życie od tego zależało. Przyjrzałam się pierwszej rzeźbionej historii.

Przedstawiała stojącego na tylnych łapach lisa. Przednimi łapkami sięgał w górę, do wiszących nad jego głową winogron.

Lis i winogrona – wpisałam do przeglądarki w telefonie. Po chwili zaczęłam czytać znaną z dzieciństwa bajkę o lisie, który próbował zerwać winogrona, ale kiedy okazało się, że wiszą dla niego zbyt wysoko, odwrócił się i odchodząc utyskiwał:

– Pewnie są niedobre, kwaśne. Zupełnie ich nie potrzebuję.

Zamyśliłam się nad historią, o czym w ogóle mi powiedziała? O tym, że z pogardą patrzy się na coś, czego nie można mieć dla siebie.

Odeszłam od lustra do kuchni, żeby wstawić wodę. Po chwili wróciłam z kawą i mieszałam, chociaż nie postodziłam.

Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem – w prawo

Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem – w lewo.

Nie powinnam liczyć takich rzeczy.

Patrzę, jak drżą mi dłonie.

Dzieje się coś złego?

Zajęłam się kolejnym zaklejonym fragmentem. Spod rozpuszczalnika wyłonił się wilk, a obok niego chłopiec.

Dwa miesiące – i cztery ezopowe odkryte historie na lustrzanej ramie – później w pracy kierowniczka pod koniec zmiany zawołała mnie do biura. Oznajmiła, że to ostatni dzień mojego zatrudnienia w firmie.

– Skończyła się twoja umowa i zdecydowałam się jej nie przedłużać – powiedziała mi.

– Ale dlaczego?

Bawiła się chwilę długopisem, po czym spojrzała na mnie, westchnęła:

– Od miesiąca nie jesteś w ogóle zaangażowana. Przychodzisz i śpisz na zmianach. Nie mogę ryzykować, że popełnisz błąd czy ulegniesz wypadkowi i to ja będę odpowiedzialna. Ale jestem pewna, że jeśli chwilę w życiu odpoczniesz, wrócisz do formy i szybko znajdziesz inne zatrudnienie. Coś innego, co na pewno bardziej cię zaangażuje.

Wracałam do domu, ciągnąc nogę za nogą i analizując każde słowo kierowniczki. Zupełnie tego nie rozumiałam. Mogłyśmy porozmawiać wcześniej. No i co teraz?

Wyciągnęłam telefon z torebki i przez chwilę zastanawiałam się, czy nie napisać do któregoś z moich przyjaciółek, Eli lub Emilii. Może do Karoli bardziej...

Zrezygnowałam jednak. Najpierw może uspokoję swoje emocje, nie chcę tak zawracać im głowy. Zajrzałam jednak w rejestr połączeń, a potem folder z wiadomościami. Żadna z nas nie odezwała się do siebie już od dwóch miesięcy. Chyba za bardzo pochłonięta mnie renowacja lustra, że nie zauważałam tego upływu czasu wcześniej. Tylko, że wszystko działa w dwie strony i dlaczego one milczą? Też mogłyby odezwać się pierwsze. To lustro zajmuje mi już za dużo czasu. Zbyt mocno skupiłam się na jego detalach, a mogłabym je sprzedać. Czas to pieniądz, a mi uciekł przez palce.

Stałam na przejściu dla pieszych. Światło zmieniło się na zielone, chłopak i dziewczyna trzymający się za rękę, ruszyli do przodu. Dałam dwa kroki za nimi i wtedy z zamyślenia wyrwał mnie odgłos gwałtownego hamowania i klaksonu. Stanęłam przerażona i stanęło terenowe auto o włos ode mnie. Kierowca uchylił okno:

— Jak chodzisz debilko! Czerwone masz!— wydarł się na mnie.

Mówił coś jeszcze o moim stanie umysłowym, gdy dałam dwa kroki w tył, z powrotem na chodnik. Na pasach nie było pary, za którą ruszyłam, a światło dla pieszych było rzeczywiście czerwone.

Muszę się w końcu wyspać. Tak, przyjdę do domu i pójdę od razu spać— myślałam i czułam, że zaczyna mnie palić gorączka.

Wchodząc do kamienicy, zajrzałam po drodze do skrzynki na listy. W środku coś było. Otworzyłam. Wyjęłam dwie zamknięte koperty z logo energetyki i gazowni. Dziwne, rzadko piszą. Zmiany taryf u obu jednocześnie? Trzecia złożona kartka to rozliczenie ze spółdzielni. Złożona i zapięta zszywkami mogła oznaczać tylko jedno— mam jakąś niedopłatę. Ale najpierw zrobię sobie kawę. W domu położyłam torebkę na stół, nalałam wody do czajnika i odkręciłam gaz. Słyszałam pstrykanie elektrycznego zapalnika, uwalniał iskrę ale gaz się nie palił. Nie słyszałam charakterystycznego syczenia. Zaniepokojona, zakręciłam kurek. Spróbowałam włączyć światło w kuchni. Nic. Pełna złych przeczuć chwyciłam leżące obok torebki dwie koperty, rozerwałam je. Z obu wyjęłam upomnienia, ale z datą sprzed miesiąca, z groźbą odłączenia mediów w dniu... dzisiaj!

— Ale jak? — szepnęłam, przekładając obie kartki. Przecież płaciłam, przecież nie mogłam przeoczyć tych upomnień w skrzynce przez miesiąc...

Tykanie starego zegara było w mojej głowie coraz głośniejsze, coraz bardziej natarczywe. Wdzierało się w sen. Wciskało w przestrzeń między nim a tym, co dzieje się naprawdę. Nade mną odezwała się mechaniczna kukułka. Jeden, dwa, trzy... Dwanaście razy. Północ i godzina duchów na cmentarzach.

Zerwałam się, usiadłam na łóżku. Zasnęłam znów w ciuchach, w bluzie i poplamionych džinsach. Straciłam poczucie czasu, kiedy pościel była ostatnio prana. Kołdra leżała obok, skopana. Okrywał mnie stary poplamiony koc. Drugi, złożony, służył mi ostatnio pod głowę, bo nie mogłam znaleźć nigdzie poduszki. Spojrzałam na stół, przyniesiony z kuchni do sypialni, na którym z ogólnego bałaganu wystawały pędzle, stare gazety, szmatki i puszki z lakierem. Obok stołu zobaczyłam moje lustro. Ramę skończyłam, zanim usnęłam w moim legowisku. Księżycowa poświata odbijała się w gładkiej tafli. Za oknem musiała być pełnia, skoro w środku nocy wpadło tu tyle błękitnego światła. Rama poruszała się i szumiała dźwiękiem wiatru w koronach drzew. To nie liście, to znów dłonie, z których każda walczyła o przetrwanie. Kłębiły się tam, jak w mrowisku. Wszystko ruszało się, wiło i tańczyło. Zegar tykał znowu, coraz głośniejsze. W tafli lustra coś mignęło. Obejrzałam się z przerażeniem za siebie, ale tam było pusto.

Wróciłam wzrokiem do lustrzanej tafli. Za mną widziałam stojącą postać. Patrzyła mi w oczy przez lustro. Czekałam, kiedy obudzę się z dziwnego kosmaru.

—Już się bardziej nie obudzisz— odezwała się postać w lustrze. Duch pięknej kobiety w białej sukni, wykończonej jasno błękitnymi koronkami i kryształkami. Białe błyszczące włosy opadały falą na jej blade ramiona. Usta miała niemal przezroczyste. Tylko oczy— czarne i głębokie, patrzyły prosto we mnie i trzymały mnie tym spojrzeniem, przygwożdżoną do łóżka. Moje nogi zupełnie jakby zamarzły, jakby skuł je gruby lód.

— Widzę, że nie wiesz, czyje lustro odnowiłaś? — głos białej damy był kryształowy, bez śladu emocji — Sam diabeł zrobił dla mnie to lustro. Wiedzieliśmy, że będziesz idealna, żeby nas z tej ramy uwolnić.

Patrzę na postać i coś zaczyna budzić się w mojej głowie. Powstaje łańcuch oparty o skojarzenia — diabeł robiący lustro dla pięknej królowej, białej i zimnej jak lód.

— Królowa Śniegu — mówię niepewnie.

— No brawo — klaszcze delikatnie w białe dłonie. Jest taka piękna, a jednocześnie taka obojętna i zimna.

— Ale dlaczego ja?

— Bo takich jak ty diabły łatwo mogą wpędzić w szaleństwo — mówiła powoli, jakby tłumaczyła dziecku. — Taka jesteś samotna wysepka na oceanie, co jakoś sobie radzi. Nie masz żadnych kręgów, rodziny, bidulko — mówi z ironią, robi dziubek.

— Mam przyjaciółki — przerywam jej

— Już nie — uśmiecha się pięknie i słodko — kiedy pracowałaś nad moim zwierciadłem, odśaniając kolejne bajki Ezopa, uwalniałaś do swojego świata to, co w nich tkwiło najgorsze: moje diabły pychy, pogardy, tyranii czy niesprawiedliwości. Weź telefon i spójrz na swój profil w mediach, na komunikatory. Moje diabły umieściły kilka wiadomości dla twoich znajomych w twoim imieniu. Nikt już nie pomyśli, że jesteś normalna.

Odszukałam dłonią telefon, który wcisnęłam wcześniej pod poduszkę zrobioną z koca i z przerażeniem śledziłam listę obelg, wysyłanych nie przeze mnie, ale z mojego konta. To trwało od jakiegoś miesiąca.

— Chyba już nie uwierzą, że ktoś włamał ci się na konta, bo smsy wysłałaś im podobne — znów lodowaty uśmiech na jej pięknej twarzy — Oczyszczyłaś lustro i tym samym moją drogę do wyjścia z tego wieloletniego więzienia. Wy, ludzie, jesteście tacy słabi, rządzą wami emocje. Dla mnie optymalna jest nicość. Chcę wprowadzić w ten wasz rozgrzany świat więcej obojętności i chłodu...

Spojrzałam na czwartą odkrytą na lustrze historię Ezopa. Ta bajka była trochę inna. Mówiła o tym, że burzę może pokonać giętka na pozór słaba trzcina. Burza natomiast może złamać łatwo silne drzewko oliwne.

W tym momencie z kąta obok balkonu jak pocisk wyskoczył mój bury bezdomniak i z pazurami rzucił się na lustro, robiąc mnóstwo zamieszania. Nie byłam sama. Kot wytrącił Królową z jej obojętnej pozy. Coś lodowatego puściło moje nogi, spadłam na czworaka z łóżka na podłogę, doczołgałam się do szafy. Na dnie powinien być młotek. Modliłam się, żebym tylko ostatnim razem odłożyła go na miejsce. Wymacałam metalowy obuch, chwyciłam mocno za drewnianą rączkę i poczułam, że wróciło mi sił na tyle, żeby unieść młotek i podejść z nim szybko do lustra.

Patrzyła na mnie z ironicznym uśmiechem, ale milczała. Uśmiechały się tylko lekko uniesione kąciki jej ust. W oczach miała swoją nicość. Wzięłam zamach i patrząc jej w te puste oczy uderzyłam. Nic się nie stało. Uderzyłam kolejny i jeszcze jeden raz. Powstały drobne pęknięcia. Z kolejnymi uderzeniami rys było więcej, ale lustro nie chciało się rozsypać i teraz patrzyły na mnie dziesiątki twarzy Królowej Śniegu.

— Opuść — powiedziała — jeszcze możemy poprosić Diabła, żeby nam je posklejał. Przecież możemy razem zamrozić serca ludzi. Przynajmniej umrzesz w moim zaszczytnym towarzystwie, a nie sama, jak śmieć, którym się stałaś.

Odrzuciłam młotek, bo zauważyłam pęknięcie, w które mogłam włożyć paznokcie. Jeśli je podważę, być może wyrwę kawałek tafli, a reszta sama się rozsypie.

— Przestań — Królowa jeszcze próbowała mnie przekonać — Tyle pracy włożyłaś, żeby to lustro odzyskało dawny blask. Na pewno szkoda ci tego. Nie cofniesz czasu, nie odzyskasz go...

Ona mówiła, ja wsunęłam paznokcia głębiej w szczelinę i nacisnęłam. Poczułam ból, kiedy szkło cięło skórę. Krew oblała mi palce. Przez chwilę, słuchając Królowej, chciałam się wycofać. Po szkle płynęła czerwona strużka.

— Zostaw. Przecież ciężko pracowałaś — odezwała się znowu.

A potem odłamek skruszył się. Mogłam go wyjąć i rzucić jak najdalej w kąt.

Twarze w lustrze wykrzywiły się.

Palcami zaczęłam chwycić kolejne skrawki i rozrzucać po pokoju. Te, które spadały na podłogę, gasły. Lustro nie mogło być w całości, złożone. Zaczęłam wrywać całe jego fragmenty, zbierałam je w dłonie, wkładałam do kieszeni bluzy. Chwiejnym krokiem podeszłam do wyjścia. Wiedziałam, że muszę rozsypać je wszędzie, jak najdalej, żeby nikt nie mógł poskładać diabelskiego lustra od nowa, żeby zajęło to komuś milion lat.

Dalej nie pamiętam, jak znalazłam się na ulicy. Szłam przed siebie, kruszyłam taflę i rozsypywałam odłamki.

Upadłam.

— Halo — usłyszałam kobiecy głos nad sobą. Ktoś do mnie podszedł.

— Pewnie jakaś pijana — odparł drugi głos, należący do starszego mężczyzny — Panienska zostawi pijaczkę. Wytrzeźwieje to pójdzie.

Kobieta coś odpowiedziała staremu, nie usłyszałam. Usłyszałam za to, jak znów mówi do mnie:

— Halo, proszę pani? Pani miała wypadek? Ktoś panią potrącił? Słyszysz mnie pani? Dzwonię po karetkę.

— Nie — wołam cicho z dna siebie samej — nie po karetkę.

W mojej głowie wybuchł pożar i zawyły syreny alarmowe, podsuwając zdradliwe obrazy: pogotowie, szpital — śniadania o 7.00, obiady 13.00, kolacja 17.00. Nikt mnie nie odwiedzi. Samotność w szpitalnych korytarzach między kolejnymi badaniami i stałymi punktami dnia. Tak bardzo nie chcę już być sama!!!

— Proszę nie dzwonić — próbuję złapać kobietę za rękaw.

— Masz całe pocięte ręce — zwraca się do mnie, skracając dystans.

— Chciałam zabić samotność — odpowiadam.

Dziewczyna lekko się cofnęła. Mogła mnie źle zrozumieć, dlatego szybko opowiadam dalej:

— W moim mieszkaniu było lustro. Musiałam je rozbić. Nie miał mi kto pomóc — mówię urywanymi zdaniami, bo w piersi czuję narastający ból, który podchodzi do gardła, by po chwili zamienić się w szloch. Wraz z pierwszą łzą z oka spływa mi okruszek lustra.

Ona mnie przytula.

Nie patrzy, że się pobrudzi.

Bierze telefon. Słyszę sygnał wychodzącego połączenia i kobiecie halo po drugiej stronie.

— Kaśka, wyślę ci adres, gdzie się spotkamy. Nie pytaj. Mam kogoś, komu musimy pomóc.

Rozłącza się. Patrzy na mnie, wyciąga rękę, żeby pogłaskać mnie po głowie:

— Moje przyjaciółki podejda do nas — mówi. — Magda jest po szkole pielęgniarskiej. Obejrzy twoje ręce. Teraz mi powiedz, jak masz na imię i gdzie mieszkasz.

Kiedy pomogła mi wstać i wzięła mnie pod ramię, wyczułam w kieszeni ostatnie okruszki lustra Królowej Śniegu. Wytrzepałam je na wiatr, a on uniósł drobinki nad Kaczawą, przykleił je wróblom do piórek, wcisnął głęboko w szczeliny asfaltu i pomiędzy kocie łby.

Non-Fiction

CO TO ZNACZY “BYĆ KOBIETĄ”
W 2025 R.?

ELIZA CORRE

Mała Kobiетка

Patrzę na nią, jak zawzięcie koloruje kolorowankę z Barbie.

Ubrana w getry w kolorowe jednorożce.

Brokatowa spinka zwisa lekko, nie spełniając swojej funkcji.

Zaczyna śpiewać na głos, przyciskając kredkę coraz mocniej do papieru.

Jej biała koszulka nosi ślady zabawy, przypominając powoli tęczę.

Kreśli ostrożnie kolorowe linie, szepcząc do siebie: "Świetnie daję sobie radę."

Patrzę na małą kobietkę.

Wiem, że jej nie uchronię od bycia kobietą.

Mogę ją jedynie nauczyć, jak dumnie być kobietą.

Wiem, że usłyszy:

„Nie możesz, bo jesteś kobietą.”

„Nie powinnaś, bo jesteś kobietą.”

„Nie wolno ci, bo jesteś kobietą.”

Ja, matka, kobieta w 2025 roku, nie pozwolę jej w to uwierzyć.

Na każde „nie możesz” – dam jej „musisz”.

Na każde „nie powinnaś” – uzbroję ją w „spróbuj”.

Na każde „nie wolno ci” – wybuchniemy śmiechem.

Na każde zamknięte drzwi – dam jej mapę otwartych okien.

Na każde wykluczenie – otworzę szerzej ramiona.

Na każde pęknięte serce – dam czas na wygojenie.

Na każdą burzę – zapewnię schronienie.

Na rodzącą się zawiść – nauczę siostrzeństwa.

Mała kobietka wie, że świetnie da sobie radę.

MONIKA KUMOSIŃSKA

Być kobietą

„Dziewczynki, jeśli chcą, bardzo dobrze udają chłopców”. To zdanie z „Dziewczynki” C. Laurens, jedno z tych, które zapamiętam. Kupiłam używaną i tekst w kilkunastu miejscach oznaczony jest żółtymi karteczkami; zwykle czytam szybko, ale te karteczki są jak znaki ograniczenia prędkości, jak zaszyfrowane wiadomości, które podała mi moja poprzedniczka. A pierwszą z nich wkleiła właśnie tutaj.

Pracują we mnie te słowa. W kolejnych dniach wracają jak bumerang, wywołują różne flashbacki. Wracam też myślami do tej dziewczyny przede mną, podejmuję rękawicę i rozpracowuję szyfr. Co chciałyby mi powiedzieć? Czy tak jak ja, mogłaby się nazwać Szczęściarą?

Bo ja mogę. Z domu wynoszę poczucie wartości i przekonanie, że podawanie do stołu, paranie się mechatroniką czy himalaizm zimowy nie zależą od macicy na stanie; prawdę mówiąc, wtedy raczej nie przychodzi mi do głowy, że to wciąż pogląd, a nie fakt. Nie w MOJEJ części świata — mój mały świat, który rzuca filtr na ten większy, jest równy, bezpieczny, wspierający i tak pełen możliwości, że aż gubię się w wyborze. Do kwestii wyboru jeszcze będę musiała dorosnąć; na razie powoli, choć niecierpliwie dorastam do dorosłości. Sięgam po nią zachłannie, a chłopcy i mężczyźni są ważną częścią tej upragnionej kopalni skarbów — puzzlem w układance, kontrastem, dzięki któremu kobiecość nabiera konturów, tak jak dzięki kobiecości konturów nabiera męskość. Ale nie próbuję ich udawać, nie myślę nawet, że mogłabym chcieć. Po co? Z moją raczkującą kobiecością jest mi dobrze, to fakt, stan naturalny, który w niczym mnie nie ogranicza. Kobiecość to RUSZTOWANIE MOJEJ TOŻSAMOŚCI.

Na studiach trafiam na fakultet z feminizmu i choć dyskusje toczymy na kanwie współczesności, wciąż nie mogę pozbyć się wrażenia, że ktoś mnie robi w jajo — przecież TAK NAPRAWDĘ rozmawiamy o zamierzchłej, martwej historii. Jasne, w Liechtensteinie na przykład kobiety otrzymały prawa wyborcze w roku, w którym się urodziłam i brzmi to kuriozalnie, ale mój współczesny świat — a przecież w tej współczesności nie jestem wyjątkowa — sytuje się całe mile świetlne od kuriozów; przecież gdzieś na linii szmatu mojego życia świat postawił grubą kreskę, raz na zawsze odgradzając kobiece „KIEDYŚ” od „TERAZ”?

Ten dysonans mnie niepokoi. Zgłębiam temat i dostrzegam, że moje „TERAZ” jest udziałem nie tak znowu licznej garstki z nas i to, co Laurens nazwała „chęcią udawania chłopców” zaczyna nabierać smutnego sensu. Otwieram oczy na sprawy kobiet, takich jak ja i żyjących tak blisko i tak podobnie, a jednak w zupełnie innym mikrokosmosie; niedowierzanie przekuwam w sprzeciw i gniew. Nawet przez chwilę nie wątpię, że ich opowieści NIE BĘDĄ moim udziałem, ale łącząca mnie z nimi nitka już nigdy nie zostanie zerwana, wplata się w przędzę, z której tką się moja kobiecość. Żadna z nich (jeszcze wtedy mówię: „nich”) nie powinna zostać ze swoją opowieścią sama. Bycie kobietą to SOLIDARNOŚĆ.

Z dorosłego życia czerpię garściami i, wbrew temu wszystkiemu, co „nie wypada”, własną kobiecość łączę z sięganiem gwiazd. „Czego chcą kobiety? One chcą WIECEJ”, piszę na Facebooku i z politowaniem obserwuję komentarze kolegów, którzy nie rozumieją, CZEGO więcej. Ja chcę całego uniwersum; chcę możliwości, rozwoju, emocji, zabawy; chcę euforii, doznań, tej trawy zawsze bardziej zielonej gdzie indziej. Nie wytrzymuje tego mój pierwszy ważny związek — nie umiem postawić właściwych pytań i nie znam dobrych odpowiedzi, ale wolność wydaje się taka kusząca i taka łatwa, po raz pierwszy czuję, że muszę po nią sięgnąć z wyboru. „Dziś bądź pusta, szminkuj usta” — postuję prowokacyjnie po wszystkim i z pewnością nie rozumiem, dlaczego; usta szminkuję, za to być pustą nigdy nie zamierzałam. Bawi mnie granie ról, ciągła zmiana scenariuszy — wtedy za dużo o tym nie myślę, dzisiaj widzę, że to szukanie samej siebie, testowanie życiowych opcji „na miękko”. W każdej z nich czuję się ultra kobieco i ta kobiecość mnie frapuje — chcę sedna, ale definicyjnie nie ogarniam. Nadużywam sloganów typu: KOBIEȚA ZMIENNĄ JEST.

Dopiero z perspektywy lat zauważę, jak pokracznie dokonuję własnych wyborów. „Dryfuję, nie potrafię podejmować decyzji”, powiem na terapii, a Pani Małgosia się z tym nie zgodzi i porówna moje życie raczej do surfingu na fali, polubię tę metaforę. Ale to później.

Na razie doświadczam. I doznaję tej euforii i tej trawy niby takiej zielonej, ale nie tylko — doznaję też wstydu, strachu, poniżenia, dewaluacji. Przemocy.

I jasno zdaję sobie sprawę, jaka jest ich wspólna przyczyna: BO JESTEM KOBIEȚĄ. „To niemożliwe, to nie mogło się przydarzyć” — myślę za każdym kolejnym takim razem, przewijam te wyświechtane prawdy o XXI wieku, europejskiej stolicy, poziomie na jakim się tutaj obracamy, na jakim JA się obracam. To nie mogło MI się przydarzyć.

A jednak się przydarza. „Żadna z nich” staje się „żadną z nas”, a ja czuję, że dojrzewam. I doceniam, że z domu jestem Szczęściarą — mam zasoby, żeby się bronić. Staję okoniem, nie wywieszam białej flagi. Pokiereszowana, ale dumna porzucam nietrafione sytuacje. A jednak, raz po raz wpadam w schemat uległości wbrew sobie, łapię się na

tym zawsze nagle i zawsze za późno; nie wiem, skąd to mam (bo jestem kobietą...?). Noszę te razy jak kamyki w żołądku, to sobie nie potrafię ich wybaczyć. Przysięgam, że nauczę się nie porzucać samej siebie. Bycie kobietą to ODWAGA I PRAWO DO STAWIANIA OCZEKIWAŃ I GRANIC.

Lecz ceną za to bywa... kobiecość. „Mają dominację we krwi, nie możesz im na to pozwolić. Dlatego musisz być twarda... musisz być jak oni”, radzi mi moja zawodowa mentorka, laska, która na dużych chłopcach w slimfitowych garniturach zjadła zęby. Na Boga, jest 2017. Ale swoje już widziałam, dlatego słucham z uwagą. A potem jestem jak oni: jestem twarda, jestem facetem w spódnicy. Próbuje być.

A wieczorami zrzucaam nadbagaż, płacząc na balkonie. Kobiecość to wrażliwość w zbroi, kobiecość to spryt. Bycie kobietą to UDAWANIE, KTÓRE MA SWOJĄ CENĘ.

Tylko czy właśnie nie porzuciłam siebie?

Wśród bliskich nie udaję, z czasem zrozumieć, że nigdy i nigdzie nie muszę tego robić. Mam korzenie, zbudowałam też własny krąg mocy i zaufania — tak się składa, kobiecy. Mój Babski Zarząd ds. Życia. Ładujemy w nim baterie, śmiejemy się i płaczymy na zmianę. Nigdy nie tracimy uporu, że kształty naszego świata (mimo wszystko) zależą od nas. Od „każdej z nas”.

A w międzyczasie część Polek i Polaków buntuje się przeciwko ciemnym latom, jesienią 2020 w czarnych marszach protestują setki tysięcy ludzi. Mój kraj jest „murem podzielony”, połowa z nas chce świętej racji, druga połowa WYBORU. I tak, znów jesteśmy przy kwestii „wyboru”; protestujemy w sprawie aborcji, ale czuję, że chodzi o dużo więcej. W powietrzu znać powiew potężnej, nowej energii, moc nadchodzących zmian. „I can't believe I still have to protest this shit”, czytam na transparentach kobiet w każdym wieku i daję się ponieść iluzji, że może tym razem to już przełom na dobre.

Jest 2025. Co to znaczy być kobietą?

Czarne marsze rozeszły się do domów, kobiece kosmosy wciąż mamy równoległe. Godzę się z myślą, że może i ja do końca życia nie uwierzę, że we still have to protest this shit. Ale kiedy patrzę na córki przyjaciółek, mam pewność, że one będą już w innym miejscu i wzrusza mnie, że przecież uczą się od nas. Wtedy myślę, że być kobietą to zmieniać świat.

Na początku ten swój mały, codzienny. Tak od serca gadać z samą sobą i dawać głos temu wszystkiemu, co „nie wypada”. Rozpoznawać w sobie siłę i szanować słabość. Wstuchiwać się w innych — opierać się na ich sile, opiekować ich słabością. Łączyć, zamiast dzielić. Może musieć dawać z siebie więcej, ale też móc więcej się domagać i mówić

o tym głośno. W ogóle móc głośno mówić, zawsze wtedy, kiedy trzeba — czasami w imieniu tych, którzy milczą. Współodczuwać.

I na każde głupie „dlaczego?” odpowiadać: BO MOGĘ.

A w głowie być czasem nastolatką, może tylko taką z trochę większym sensem zbuntowaną. Nie zapominać o tym, że kreacja jest życiodajna.

Wiedzieć, że można też nie udawać. Nikogo ani niczego. Nie musieć płacić ceny, która jest za wysoka. Móc pielęgnować w sobie Szczęściarę albo ją w sobie wychować.

...a żyjąc w równoległym świecie, móc odważyć się na ten chociaż jeden krok. Potem już trudno się zatrzymać.

MONIKA WERESZCZUK

Wolność?



Żadnej z nich nie widać z lotu ptaka, a każda jest ważna.

Było ich osiem. Osiem par skrzydeł, które nie mogły wzlecieć trzymane w pordzewiałych klatkach z tradycji, władzy lub systemu.

Siedziały obok siebie.

Dyumna karmiona gorzej od swoich sześciu braci, bez szans na edukację. Jako kilkuletnia dziewczynka zmuszona do pracy w kopalni miki – kiedy rynek kosmetyczny na całym świecie kwitnie, Dyumna gubi ostatni płatek dzieciństwa. Zostaje wydana za mąż od razu po pierwszej miesiączce, w dzień aranżowanego ślubu usłyszała tysiąc razy – Obyś była matką tysiąca synów. Łez wylała więcej. W jej dłoniach srebrnodziobek indyjski.

Nermin niedożywiona, zaniedbana, siódmy miesiąc trzeciej ciąży. Nie potrafi pisać ani czytać, potrafi przetrwać. Tłem jej życia jest piekło wojny domowej. Wydana za męża jako niepełnoletnia dziewczynka, bez żadnych praw, w milczeniu przyjmuje kolejne ciosy męża. Przemoc zna bardziej niż pomoc. Boi się porodu w swojej ojczyźnie, gdzie opieka zdrowotna legła w gruzach. Czy w tym szpitalu, którego jeszcze nie zbombardowali będzie miejsce dla niej? W jej dłoniach jemeński dzieciąt.

Rojin urodzona jako ta, która może przynieść hańbę — kobieta, sterowana przez rodziców, bez wyboru. Zbyt dobrze zna nadużycia na tle płciowym, łącznie z gwałtem, choć to ona podobno pogwałciła honor rodziny. Pobita do nieprzytomności trafiła do więzienia, wraz z innymi kobietami krzyczy do wewnątrz nie wierząc już w siłę swojego głosu. W jej dłoniach dżunglotymal iracki.

Malika powołana do małżeństwa i wydania na świat licznego potomstwa. Uczona prac domowych, niewykształcona, pokorna, poddana mężczyźnie. Okaleczyli jej narządy płciowe bez znieczulenia, straciła dużo krwi, ale zachowała tradycję, ot rytuał. Małżeństwo zawiera jako dwunastoletnia dziewczynka, pod przymusem. Wyplata koszyki, swojej historii spleść nie może. W jej dłoniach dzierzyk somalijski.

Mingju pragmatyczna, jak wymagało otoczenie, po szkole wróciła w rodzinne strony wyjść za męża, małżeństwo to przecież kontynuacja rodu. Męża wybrała familia. Był z Mingju zadowolony, bo urodziła mu syna — małego cesarza. Pragnęła mieć więcej dzieci, jednak gdy zniesiono politykę jednego dziecka, jej zegar biologiczny nie zniósł jej pragnień. Dbą o męża i syna, o nią nie dba nikt. W jej dłoniach długoszpon chiński.

Esperanza ma szczęście, że w ogóle żyje, w jej kraju zabija się 10 kobiet dziennie. Jej córka miała mniej szczęścia. Najwięcej okazał się go mieć sprawca brutalnego mordu, którego nie znaleziono. Znaleziono za to zmasakrowane ciało nastolatki czterysta metrów od domu. Esperanza w kraju, gdzie nadal kobieta jest własnością mężczyzny nie ma szans na wymierzenie sprawiedliwości. Poszukiwania zakończone. Widocznie córka zasłużyła. W jej dłoniach wilgowron meksykański.

Theresa ofiara polowania na czarownice. Najstarsza córka, która pieniędzy do domu nie przynosiła, darmozjad. Odpowiedzialna za całe zło — biedę, niepowodzenie członków rodziny i awarię sprzętów domowych. Wiedźma, czary uprawiała, trzeba było egzorcyzmować, bić, by wybić z głowy te zaklęcia. Gdyby umiała czarować, urok rzuciłaby na tych co oskarżyli i terroryzowali. Umiała tylko uciec, by zamieszkać na ulicy, bez perspektyw. W jej dłoniach paw kongijski.

Anna od maleńkości podawała ojcu kapcie i robiła kanapki do pracy. Bratu cerowała skarpetki. Mama jej kazała, a sama zarobiona była po łokcie w pracach domowych. Nieważne, że ta sama mama właśnie wróciła z nocki w szpitalu. Ważne, że dzięki jej pracy, córka Ania zdobyła wykształcenie wyższe. Pani mecenas aktualnie zarabiająca 2000 PLN netto

podstawy mniej niż jej kolega zatrudniony na tym samym stanowisku, w tej samej kancelarii. Równe prawo? Nierówna walka? W jej dłoniach wróbel polski.

Zaraz do nich dosiadają się kolejne kobiety — z Iranu, Maroko, Rosji, Libanu, Pakistanu, Nikaragui, Mali, Afganistanu, Egiptu... Dochodziły dziesiątkami. A każda nareszcie trzymała w dłoniach swoją wolność.

Nie widać ich z lotu ptaka.

Widać, jak wnoszą się w powietrze, bez granic.

Non-Fiction

MOJE WYJĄTKOWE MIEJSCE

AGNIESZKA DZIEDZIC

Ogród Botaniczny w Krakowie zaprasza na zwiedzanie

Dzień dobry, nazywam się Agnieszka Dziedzic i dziś będę miała przyjemność poszwędać się z Państwem po Ogródzie Botanicznym w Krakowie. Uprzedzając pytania - nie mam legitymacji przewodnika, ani żadnych specjalnych pozwoleń potwierdzonych instytucjonalnie. Do oprowadzania po tym miejscu uprawnia mnie niepohamowana ciekawość i wybujała fantazja. Od razu chcę się jednak przyznać, że tak naprawdę to wcale nie ja wyznaczyłam ścieżkę naszego zwiedzania. Dotrzemy tam i tylko tam, gdzie dziś dopuści nas Ogród. To więc jest ten moment, żeby zrezygnować z oprowadzania lub dać się wpuścić w maliny, łubiny i inne derenie. O, na przykład te tu tutaj, zasadzone ponad dwa i pół wieku temu, prawdopodobnie przez Jana Śniadeckiego. Ale o tym za chwilę.



fot. ze FB Ogródu Botanicznego w Krakowie. Dwa drzewa w centrum fotografii to właśnie derenie

Na początek takie pytanie organizacyjne: czy mieli Państwo problem z zaparkowaniem? Pan w słomkowym kapeluszu kiwa głową. No tak, tak to jest w centrum Krakowa. A Pani w błękitnej sukience zrobiła sobie spacer z Rynku? No i pięknie, to w końcu rzut beretem. Chociaż odległość bywa kwestią względną. Ewa Mochtak w publikacji "Tajemnice ogrodów botanicznych" zauważa, że "położony dosyć daleko od śródmieścia Krakowa ogród ten był miejscem wycieczek i rozmaitych imprez".



fot. Marcin Banasik. Fragment Ronda Mogińskiego. Drzewiasty teren po prawej stronie należy do Ogrodu Botanicznego



fot. ze FB Ogrodu Botanicznego w Krakowie

Cóż, kiedy teraz z lewej strony dolatuje do nas jazgot ruchu ulicznego z wiecznie rozpędanego Ronda Mogińskiego trochę trudno uwierzyć, że były to niemal peryferia miasta.

A skoro już cofnęliśmy się do końca XVIII wieku, to zostańmy tu na chwilę. Bo właśnie jako oficjalną datę założenia Ogrodu Botanicznego w Krakowie przyjmuje się rok 1783. Ale marzenia o miejscu, które byłoby imponującą kolekcją roślin i zarazem ośrodkiem nauk botanicznych snuły się w tęgich głowach profesorów Akademii Krakowskiej już od dziesięcioleci. Na przeszkodzie stało to co zwykle – pieniądze. Pragnienie zmaterializowało się dopiero za sprawą gruntownej reformy Akademii, przeprowadzonej z inicjatywy Hugona Kołłątaja. A tak po cichu – proszę nikomu nie mówić! – myślę sobie, że jednym z czynników, które tu się przysłużyły była krakowska próżność. No bo kto to widział, żeby tak nowoczesny ośrodek naukowy nie miał swojego ogrodu do badań?! Ostatecznie Ogród Botaniczny o powierzchni 2,4 ha powstał na miejscu... innego ogrodu. I żeby to jednego. Proszę Państwa, jesteśmy na terenie istnego ogrodowego palimpsestu. Z danych, którymi dysponujemy: w drugiej połowie XVII wieku istniał tu renesansowy ogród kwaterowy. Następnie awansował społecznie i przeszedł w ręce książąt Czartoryskich, by stać się istic dworskim ogrodem. Ale to nie koniec przygód – od Czartoryskich ogród odkupili jezuici. Ten etap też nie trwał wiecznie – po kasacji zakonu ogród finalnie stał się własnością Akademii Krakowskiej. Plan zagospodarowania przygotował sprowadzony z Wiednia ogrodnik Franciszek Kajzer. Projekt urządzenia ogrodu nawiązywał



Fot. Jakub Porzycki / Agencja Wyborcza.pl. Na zdjęciu Mariusz Meus - geodeta, znany jako Pan Południk przy zerowym południku krakowskim.

do wzorów francuskich, a ponadto pałac, który znajdował się na tym terenie od około 1600 roku przeznaczono na Obserwatorium Astronomiczne. Swoją drogą – właśnie tu przebiega krakowski południk zerowy, który stał się podstawą do obliczeń astronomicznych prowadzonych przez Mikołaja Kopernika pracującego nad „De revolutionibus orbium coelestium”. Takie nasze polskie Greenwich.

Tyle wiemy i tyle można udowodnić na podstawie weryfikowalnych źródeł. A drugie tyle, jeśli nie więcej – nie wiemy i ja właśnie o tym bym chciała mówić. I zmyślać ile wlezie. Bo jak tak się zmyśla, to nigdy nie wiadomo, czy którąś myślą nie zahaczy się o rąbek prawdy.

Sporo tych zmian właścicieli, prawda? A każdy nowy właściciel ma swojego ogrodnika. A każdy nowy ogrodnik przychodzi ze swoim nowym, świeżutkim pomysłem. Dla roślin natomiast oznacza to mniej więcej tyle, co dla nas drastyczną zmianę u steru. To nigdy nie dzieje się bez ofiar. Nawet jeśli te ofiary są bezimienne. Czy patrzyli Państwo kiedyś na Ogród Botaniczny jako pole bitwy? Ile arów rodzimych roślin trzeba wypłenić, żeby postawić szklarnie z rachitycznymi chabaziami sprowadzonymi nie wiadomo skąd? Ale też proszę nie tracić czujności – zdarza się i tak, że te bładowe cherlaki, jeśli tylko podniesie im się poziom chlorofilu w liściach, są w stanie owinąć sobie ogrodnika wokół najmniejszego przylistka. Do tego ujawniają się ich zapędy ekspansyjne. Ogródnik – choć głupio mu się przyznać nawet samemu przed sobą – nie ma żadnej władzy nad Ogrodem. Pełni tu raczej funkcję rozjemcy, którego można, ale niekoniecznie trzeba posłuchać.



fot. ze strony internetowej Ogrodu Botanicznego w Krakowie. Burzenie starej palmiarni, 31 marca 1969 r. Szklarnia z 1882 r. znajdowała się w bardzo złym stanie technicznym.

Ogród powstał z woli człowieka, to prawda. Ale naiwnością jest wierzyć, że bez człowieka zginie. Dopiero Ogród pozostawiony sam sobie odzyska prawdziwą wolność, zacznie żyć na swoich własnych zasadach. Zgodnie z wewnętrzną logiką, którą my ignorancko nazwiemy zdziczeniem. Zapuszczeniem. Upadkiem.

Ogród Botaniczny całkiem jawnie tu i tam, z właściwą sobie nonszalancją, ukazuje swoją autonomię. Starannie wytyczone i cyklicznie podsypywane żwirem ścieżki w części parkowej Ogrodu, czyli arboretum, co jakiś czas muszą pokłonić się nisko przed małą, ale waleczną złocią żółtą, która pojawia się niewiedomo skąd i kiedy. Kawałek dalej zobaczymy powalony, zapomniany pień drzewa, który w porządnym parku już dawno temu powinien zostać uprzątnięty. Ale nie w Ogródzie! Ten martwy, rozkładający się pień robinii akacjowej, Ogród otacza niesłychaną troską, byle tylko ta śmierć trwała długo i szczęśliwie. Krzywi się Pani na "długo i szczęśliwie"? Niepotrzebnie, naprawdę. Proszę lepiej spojrzeć ile radości i witalności w listkach tego młokosa jesiona, który zapuścił korzenie na martwym ciele robinii. A ona, hojna gospodyni, ze wszystkich sił i z całej swej niemocy wzbogaca glebę w próchnicę. Znają Państwo takie powiedzenie: "W naturze nic nie ginie"? To właśnie jest o tym.



fot. A. Dziedzic



fot. A. Dziedzic



fot. A. Dziedzic

O widzę, że robi Pan zdjęcie jednemu z tych pocziwych dereni. Świetnie, bo on mimo wieku, jest bardzo fotogeniczny. Janowi Śniadeckiemu przypisuje się jego zasadzenie. Proszę zwrócić uwagę na cały pancerz wzmocnień, co by staruszek pociągnął jeszcze chociaż ze sto lat. I tak głośno sobie myślę - piękny czy próżny to z naszej strony gest? Jako ludzie mamy obsesję długowieczności i kult indywidualizmu. Zapłacimy najwyższą cenę, byle tylko ocalić coś indywidualnego. Z całym szacunkiem, ale naturę (której częścią też w końcu jesteśmy) nie bardzo zajmuje, czy przetrwa dereń zasadzony przez Śniadeckiego czy jakiś inny, bezimienny. Zarówno ten sławny, jak i ten bezimienny będzie doskonałym nawozem dla roślin, które przyjdą po nim.



Fot. A. Mróz: Derenie Śniadeckiego - dereń jadalny (Cornus mas). Okazy wg. tradycji posadzone przez Jana Śniadeckiego, około 1790 r.

Proszę się nawet nie łudzić, że dziś obejdziemy cały Ogród. Zresztą - to nie ma sensu. Zwiedzanie Ogrodu to trochę jak zwiedzanie muzeum z nieustannie aktualizowaną wystawą. Dziś kwitną magnolie, jutro będzie po nich tylko biały dywan, z brązowiejącym, gnilnym wzorkiem. A za tydzień w szale zachwyty nad tulipanami nikt nie będzie pamiętał, że w ogóle są tu takie drzewa jak magnolie i że niby kwitną zjawiskowo. Odwiedzanie Ogrodu to jak wpadanie w okno czasowe bez początku i końca. Wieczne teraz, aż do utraty zmysłów.

Historię Ogrodu zapisuje się nazwiskami wielkich botaników, zasłużonych dyrektorów, charakternych ogrodników. To zupełnie tak jak opis kolekcji roślin - zawsze jest

jakaś gwiazda, która staje się jej twarzą, wizytówką. Ale jakby jasno nie błyszczała, to nigdy sama ze swoim blaskiem nie stworzy kolekcji. Bo kolekcja to zbiór przynajmniej kilku elementów, ze swoimi wewnętrznymi tarciami, spójnościami i niespójnościami. O ilu roślinach już nigdy nie usłyszymy, bo wymarły bezpowrotnie? O ilu sumiennych pomocniczkach i pomocnikach głównego ogrodnika nie usłyszymy wcale? Smutne to? Tak, z ludzkiej perspektywy. Trzeba wziąć chusteczkę i podać ludzkiemu ego, niech się zdrowo wypłaczę.

Mam dla Państwa jeszcze kilka opowieści o Ogrodzie poupychanych w kieszeniach, gdzieś między nasionami i orzechami, które przyniosłam w ramach daniny dla tutejszych wiewiórek. Ale to już nie na dziś. Jeszcze trwa czas spoczynku dla tych historii.



fot. A. Dziedzic

AGNIESZKA MALEC

Zakamarki

Moje wyjątkowe miejsce to miasto, do którego wyjechałam na studia bardzo, bardzo dawno temu. I już zostałam. Wyjeżdżałam na zasadzie: „muszę wyjechać”, a z biegiem lat przeszłam przez etapy od: „nie mogę wrócić” do: „nie mam do czego wracać i nigdy nie miałam”.

To chyba pierwsze miejsce, w którym poczułam się naprawdę bezpiecznie. Jakby ta zakurzona, pokryta smogiem dolina pochłonęła mnie i zassała w swoim zakorkowanym i dusznym chaosie na zasadzie: „wszystko będzie dobrze mała, znajdzie się dla ciebie tutaj miejsce”. Absolutnie nikomu nie próbowałam wmawiać, że jest to raj na ziemi. To po prostu moje bezpieczne miejsce. Jego ciężar, ospałość i ukryta dynamika przykryła mnie jak miękka, ciepła kołdra, którą nasuwasz sobie nawet na głowę, kiedy robi ci się bardzo, bardzo zimno. I kiedy nic poza tą kołdrą ci nie pozostało.

Kraków.

Przez lata mieszkania tutaj i poznawania różnych ludzi, zgadzam się z każdym argumentem na to, że ciężko się tu mieszka i masa rzeczy nie działa tak jak powinna. Spotkała mnie tu masa przykrości i trudnych chwil. A jednak czuję się tak samo, jak wiele lat wcześniej – jakby to bijące w środku tego miasta serce, biło też dla mnie. Jakby ciągle wszystko było możliwe.

Tyłu poznałam tu ludzi, sąsiadów, znajomych, przyjaciół i klientów. Brałam udział w tylu dziwnych warsztatach, sama prowadziłam warsztaty, chodziłam zaryczana po ulicach, albo szczęśliwa – tanecznym krokiem.

Protestowałam na rynku, rozdawałam zupę na dworcu, włóczyłam się po nocy, trąbiono na mnie na przystankach i kilka razy mało nie wpadłam pod tramwaj.

Poznawałam poważnych ludzi w nietypowych okolicznościach i bieliźnianych gatkach, i zupełnie niepoważne osobistości w poważnych miejscach.

Słuchałam narzekania na korupcję, ludzi, prezydenta, korki, smog, znowu ludzi, developerów i masę innych rzeczy. Wiem, że mieszkańcy niektórych dzielnic czują się lepsi od mieszkańców innych dzielnic. I jest to chyba jedyne miasto, gdzie ludzie na nagrobku zapisują sobie tytuł naukowy, tak jakby tutaj miało to też znaczenie po śmierci.

A jednak wydaje mi się, że to wielkie niesamowite stworzenie, jak każde żywe stworzenie o zdrowych instynktach, kochane — odwzajemnia uczucia. A ja dalej czuję te same motylki w brzuchu, stojąc w tych samych punktach miasta co ponad dwadzieścia lat temu.

Mam taką huśtawkę w parku blisko mnie, na której można sobie podwinąć wygodnie nogi, jak się chce trochę sobie popłakać, a huśtawka jest tak obrócona, że nikt cię nie zobaczy z wyjątkiem roślin na około. Mam drzewo, które zawsze zabiera moje napięcie i smutki jak przechodzę obok, mały drewniany mostek, który, jak sądzę, jest przejściem do innego wymiaru i dobrze się na nim podejmuje decyzje. Właściwie, to takich mostków jest kilka.

Jest też kościół, do którego czasami zaglądam, ale nie żeby myśleć o Bogu, tylko o tym, czy kiedyś siedział na moim miejscu jakiś rycerz i zastanawiał się, czy da się dzisiaj kogoś przelecieć? A może rycerze nie myśleli o takich rzeczach, tylko raczej o tym, co będzie na obiad, albo było im duszno, no bo w tym kościele naprawdę czasem bywa duszno.

No i jest Wawel — zamek oblegany przez turystów i sprawiający wrażenie zupełnie wypranego z tajemnic. Ja jednak wiem, jak wygląda w porannej październikowej mgłę i słowo daję, że ta znudzona poza to tylko na pokaz. A tak naprawdę on tam sobie żyje ze swoimi sekretami i dużo widać, jak się tylko odpowiednio długo zmruży oczy.

I znam taki zaułek, na dworcu podziemnym, gdzie spotkałam jednego z najodważniejszych ludzi na świecie, który jechał walczyć, prosto na front, na swoją wojnę. I chciał nam, dziewczynom rozdającym uchodźcom zupę, zrobić zdjęcie, żeby pokazać swoim ludziom, że ktoś tutaj jest po ich stronie. Pamiętam, że starałam się uśmiechać najbardziej uśmiechniętym uśmiechem, jak mogłam, a potem w domu się popłakałam. I zastanawiam się czasami — czy żyje, czy się jeszcze spotkamy? Czy zostanie mi tylko to wspomnienie w zaułku koło przejścia?

I są uliczki, którymi chodziłam niezliczoną ilość razy. A raz, jak już byłam bliska poddania się, doprowadziły mnie na spotkanie z nieznajomym, który odmienił moje życie na zawsze, mówiąc po prostu: „to poważna sprawa Agnieszko, potrzebujesz pomocy”. I pomagając.

I uliczki, po których zasuwałam o północy przy okrągłym pełniowym księżycu w zamasytej kolorowej spódnicy, ale nie odprawiać czary, tylko po chipsy do całodobowego, bo bez nich pisanie pracy licencjackiej zupełnie mi nie szło.

I taki placyk gdzie jest mała pętla tramwajowa i kilka kwiaciarni, koło których przechodziłam tak wiele razy. Pewnego dnia, w jednej z tych kwiaciarni, ktoś zupełnie obcy kupił mi różę, wręczył mi z uśmiechem i zniknął z mojego życia na zawsze, tak tajemniczo, jak się pojawił.

I jest jedno takie miejsce, gdzie co roku są targi bożonarodzeniowe, ale nie te dla turystów, tylko takie z nietypowym rękodziełem i starą karuzelą. I zawsze tam można z kimś porozmawiać. I dostać na przykład przepis na grzańca od sprzedawczyni, która powie mi potem na ucho, że: „Takie, zimno, że ja wczoraj, stojąc tutaj, całą butelkę wina wypitałam. Bo ja lubię wino”. Czasem, w trakcie tych targów, jest śnieg, czasem nie ma, ale zawsze coś takiego unosi się w powietrzu (poza zapachem pieczonych kiełbasek), że jakby to można było zobaczyć, to na pewno wyglądałoby jak brokat.

I jeszcze jest taki plac, na którym co roku jesienią, ta sama sprzedawczyni, w tym samym miejscu, z tego samego straganu, sprzedaje pachnące wilgocią grzyby z wiklinowych koszyków. Co roku narzeka tak samo, na współczesną młodzież, że nie ma komu grzybów zbierać, i że „tylko by w piloty klikali”. I ja co roku uśmiecham się pod nosem, bo dociera do mnie, że to już kolejny rok minął, chociaż tutaj wszystko jest tak samo, na swoim miejscu, ale ona nie rozumie mojego uśmiechu i tłumaczy mi dalej, jaka ta młodzież jest straszna.

I nawet świeżo zbudowana droga wylotowa, która łączy Kraków z Warszawą, i jest tak nowoczesna i błyszcząca, że świeci się jak psu jajca — nawet ona ma zakamarki. Bo jest też przy niej chodnik, i jak pójdziesz nim trochę do góry i w odpowiednim miejscu się obrócisz, to widać w oddali pasma górskie i Babią Górę i Tatry przy dobrej pogodzie. Są daleko, ale i blisko, jakby były na wyciągnięcie ręki i pilnowały tej doliny, którą sobie pracownicy zabudowujemy. Jakby mówiły prosto do mnie: „Wszystko w porządku Agnieszka, my tu zawsze jesteśmy, dla ciebie też”.

I na pewno są miejsca na świecie, gdzie jest piękniej, spokojniej i lepiej. Tylko że ja się ciągle zakochuję. Tutaj. Ciągle tak samo mocno i ciągle od nowa.

EWA BRZESKA

Szpiegowo

Gdy wiele lat temu, jeszcze nie będąc fanką PRL—owskich blokowisk, pierwszy raz zobaczyłam to miejsce wydawało mi się paskudnym, szaro—burym, betonowym reliktem poprzedniej epoki nadającym się, co najwyżej, do wyburzenia. Budynek, który zna każda szanująca się warszawianka, fanka miejskich klimatów, niemalże drugi po bogu (PKiN) warszawski obiekt. Mówi się o nim, że wygląda trochę jak połączenie Czarnobyła z The Walking Dead. To fascynujący kompleks znajdujący się przy ul. Sobieskiego 100 zwany przez warszawiaków Szpiegowem, jeden z najciekawszych budynków modernistycznych w Warszawie. Zaprojektowany przez znanych architektów Janusza Nowaka i Piotra Sambrata twórców takich kultowych PRL—owskich blokowisk jak Służew nad Dołinką czy Osiedle Batorego (na marginesie drugi z architektów jest także współautorem innego modernistycznego cuda —budynku mieszkalnego przy ul. Koziej 8).

Kiedy pod koniec lat 70—tych architekci dostali zlecenie na zaprojektowanie kompleksu dla radzieckiej ambasady, która potrzebowała większej ilości mieszkań dla dyplomatów, nie wiedzieli jeszcze jak ciekawie potoczyć się jego historia. Wiadomo, że w tamtych czasach o takich rzeczach się nie mówiło, ale podobno mieli w nim mieszkać nie tylko rodziny pracowników ambasady, ale także szpiegów KGB. Wtedy również nie odbywały się żadne przetargi, nikt nie myślał o dokumentacji budowlanej ani o standardach takich jak parking podziemny czy udogodnienia dla niepełnosprawnych, co obecnie okazuje się nie lada wyzwaniem. Mieszkań miało być około setki — 100 metrowe dla pracowników ambasady, mniejsze dla biura radcy handlowego oraz takie 40— 50 metrowe dla pozostałych. Budynek może i nie spełniałby obecnych, wyśrubowanych standardów, ale miał mieć przedszkole, kino, klub osiedlowy, salę gimnastyczną, plac zabaw dla dzieci, saunę i bibliotekę, a nawet zakład fryzjerski. W tamtych czasach smutnego PRL—u, w którym często całe rodziny gnieździły się w maleńkich, dwupokojowych mieszkaniach ze ślepa kuchnią taki luksus przeznaczony był tylko dla wyższych rangą partyjnych notabli. Dodatkowo budynek miał być pierwszym zamkniętym warszawskim osiedlem z ochroną. I tak na przełomie 1977 i '78 powstał kompleks trzech połączonych ze sobą budynków, z których najwyższy miał 10 pięter. Każdy segment miał własny

ciąg komunikacyjny, a między budynkami, w środkowej części widać zamknięty od góry prześwit. Wokół budynku znajduje się wysoki, betonowy mur z drutem kolczastym. Pośrodku otoczonego murem kompleksu znajduje się fontanna, ogród i budynki gospodarcze. Całość ma przeszło 7 tys. metrów kw., bo cały zespół miał być samowystarczalny. Z okien rozciąga się widok na panoramę Warszawy natomiast z drugiej strony na park. Od strony ulicy, czego zupełnie nie widać, bo budynek stoi w otoczeniu blokowisk i dużo nowszych, nowoczesnych apartamentów, znajduje się jezioro oraz strumyczek oraz bardzo urokliwy park Sielecki, niedawno rewitalizowany.

Od samego początku kompleks stanowił temat plotek wśród warszawiaków i domysłów na temat mieszczącej się tym siedziby KGB czy tuneli prowadzących do rosyjskiej ambasady, która znajduje się w pobliżu. W późniejszych latach miejsce to obrosło jeszcze większą legendą, do czego przyczyniły się zakręty historii i nielegalnie buszujący we wnętrzach amatorzy urbexu. Jednak za minionych czasów na terenie była ochrona oraz kamery, które nie dopuszczały niepożądanych gości w pobliże. Ten oldschoolowy sprzęt z lat siedemdziesiątych wciąż jeszcze widoczny jest z zewnątrz (są pewne plotki, że wciąż transmituje). Natomiast do środka mogli wejść wyłącznie posiadacze radzieckiego paszportu. Budynek po upadku ZSRR w roku 1989 rzekomo został opuszczony, a po wycofaniu się radzieckiego wojska z Polski w 1992 r. zupełnie nie używany zaczął popadać w ruinę. Od tamtego czasu też zaczęła się tworzyć jego legenda szczególnie, że przez lata toczył się spór między rządem polskim i rosyjskim o prawa własności. Pod koniec lat 90-tych, w czasach najbardziej hardcorowej transformacji, kiedy zaczęły tworzyć się majątki polskich miliarderów, fortuny oligarchów, w czasach zmian ustrojowych i przekrętów finansowych, podobno gmina wydzierżawiła budynek firmie Fart. Podejrzana spółka zatrudniała pracowników centrali handlu zagranicznego i prowadziła wątpliwej reputacji interesy w związku z obrotem gazem ziemnym i w końcu zajęła się nimi ABW. Ponieważ nie było żadnej dokumentacji, żeby potwierdzić, że dzierżawa faktycznie doszła do skutku, a właściciel zmarł w niewyjaśnionych okolicznościach a równocześnie ambasada rosyjska upierała się, że według prawa międzynarodowego budynek wciąż należy do niej rozpoczęły się spory i przepychanki polityczne trwające do dzisiaj, aż w końcu budynek przejęło polskie państwo. W międzyczasie, około roku 2005 pojawił się tam nocny klub, popularny wśród ruskich expatów mieszkających w Warszawie. W klubie, o szemranej reputacji, zwanym „Sotka” (Setka po rosyjsku), jak głosi legenda, było więcej kałasznikowców niż gości. Wstęp mieli tylko wybrani za okazaniem przepustki lub rosyjskiego paszportu. Wejście do niego było tajne a legendy o imprezach znane na całe miasto. Nawet po jego zamknięciu trudno było znaleźć wejście i dopiero przez przypadek, jednemu z organizatorów nielegalnej wyprawy do wnętrza kompleksu, udało się je odkryć. W znalezionym menu klubu znajdowały się drinki

w całkiem przystępnej cenie 13 PLN, takie jak Manhattan, Cosmopolitan czy Foxy Lady, shoty za 8,— a Cola 3,5,— .

W 2022 r. z wielką pompą budynek przejęło miasto jako symbol zwycięstwa nad złym ruskim reżimem oraz zemsta za zajęcie Ukrainy. Podobno miał być tam hotel lub mieszkania dla uchodźców. Pewnie była to też miejska legenda, bo nic od tej pory się nie zadziało, a ukraińsko—polska flaga namalowana na początku wojny została zamazana. Ostatnie doniesienia mówią, że władze mają stworzyć tam mieszkania dla osób ważnych z punktu widzenia miasta. Jak widać dobre intencje były, ale się zmyły w związku z tym, że koszty remontu wyniosą pewnie parę mln PLN.

Od końca pierwszej dekady obecnego wieku budynek był celem wypraw urbexowych (mnóstwo filmików na YT). Poszukiwacze znajdowali tam stare rosyjskiej gazety, pozostawione po mieszkańcach meble, kanapy, żyrandole, dokumenty, zabawki, wyposażenie, obrazy, stare telefony, książki. W kuchniach i łazienkach wciąż pozostał sprzęt mimo, że ostatni ludzie wyprowadzili się w 2005 r. Ciekawostką jest to, że wyposażenie jest w kolorze kafelków. Są niebieskie umywalki, toalety czy specjalne porcelanowe wieuszaki łazienkowe. Wycięto jednak wszystkie kaloryfery, rury czy instalacje elektryczne. W pomieszczeniach odpadają tynki, brakuje szyb a okna zabite są deskami, zdewastowano drzwi wewnętrzne a nowoczesna, jak na tamte lata, drewniana podłoga w wielu miejscach jest albo wybrzuszona albo całkowicie zerwana, na ścianach grzyb. Wnętrza zwiedzano na ogół w nocy z latarkami, szukając ukrytych pomieszczeń i tuneli. Jak głosi legenda często kręcili się tam podejrzani ludzie w ciemnych okularach ponoć wynoszący jakieś sprzęty, kto wie, może tajne dokumenty albo zamurowane w ścianach pieniądze. Ponoć mogą być tam jeszcze gdzieś zabetonowane w czasie wyjazdu mieszkańców skarby a może pozostałości po sekretach KGB. Istnienie w podziemiach tuneli prowadzących do ambasady dementuje jednak emerytowany architekt, współprojektant budynku Janusz Nowak tłumacząc, że wody gruntowe uniemożliwiły stworzenie tam nawet podpiwniczenia nie wspominając o tunelu. Jednak w związku z tym, że z czasów budowy nie ma żadnych zdjęć a pracownicy budowy oraz inne zaangażowane osoby były zobowiązane do zachowania tajemnicy, tak naprawdę nie wiadomo co jeszcze kryje się w betonowym molochu. Skąd wzięło się światło, które wciąż działało w niektórych pomieszczeniach mimo lat nieużywania. Może faktycznie istnieją tajne przejścia, ukryte pomieszczenia, skrytki, zapomniane przez uciekających szpiegów, dokumenty czy inne sekrety i uda się je odkryć ludziom z ekip remontowych, którzy mają tam wejść w tym roku. To, że kompleks został wzniesiony w czasach zimnej wojny kiedy szpiegzy wschodu i zachodu prześcigali się w pomysłach jak wywieźć w pole przeciwników, w czasach bez dronów, komórek i nowoczesnych technologii dodaje dodatkowego smaczku całej operacji. Wnętrze fascynuje nie tylko amatorów urbexu ale i zwykłych mieszkańców Warszawy.

Warto zobaczyć budynek od tyłu, czyli od strony Parku Sieleckiego, bo stojąc od ul. Sobieskiego nie widać jakie piękne widoki kryją się po jego drugiej stronie. Dojazd tramwajem 19 i 16 lub autobusem 116, 166 i 172 do przystanku Kostrzewskiego, albo 141 i 119 do przystanku Zakrzewska i spacer przez park.

KLAUDIA CHRAPKO

Bieszczadzki płaj

Powracam. Czuję, że nie mogę dłużej ignorować tego głosu. Tak jest właśnie, to moja największa tęsknota. Ty wiesz świecie, że tęsknię za tym rytmem, za tym oddechem. Już od początku podróży w Bieszczady, jest mnie dwie. Pierwsza prowadzi dyskusje o jachtach i japońskich autach druga rozgląda się uważnie i nie może się przestać zachwycać widokami. Gdy widzę, serce na paśmie Berda, wiem, że jestem w domu. Uśmiecham się ławo. Moi towarzysze podróży wyczuwają, że to będzie trudna podróż. Moje wewnętrzne dziecko wychodzi z siebie. Podskakuje i piszczy radośnie, gdy jeleń przechodzi obok drogi. Patrzy w naszą stronę a ja mam wrażenie, że to duch, ale nie jakiś jakich jest pełno w tych stronach, ale jego duch. Prowadzi mnie. Jeleń ucieka w las, ale poczucie obecności zostaje. I rzeczywiście, czuje nuty niedźwiedziego czosnku, pokrzyw i malin, ulubionej potrawy dziadka. Nie mogę przemykać oczu i rozkoszować się wspomnieniem jest zbyt ładnie. Gdy trafiamy do Chmiela widzę tą starą topolę, stoi tak jak wtedy tylko nieco bardziej przekrzywiona. I jesteś, uśmiechasz się. Dlaczego mi to zrobiłeś? Pytam bezgłośnie, pierwsza ła. Pozwalam ci ją zabrać. To moja przepustka na dalszą podróż. Sentyment. Dotykam dłonią ściany cerkwi, wierząc, że duchy żyją w nas. Noc już przeminęła. Trzeba iść dalej, w kierunku nowych wschodów. Ci za którymi tęsknię, pilnują moich prawd.

Patrzę w górę, jaskółka znak podniebny mówi, że powinnam wracać częściej. Kolejny jest Smolnik i święty Michał. Pomimo wojen, pandemii, burz i pożarów to miejsce wydaje się trwać w czasie, przeciw czasom. Zawsze, gdy tam jestem mam ochotę usiąść na drewnianym dachu. I puszczam tam swoje dziecko, żeby złapało w dłonie promienie Słońca i trochę nieba. Ten zapach drewna zmieszany z historią jest onieśmiałający. Dziwnie jest patrzeć na to co pozostało, bez pytania o to, ile jeszcze będzie to trwać. Wdycham głębiej, chcąc zapamiętać wszystko. Nie będę się wzruszać. Jednak znowu płacę łzą za dalszy przejazd. Wszystko jest zmianą, ale jedno nie wydaje się inne. W tych miejscach, nie jestem tylko artystką, jestem opuszczonym dzieckiem, które za wcześniej doznało straty. Kobieta we mnie wyciąga dłoń po dziecko, aby zeskoczyło bezpiecznie.

Moje młodsze ja ma we włosach krucze pióra. Tak... własne ptaki są mi potrzebne. To z ich powodu nie chce się cofać. Nie chce zasypiać i przegapiać świtów. Już dość. Kątem oka widzę martwą wiewiórkę. Nie zdążyła wymknąć się śmierci, ale robi ostatnią dobrą rzecz. Jest to ten naturalizm, który mnie dotyka, który ma dla mnie znaczenie. Być może teraz stanie się trawą albo podmuchem wiatru. A ty? Kim będziesz po śmierci? Podskakuje, gdy dziecko zadaje to pytanie. Koniem — odpowiadam bez zastanowienia — wolnym dzikim koniem — uzupełniam czując nagle jak mało jest wolności w tym świecie. I jakby na zawołanie, ból rozkwita w prawej stopie, ściagam więc buty i stoję w przymrożonej trawie robiąc dokładnie tak jak uczyła mnie babcia. Zamykam oczy i rozkoszuje się uczuciem wilgotności śniegu pod palcami. Mam wrażenie, że ziemia wchłania mój ból. Czuję się jak wiedźma lub szeptucha. Słońce pieści moje policzki — tak matko też cię kocham. Zabieram buty i próbuje je ubrać chcąc ruszyć w dalszą drogę.

— Ale czy musisz? — Dziecko mruga do mnie.

— No... nie. — mówię z wahaniem i zdejmuję je znowu.

— Wiem, że on na pewno to robił. Zgadza się — a gdy patrzę na kirkut w Lutowskiach, cieszę się, że dałam się namówić. Z szacunkiem pochylam głowę, wiedząc, że mieszkam z wnukiem człowieka, który oddał życie w tej sprawie. Iskra tli się we mnie przypominając, że we mnie też płynie ukraińska krew. Nie można zapomnieć, że nie była to najlepsza karta historii. Czuję się w jakiś sposób pokornie dotykam więc macewy, pamiętam, że ta przed którą stoję jest najmłodsza, zdobią ją jelenie więc należała do mężczyzny. Witaj nieznajomy, dziś walczymy dalej. Wcale nie jest bezpieczniej. Teraz to Ukraina ma u siebie wojnę. Patrzę w dół na blizny na moich stopach. Tak każdy ma mniejsze i większe bitwy. W końcu zimno które ogarnia moje ciało zmusza mnie do okrycia i już brakuje mi tego pulsu pod palcami. Mijamy kamieniołom, jeszcze nie jestem gotowa, żeby tam pojechać. Kolejny jest Michniowiec i kamienne krzyże. Odczuwam całą sobą to miejsce a duchy mówią głośniejsz, niektóre z tych bezimiennych siedzą na dzwonnicy w okolicznej cerkwi. Kolejnego krzyża nie jestem w stanie unieść i wracam po kwiaty które kupiłam na tę okazję. Pod jednym z krzyży, kładę czerwone róże. Wyglądają na tym śniegu jak plamy świeżej krwi iskra nie tylko dotyczy żywych i dobrze, bo trzeba pamiętać. Zanim dojechaliśmy do Bystrych, mam poczucie, że duchy chcą, żebym zobaczyła cały szlak cerkwi w Bieszczadach. Udaje nam się dotrzeć w kolejne miejsce. Michał archanioł widocznie stwierdził, że mam go odwiedzić, więc jestem pod cerkwią. Kolejna łza, gdy widzę zająca. Nie wiem, dlaczego myślę o kocie. Brakuje mi jej uspokajającej obecności, dotyku łapy na policzku tak podobnym do matczynej troski. Czuję się tak samotna. Jakby ktoś mi wyrwał korzenie. Dlaczego? Powtarzam znowu. I nadal nie dostaje odpowiedzi, myślę, że po to jest ta podróż, żeby zrozumieć tę stratę.

— A mnie się wydaje, że się rozgrzebujesz zamiast godzić. — wewnętrzne dziecko

zauważa rozsądnie. Rzeczywiście tak jest. W moim sercu jest więcej krwawiących miejsc niż przed podróżą. Oczywiście na zewnątrz nadal prowadzę inteligentną rozmowę, pełną anegdot ze swojego życia. Ale wewnątrz mam wrażenie jakbym przechodziła naga przez kamienne ucho igielne. Oczywiście, że utknęłam w tej tęsknocie, melancholii, czasem rozpaczy, za życiem którego nie miałam i nie będę już mieć. Nie będę się budzić już więcej w domu dziadka nie napiszę tam powieści, nie będzie lekcji sztuki i szachów. Wiem, że to odeszło. Wiem o tym, ale tak mi jest żal zwłaszcza teraz gdy otwieram się na świat. Nagle w mojej głowie mały chłopiec o znajomych błękitnych oczach gra na harmonii znaną mi melodię. 15 lat, kiedy to minęło. Wtedy siedzieliśmy wszyscy przy ognisku, kompletnie nieznani sobie, ale połączeni duchem biesów i czarów. Ktoś wyciągnął gitarę, ktoś harmonijkę i nagle śpiewamy prosto w gwieździstą noc:

„Jeszcze zdążymy w dżungli ludzkości siebie odnaleźć, tęskność zawrotna przybliży nas. Jest już tak późno, nie — nie jest za późno! Wszyscy krzyczymy: Nie jest za późnooooo!” Wierząc w świat i jego anioły. Rozglądam się wracając do rzeczywistości, bo może gdzieś kryje się ktoś?

— Ty wiesz... a może zapomniałaś? — patrzy na mnie moje osobiste dziecko, tym wzrokiem. Tym który mówi, że mam słuchać.

— O czym?

— Anioły są całkiem samotne... — zwłaszcza te w Bieszczadach. — Może twoja samotność nie jest przypadkowa? — Zastanawia się. Gdy już mam zaprzeczyć, że to jest niedorzeczne, przypominam sobie, dlaczego palę co tydzień dwie świece zamiast jednej.

— Dla kogoś już byłeś aniołem... — dopowiada wiatr głosem aż nazbyt znajomym. Kolejna łza i ślimak na drodze. Pozwalam mu niespiesznie przejść. Dziwiąc się ze wędruje w taki zimny dzień

— O Stefan! — Krzyczy dziecko. Wspominając, że tak miał na imię mój wodny ślimak. W końcu dojeżdżamy do Hoszowej. Już zapomniałam jak w tym miejscu ludzie chcieli być bliżej nieba. Gdy chce dotknąć drewna mam wrażenie drgania zielonych skrzydeł. Dlaczego nie mówisz do mnie nic dziadku? Szelest w półmartwej trawie, prawdopodobnie poszedł dalej na szlak. Gdy wracamy, z tej części wycieczki wiem, że muszę dokończyć to co rozpoczęłam. Jesteśmy więc w Bóbrce. Widzę znajomą ścieżkę, która pamięta kroki mojego dziadka. Podjeżdżamy, widzę znajome, witraże w oknach i... nie mogę. Ostatnie wspomnienie jakie mam z tego domu to uśmiech dziadka, gdy mnie żegnał po moim wieczorze poetyckim. W tle niczym topielica unosiła się jego ostatnia żona, żeby porwać naszą przyszłość. Miałam wtedy przeczucie, że coś się zmienia. Nigdy jednak nie myślałam, że będzie to nasze ostatnie spotkanie.

— Wcale nie było. — Szepcze dziecko.

— Jak to nie było?

— I nigdy nie będzie. Spotykacie się w snach. W twoim pisaniu i tworzeniu. — Dziecko dotyka mojego serca w niemych pragnieniach. Koło musi być pełne. Za chwilę stoję nad kamieniołomem. Boli mnie każda część ciała. Czuje, że moje serce gubi rytm. Odtwarzam w pamięci sen, który miałam po śmierci dziadka. Stałam dokładnie w tym miejscu, gdy podmuch wiatru sprawił, że stoczyłam się na dno. Moja krew spływała po znajomych skałach by zebrać się w jedno źródło. Gdy popatrzyłam w tafle koloru burgunda, zobaczyłam jego oczy potem całą jego postać. Trzymał na rękach dziecko — mojego ojca. We śnie odwrócili się oboje i odeszli razem z moim poczuciem bezpieczeństwa z miłością, której nie miałam. Teraz wiem, że musiałam zobaczyć jego syna przed własną podróżą w to miejsce. Jediną osobę, która ma jego oczy i rysy.

— Klaudio! — Ten głos. Ten wiatr. Wreszcie odpowiedział. Patrzę na niego w dłoni ma lampę naftową, mimo jasnego dnia. Nic nie mogę poradzić na to, ale jestem zła. Ziemia drży od moich emocji. Płomień w lampie jednak nie gaśnie.

— Klaudio. — powtarza znowu. Z zaskoczenia zabiera mi oddech, bo teraz pamiętam. Siedziałam na jego tarasie z widokiem na kamieniołom. Przyszedł bezgłośnie i otulił mnie swetrem przed chłodem wieczora. Nie musiałam tłumaczyć, że właśnie się zakochałam.

— Masz w sobie iskrę. Jesteś silniejsza od nas wszystkich. Chciał coś jeszcze dodać, ale zjawili się goście i musiał zejść na dół. Kilka lat później, gdy prosił o akceptację jego związku z przyszłą czwartą żoną, nazwał mnie iskierką.

— Zapomniałaś — mówi z wyrzutem. Wiesz lampę na jednej ze skał i podchodzi do mnie łapiąc moje dłonie. — Jesteś jedyną pozostałością po tym co ważne. Po mojej jedynej i pierwszej miłości.

— Sztuce. — Domyślam się. Brzmi to jakoś głucho i pusto. Żal odbija się w moich oczach. Niebo się chmura a lampa gaśnie. Gdy chce zawrócić czyjaś dłoń powstrzymuje mnie.

— Pamiętasz w jakie miejsce chciałem cię zabrać? — Mówi z większą łatwością niż pamiętam a ja się skupiam i po chwili wiem:

— Źródła Sanu.

— Tak. Szukałem w życiu nowych początków zamiast wracać do źródeł. Zapala płomień, i bierze go w dłoń po to, aby włożyć mi go do serca, po czym znika — zawsze tu będę, szumi jego głos na wietrze. A ja tu w tym miejscu czuję, że odnajduje swoje korzenie, swoje zagubione części. Jeśli chce uczestniczyć w drugiej części wyprawy muszę znowu je boleśnie wyrwać. Gdy udajemy się w bardziej zatłoczoną stronę tego raj, mam poczucie, że nikt mi nie opowie o Bieszczadach tak jak dziadek i o dziwo... ja sama. Wiem, że moje mroki będą wracać. Jednak zawsze będę szukać, duchów ludzi, którzy tu mieszkali. Jestem ulepiona z ich wrażliwości, dawnych melodii i dźwięków

Płaj w mojej rodzinie określenie, na szlak którym się podąża, droga pełną spokoju i właściwy kierunek w życiu.

W tekście wykorzystano fragmenty utworów: Stare Dobre Małżeństwo „Jest już za późno, nie jest za późno” oraz Stare Dobre Małżeństwo „Bieszczadzkie Anioły”

SYLWIA DUDA

Moje wyjątkowe miejsce

Województwo dolnośląskie, Kowary, ulica Zamkowa 9, 2020 rok

Kiedy spotykam Ją po raz pierwszy, właśnie w tym miejscu, jest tylko swoją kopią w skali 1:25. Tylko Ona przykuwa moją uwagę, na dużo dłużej niż jej zacne towarzystwo. A muszę przyznać, że stoi pośród najlepszej turystycznej śmietanki Dolnego Śląska. Za sąsiada ma Zamek Książ, Zamek Kliczków, schronisko PTTK Samotnię, Strzeżę Akademicką czy Bazylikę Mniejszą w Krzeszowie. Jest jak Kopciuszek bez ingerencji wróżki Matki Chrzestnej na balu u Księcia. Podchodzę do Niej, przyglądam się z każdej strony i już wiem, że musimy spotkać się na szlaku, choć to pierwszy raz, kiedy o Niej usłyszałam. Jesteśmy w Parku Miniatur Zabytków Dolnego Śląska w Kowarach, ale myślami już w tym lesie sosnowo bukowym, gdzie stoi schowana moja nowa miłość, której jestem tak strasznie ciekawa. Wyciągam telefon, odpalam nawigację.

— Piętnaście minut autem — pokazuję trasę Radkowi. Za chwilę Ją poznamy.

Schloss Fischbach¹, Prusy Wschodnie, 1823 rok

Widział w oczach swej ukochanej żony cień smutku i tęsknotę. Wiedział, że księżna na Zamku Fischbach Maria Anna von Hessen—Homburg w niektóre wieczory wyptakuje oczy za domami z Wyżyny Berneńskiej, którą zostawiła, poślubiając go i przenosząc swoje rodzinne nowe życie do Prus Wschodnich. A on, książę Wilhelm von Hohenzollern, brat Wilhelma II króla Prus, nikogo nie kochał bardziej od pięknej i mądrej Mariany. Dlatego to zrobił. W lesie, u podnóża góry Kreuzberg², kazał postawić drewniany dwukondygnacyjny dom myśliwski na wzór chat z ukochanej przez Marię Szwajcarii. Przetłamał jednak jego surowy styl tyrolski, dodając od siebie okalający chatę balkon, z którego można patrzeć na wszystkie cztery strony świata. Prezent na cześć Mariany. Na piętrze znajdowała się główna sala z kominkiem oraz dwa pokoje, w których urzędowali jaśniepaństwo. Na dole uczyniono izbę do oprawy i gotowania upolowanej zwierzyny, która windą wjeżdżała na piętro do głównej sali. Domek myśliwski

¹ Zamek Karpniki, istnieje i ma się świetnie, funkcjonuje jako prywatny i luksusowy hotel w Karpnikach;

² obecnie Krzyżna Góra, jeden z Sokolików w Rudawach Janowickich;

Wilhelma i Marianny cieszył się sporą sławą w regionie. Zacni goście, odwiedzający Zamek Fischbach, woleli przesiadywać w ukrytej na wzgórzu leśniczówce księcia, wobec czego przerobiono ją na gospodę, pozostawiając piętro nadal z przeznaczeniem na szlacheckie gabinety.

Ona więc powstała z miłości Wilhelma do księżnej Marii Anny, pochodzącej ze szwajcarskich wyżyn. Małe Alpy w dawnych przedwojennych Prusach Wschodnich. Szanowni Państwo, mam zaszczyt przedstawić: oto dawny dom myśliwski jaśniepaństwa na Zamku Fischbach. Oto Schweizerei.

Szwajcarka.

Rudawy Janowickie, Karpniki u stóp Krzyżnej Góry, obecnie

Schronisko PTTK Szwajcarka wygląda bardzo niepozornie, ale jest cudem w górach Sokolich. To w całości drewniane i najstarsze schronisko w Sudetach. Niezwykle wyjątkowe z uwagi na swój styl, wzorowany co do deseczki z domów tyrolskich. Zbudowana na planie prostokąta pokryta spadzistym dachem grzbietowym konstrukcja. Prosta i funkcjonalna alpejska myśl technologiczna. Najbardziej zaciekał nas dach, na którym w równych odległościach rozłożono sporej wielkości kamienie. To też element architektury. W Szwajcarii ustawianie na dachu kamieni miało dociążyć dom i tym samym ochronić go przed silnym górskim wiatrem i mocnymi ulewami. Słyszałam jeszcze teorię, że głązy w zimie nagrzewają się szybciej niż drewno i roztopiają zalegający na dachu śnieg.

Pamiętam, kiedy pierwszy raz z mężem docieramy tu w lutym 2020 roku. Idziemy z parkingu na Przełęcz Karpnickiej, wspinamy się krętą drogą przez las około dwudziestu minut. Zimno, mgliście, pada. Ona na nas czeka. Gdy wchodzimy do Szwajcarki otula nas drewniane beżowo brązowe ciepło. Pachnie kawą i bigosem. W sali przy długim stole wesoła grupa turystów, schowanych w tym ciepłe, jak my, przed aurą. Jeden z nich gra na gitarze, śpiewa:

Od czasu do czasu jakbym słyszała nadal

Jak przechodzisz przez mój próg, Miły

Magia małych i ciasnych górskich schronisk. A to jest wyjątkowe. W zimie można zagrzać się w sali z zielonym piecem kaflowym. Latem wylegamy z kocami na polanę przed Szwajcarką lub siadamy na ławkach pod starą rozłożystą lipą. O jakiej porze roku czy dnia bym nie była, tu zawsze ładują się moje akumulatory.

Jak pomyślę, ile razy patrzyłam w jej kierunku, nie wiedziałam, że jest tam – pomiędzy dwoma bliźniaczymi trójkątami wzgórz. Te dwa charakterystyczne wzniesienia to Krzyżna Góra i Sokolik, widoczne prawie z każdego punktu w Sudetach. Mówią na to miejsce Cycki Janowickie, Bardotki. Skały i lasy sosnowo–bukowe. Najpiękniej jest tu jesienią, gdy Rudawy Janowickie naprawdę stają się rude od czerwieni i żółci liści skąpanych w późnym jesiennym słońcu.

Na Krzyżnej Górze po dziś dzień stoi prezent księżnej Marii Anny dla męża Wilhelma— krzyż odlany w 1830 roku w hucie w Gliwicach, do którego prowadzi 120 schodów, wykutych w skale, zabezpieczonych zieloną barierką. Bliźniacze wzgórze Sokolik jest równie ciekawe, zwieńczone skalnym tarasem, z którego widok rozciąga się na 360 stopni.

Historia Szwajcarki ma też swoje mroczne sekrety. W latach 50. doszło tam do tajemniczego morderstwa gajowego. Rok 1990 to przerażająca historia zbrodni prawie doskonałej. Ówczesna zarządczyni Schroniska zabiła męża, zwłoki wrzuciła do szamba. Zbrodnia została jednak odkryta, bo w tym czasie pracownica z SANEPIDu zjawiała się na kontrolę tego miejsca. Nawet nie przypuszczała, że będzie to kontrola miejsca zbrodni.

Dawny domek myśliwski księcia Wilhelma to również polska powojenna historia wspinaczy. Sięga jeszcze lat 30. XX wieku i pruskiego towarzystwa wspinaczkowego, zrzeszonego w Alpenverden. Po drugiej wojnie światowej polscy wspinacze odkrywali na nowo skalny świat Sokolików. Szwajcarka była bazą Sudeckiej Sekcji Alpinizmu PTTK, potem Koła Sudeckiego Klubu Wysokogórskiego. Nazwisko Wandy Rutkiewicz pojawia się na liście osób, nocujących na strychu Szwajcarki. Blisko stąd do Wieściszowic i Kolorowych Jeziorek. To okolice słynnej Miedzianki, która zniknęła i znów jest.

Zawsze, kiedy wysiadam z auta na parkingu na Przełęczy Karpnickiej, w sercu gra mi Krajka: Chorałem dzwonnów dzień rozkwita, jeszcze od rosy rzęsy mokre...

Tu jestem szczęśliwa.



„Sokoliki” z oddali- Krzyżna Góra i Sokolik, zwane Cyckami Janowickimi, Góry Sokole



Krzyżna Góra 654 m n.p.m., krzyż księżnej
Marii Anny dla księcia Wilhelma



Sokolik 622 i 642 m n.p.m., na szczycie znajduje się taras
widokowy; wejście po metalowych schodach niektórych
przyprawia o zawroty głowy i ciary



Mała Książniczka: Schronisko PTTK Szwajcarka

Non-Fiction

CO TO ZNACZY BYĆ ODWAŻNĄ?

ALEKSANDRA APOSTEL

Złote zasady kobiety odważnej

Nałożyć na usta krwistoczerwoną szminkę.
Przestać się malować.
Głośno mówić, co myślisz.
Zniknąć z social mediów.
Ogolić głowę na łyso.
Przestać się golić.
Urodzić dziecko.
Zdecydować, że nigdy nie będziesz mamą.
Zakochać się bez pamięci.
Rozwieść się.
Wyjechać samej do wielkiego miasta.
Zaszyć się w domku na odludziu.
Zdobyc ośmiotysięcznik.
Wstać z łóżka i wziąć prysznic.
Uśmiechnąć się do nieznajomego.
Nie uśmiechać się, gdy nie masz na to ochoty.
Przejść wymagający górski szlak.
Przekroczyć próg domu.
Żyć po swojemu.
Żyć.

JOANNA SZĄŁKOWSKA

Odwaga

Odwaga? Co to znaczy być odważną?

To znaczy iść za głosem serca (czy też rozumu), wbrew opinii innych.

To realizowanie swoich marzeń. Tych mniejszych jak wycieczka do innego miasta, zrobienie kursu by podnieść swoje kwalifikacje czy umiejętności, po te większe jak wyprowadzka, kupno mieszkania czy samochodu.

To podążanie w poszukiwaniu swojego „ja”. Nawet jeśli inni uważają, że wydziwiasz, że to niepotrzebne, że to nie ten czas.

To bycie egoistką. Bo musisz myśleć i walczyć o siebie, swoje szczęście — nikt inny nie robi tego tak, ja Ty. I owszem, warto dbać o innych, ale trzeba myśleć o sobie, a to już wymaga odwagi. A bycie egoistką wcale nie jest takie niepoprawne czy nieodpowiednie.

To umiejętność powiedzenia „stop” wtedy, gdy Twoje granice zostają przekroczone. Jakiegolwiek: fizyczne, psychiczne, mentalne, czy jeszcze inne. Jeśli dzieje się coś, lub ktoś robi coś, co sprawia, że odczuwasz dyskomfort: nie bój się powiedzieć „nie”.

Bycie odważną to też umiejętność pokazania swoich emocji, zaakceptowanie ich. Łzy to nie jest oznaka słabości, przyznanie się do tego nie oznacza, że jest się lęklwym czy kimś gorszym.

A ja... czy ja jestem odważna?

Chociaż czasami wydaje mi się, że nie, to jednak tak, jestem.

Nie bałam się zacząć marzyć i podążać za marzeniami.

Nie bałam się powiedzieć na głos, że mam czegoś dość, że chcę żyć po swojemu.

Nie dałam się odciągnąć od życia według moich decyzji, aby „nie popełnić błędów”.

Pozwoliłam samej sobie na popełnianie błędów i wyciąganie z nich wniosków.

Zdecydowałam się zawalczyć o siebie, o swoje samopoczucie, nawet jeśli oznaczało to ciche miesiące z rodzicami, niezrozumienie z ich strony i wypominanie nawet po niemal dziesięciu latach tej decyzji.

Nie boję się swoich uczuć. Zawsze je nazywam i prawie zawsze mówię o nich na głos.

Gdy chcę płakać, to płaczę. Gdy się śmieję, to to robię.

Nawet gdy inni patrzą na mnie bez zrozumienia.

Nie poddałam się, gdy stawiałam pierwsze kroki w dorosłym życiu. Nie pozwalałam sobie wmówić, że pewne decyzje były niepoprawne, błędne i że zraniłam kogoś, kogo nie powinnam.

Wiem, że zrobiłam to wtedy dla samej siebie, pozwoliłam sobie na potknięcia i naukę. Przestałam wtedy się bać i odczuwać potrzebę przeproszania za to, że chcę żyć po swojemu.

Po prostu zaczęłam tak żyć. Nawet jeśli oznaczało to osłabienie innych.

Samej siebie nie osłabiłam.

Każdy dzień, każde potknięcie czy sukces sprawiły, że jestem teraz tutaj, właśnie taka.

A gdy słyszę — po raz kolejny — że przecież nie musiałam się wyprowadzać, że przez to tyle trwało, zanim kupiłam mieszkanie, że nie zrobiłam tak, jak moja starsza siostra...

Uśmiecham się delikatnie i powtarzam : bo nią nie jestem. Jestem sobą i zaakceptujcie to, odwagi!

Bo bycie odważnym to też pozwolenie, aby ta druga osoba żyła zgodnie ze swoimi pragnieniami, a nie z naszymi oczekiwaniami i ułożonym przez nas scenariuszem.

KAMILA KAMIŃSKA

Niech tli się

Co to znaczy być odważną? Właściwie to jak i kiedy rodzi się odwaga? Wraz z człowiekiem, który ile sił w płucach, obwieszcza światu „oto jestem! cholera, zimno, przygaś to światło i dej jeść”? Czy może budujemy ją latami? Czy każda z nas może być odważna?

Mały człowiek poznaje otoczenie każdą komórką z osobna. Poznaje, zapamiętuje, testuje, porównuje.

Analizuje.

I czerpie garściami. Mniej lub bardziej brawurowo stawia pierwsze kroki. Ośmiela się płuć brokułem. Z miłością ciamka tarte jabłuszko. Poznaje inne dzieci, czasem wrzeszczy na ich widok, czasem pięścią zbija kokosy na ich ledwo omszałych głowach. Tych małych owocach kiwi, chyboczących się na jeszcze mniejszych ciałach. Przesuwa i przekracza granice słowne, cielesne. Bariery dźwięku też.

I coraz częściej, im starszy tym ciaśniej, przyodziewa buty z twardej, niewyprawionej skóry. Daje się motać w sztywny materiał dorosłym. W konwenanse, w strach, w „kiedyś to tego nie było”, czy w „co ludzie powiedzą”.

– Mamo, nie chcę całować wujka, on brzydko pachnie.

– Co ty sobie wyobrażasz, proszę iść się grzecznie przywitać.

Za kilka lat dziewczyna spieszy się na hasło „chodź do wuja, wujo pobuja”, gdy stary pryk spróbuje sadzać ją na swoje kolana. Bo przecież wypada się witać, prawda?

– Proszę paaaani, a oni mnie klepią w pupę.

– Och, dziecko. To takie końskie zaloty. Widocznie im się podobasz.

Za kilka lat ta sama dziewczyna zgłaszając przestępstwo usłyszy „A nie krzyczała pani? Nie broniła się?”

To oczywiście przykłady w wersji hard. Są też komunikaty soft.

Nie biegaj, bo się spocisz.

Nie wchodź, bo spadniesz.

Zostaw.

Nie próbuj.

Nie ryzykuj.

Nie uda ci się.

Z własnego poletka dorzucam:

Dziecko odmawia śpiewania kolędy na rytmice twierdząc, że to pieśń religijna, a on nie uczęszcza na religię.

A pani jak to pisała to nie pomyślała „kurde, w sumie to logiczne”? Tylko musiałaby przyznać rację siedmiolatkowi...

Córka farbuję włosy wbrew regulaminowi, wdając się w nikomu niepotrzebne dyskusje, twierdząc, że ważne jest co ma w głowie, a nie na głowie. Proszę o pilne stawienie się dnia Bla bla bla

Serio.

W liceum dostałam pierwszą tróję z polskiego, bo napisałam, że Wokulski jest bohaterem słabym, naiwnym i nie dostrzegłam w nim cech romantycznych. Wcale nie wbrew arkuszwowi odpowiedzi. A w opozycji do nauczycielki.

Nie polubiłyśmy się już do końca.

I tak sobie myślę, że odwagę na różnych płaszczyznach hodujemy w sobie latami. Jeśli ją podlewamy to rośnie. I jako dorośli— a w największym stopniu rodzice i pedagodzy— nie musimy uczyć dzieci odwagi. Czasem wystarczy, że nie będziemy jej w nich gasić.

KAROLINA KULIKOWSKA

Odwaga

Odwaga

to cicho być dobrym

gdy świat krzyczy —

że to niemodne.

Non-Fiction

PODRÓŻ, KTÓRA MNIE ZMIENIŁA

JOANNA MICHTA

Grecja? Nigdy więcej

PODRÓŻ ŻYCIA:

To była podróż życia. Rok 2012, mam 24 lata i z Anią jadę na Bałkany. Stopem. Noclegi załatwiamy na bieżąco, głównie przez Couchsurfing. Dlaczego decyduję się z nią jechać, chociaż wydaje mi się to niebezpieczne? Bo jest mi obojętne, czy przeżyję, czy nie. Na początku podróży zakładamy notes, na pierwszej stronie zapisujemy pytanie "Dlaczego warto żyć?". Mam nikłą nadzieję, że znajdziemy odpowiedź, że ktoś mnie przekona.

Dzisiaj trzymam ten notes w ręce i czytam odpowiedzi napotkanych ludzi, kierowców, couchsurferów.

"Warto żyć, bo warto podróżować. Warto podróżować, bo warto poznawać. Warto poznawać, bo fajnie poznać Anię i Asię." Maciej, 22. Chałupki – Ostrawa, 13.07.2012. Na kolejnych stronach mnożą się odpowiedzi, po polsku, angielsku, chorwacku, serbsku, albańsku, macedońsku, arabsku. Powtarza się miłość, pomaganie, rodzina, zabawa, ludzie, dzieci, spacer, jedzenie, muzyka, słońce, powietrze, opowiadanie, pisanie opowiadań, kreatywność. Dla kogoś życie to walka, dla innych to wielka impreza, dla Jezusa z Hiszpanii życie to wszystko, co mamy. "Nie jestem pewny czy warto, może po prostu nie wiemy... Czy warto żyć? Może nie. Może po prostu nie znamy alternatywy?" – Will z Australii. "A ja wiem? Warto czy nie warto... Warto! Dlaczego warto... Bo jest wesoło, i już!". Przewracam stronę. "Śmierć to tylko kolejna przygoda".

Mniej więcej na środku notatnika znajduję odpowiedź, która ze mną rezonuje i trochę uspokaja. "Niektórzy żyją, żeby założyć rodzinę, mieć dzieci, my żyjemy dla siebie, podróży, spacerów" Resli, 35, Albania i Adem, 30 lat, Turcja. Teraz też już wiem, że tak można.

W następnym semestrze akademickim mamy napisać tekst, tematu nie pamiętam, ale tytuł mojego wypracowania brzmi: Grecja – nigdy więcej ! i opisuje prawdziwe wydarzenia z podróży.

Grecja – nigdy więcej !

— Haraszo, djewoczki. Nasz kolega jedzie do kasyna do Skopje za pół godziny. Możecie się z nim zabrać. Ten tam, w czarnej kurtce. Teraz pojedzie po kumpla, a potem po was wróci. Możecie tu poczekać.

W ten sposób, na obrzeżach Salonik, na stacji benzynowej należącej do Rosjan, znalazłyśmy sposób by jeszcze wieczorem dostać się z powrotem do Skopje. W stolicy Macedonii czekał na nas nasz host — Filip, utalentowany rysownik w naszym wieku, wraz ze swoją francuską dziewczyną Solene. Właściciel stacji poproszony przez nas o pomoc w dostaniu się na autostradę, skąd mogłybyśmy łapać stopa w kierunku granicy, rozpoczął dyskusję ze znajomymi, którzy skupieni wokół lady, patrzyli na nas z niedowierzaniem. Jeden z nich zaoferował nam podwózkę do granicy, w pobliżu której znajdowały się kasyna.

— Głupi ma zawsze szczęście. Z granicy łatwo będzie złapać stopa do Skopje — stwierdziłam, Ania przytaknęła. Wiedzieliśmy już, że Grecy nigdy nie użyliby nazwy „Macedonia” na określenie sąsiedniego państwa. Kolega właściciela stacji jechał więc nie do Skopja — stolicy, ale do granicy z Macedonią, której zapewne nie zamierzał przekroczyć. Było późne popołudnie, więc cieszyliśmy się, że jest taka możliwość. To dawało nadzieję, że chociaż już pewnie po zmierzchu, ale jednak bezpiecznie, dotrzemy do Skopje. Skopje — Skopje, stolicy.

Po czterdziestu minutach zjawił się pięćdziesięcioletni Rosjanin z kolegą z Grecji. Wsiadłyśmy do auta. Zdziwiło nas trochę, że nie wjeżdżamy od razu na autostradę, ale widocznie nasi kierowcy — wybawcy mieli coś jeszcze do załatwienia albo starali się ominąć opłatę za winietę. Rosjanin wypytywał trochę o nas, opowiedział nam o koledze i jego fabryce mebli, pokazał folder firmy, a my odpowiadałyśmy na pytania, przypominając sobie rosyjskie słówka i udawałyśmy zachwyt przeglądając strony ze zdjęciami. Wkrótce jednak Rosjanin odebrał telefon i po krótkiej rozmowie poinformował nas, że ma coś do załatwienia i niestety nie może z nami jechać, po czym wysiadł z samochodu. Straciłyśmy więc łącznika między nami i kierowcą, który mówił tylko po grecku. Jedyne co nam zostało to język migowy. Ten jednak, nie zawsze się sprawdza.

Zamiast powoli opuszczać brzydkie, brudne i duszne Saloniki, wjeżdżaliśmy coraz głębiej w miasto. Grek zatrzymał samochód na małym parkingu. Tym razem przekaz był jasny, ręka Greka wskazywała bar. Nie pozostało nam nic innego, poszłyśmy za naszym nowym znajomym, wciąż pełne nadziei na dotarcie do Skopje. Albo chociaż do granicy. Na zewnątrz siedziała grupa eleganckich Greków obsługiwanych przez dwie wysokie, szczupłe i mocno wymalowane dziewczyny. Widać było, że goście i kelnerki dobrze się znają. Zajęłyśmy miejsca w środku, kierowca zamówił dla nas sok. W szklankach. Nadchodzący zmierzch, atmosfera w barze, sztuczny śmiech, nieprzyjemne, pogardliwe

spojrzenia kelnerek i wciąż niewyjaśniona sytuacja sprawiły, że zaczęłyśmy się bać. Soku nie tknęłyśmy. Ania nie miała wątpliwości – to jest mafia!

Nasza ostrożność nie podobała się kierowcy, poczuł się urażony, że nie skorzystałyśmy z jego gościnności. Oczywiście, niezadowolenia nie wyraził werbalnie, ale odmaloowało się na jego lekko już pomarszczonej, żółtej twarzy. W chwilę później przybrała ona wyraz skupienia, Grek wyglądał na zmartwionego. Kilkoma obcobrzmiałymi słowami i wymachiwaniem rąk starał się nam wyjaśnić sytuację. Bez większego sukcesu. W końcu przypomniał sobie, że jeden z jego kolegów siedzących na zewnątrz, zna angielski. Dzięki niemu dowiedziałyśmy się, że Grek szuka towarzystwa do kasyna, jeśli nie znajdzie, nie pojedzie. Oznaczało to, że zostaniemy na łodzi, czyli w Salonikach. Miałyśmy więc nadzieję, pewnie nawet większą niż on sam, że towarzysz się znajdzie. Z upływem czasu, robiło się coraz ciemniej, nasz niepokój wzrastał, źrenice Ani wciąż się powiększały. Tylko sok pozostawał nietknięty. Żona mówiącego po angielsku kolegi, Rosjanka, najwyraźniej to zauważyła i zwróciła się do nas: Djewoczki, nje bojtjes. Nikt wam nic złego nie robi. Naprawdę, nie macie się czego bać. Ale już nigdy więcej tak nie róbcie! Bo jednego dnia są dobrzy, ale innego mogą nie być.

To mi dało do myślenia. Jednak stokrotnie powtarzane zapewnienia Rosjanki trochę mnie uspokajały. Wszyscy dobrze się bawili, wspólnie pili, grillowali i żywo dyskutowali. Wciąż zjawiały się nowe osoby, ale żadna nie miała ochoty na przygraniczny hazard. A my siedziałyśmy, zastanawiając się, czy szukać hotelu, bo ani na pociąg, ani na autobus do Macedonii o tej porze nie miałyśmy już szans. W końcu Grek zdecydował za nas. Rosjanka wyjaśniła nam, że zabierze on nas do motelu przy autostradzie, tak że rano będziemy mogli jechać do „Skopje”. Wsiadliśmy znowu do auta. Tym razem jechaliśmy w pożądanym kierunku, zostawiając za sobą znienawidzone Saloniki. Było już całkiem ciemno, po drodze mijaliśmy różne budynki, hotele, stacje benzynowe, pola. Droga dłużyła się. Strach znowu powrócił. — Ania, dokąd ten gościu nas wiezie? — Nie wiem — odpowiedziała moja towarzyszka podróży i wtedy zjechaliśmy z głównej drogi w boczną, wiodącą przez pola do małego hotelu. Zatrzymaliśmy się na parkingu, wysiedliśmy z auta i weszliśmy do środka. Portier od razu rozpoznał naszego kierowcę. Chwilę pogadali, po czym Grek wyjaśnił sytuację i zapłacił za nas 20 euro. Zrobiliśmy sobie pamiątkowe zdjęcia, podziękowałyśmy naszemu kierowcy i pożegnaliśmy się. Portier pokazał nam pokój. Wzięłyśmy prysznic, rozpaczaliśmy z powodu braku szczoteczek i pasty do zębów. Zmęczenie i brak innych zajęć sprawiły, że szybko położyłyśmy się spać. — Myślisz, że rano będziemy jeszcze żywe? — spytałam. Ania jednak już spała.

Zaraz po obudzeniu się wyszłyśmy z hotelu. Dostanie się na autostradę wcale nie było proste. Po drodze mijałyśmy jakąś wioskę, i spytałyśmy stojących na ulicy policjantów jak się tam dostać. Trochę po angielsku, trochę rękami objaśnili nam drogę.

Nie byłyśmy jednak pewne, kiedy skręcić w lewo. I to ja podjęłam decyzję, a wszystkie moje decyzje i przeczucia związane z orientacją w terenie są błędne, więc zaraz ruszył za nami policyjny radiowóz. Miła i uśmiechnięta policjantka podrzuciła nas na autostradę. Nie było to najlepsze miejsce do stopowania, ale w końcu zatrzymała się ciężarówka z grecką rejestracją. Kierowca nie mówił w żadnym języku, poza greckim, więc nie mieliśmy jak rozmawiać. Dogadaliśmy się jedynie co do drogi. Specjalnie dla nas zjechał na drogę wiodącą do Macedonii. Byłyśmy mu bardzo wdzięczne za takie poświęcenie. Zatrzymaliśmy się, otworzyłam drzwi i wysiadłyśmy. Kierowca także wysiadł, żeby pomóc nam przy wysiadaniu z jego olbrzymiej ciężarówki, tak pomyślałam, chociaż trochę mnie to zaskoczyło. Nie było to jednak tak zaskakujące jak to, co nastąpiło później. Kierowca rozpiął rozporek i ... pomachał nam na do widzenia. Zniesmaczone zaczęłyśmy maszerować w poszukiwaniu dogodnego miejsca do zatrzymywania samochodów. Staraliśmy się nie tracić nadziei, chociaż auta mijały nas bardzo szybko i bardzo... rzadko. Przy drodze, w zaschniętej kałuży krwi leżał rudy pies. Jego gnijące ciało wydawało okropny odór wymuszający wymioty. Prawie przebiegłyśmy obok psa, po kolejnych dwudziestu minutach marszu trafiłyśmy w końcu na mały parking. Na szczęście nie musiałyśmy długo czekać, wkrótce zatrzymał się kierowca, który dowiózł nas do granicy. Na granicy, za zgodą celnika, zapytałyśmy zatrzymanych przez niego chłopaków, czy zabiorą nas do Skopje. Skopje — Skopje. Od razu się zgodzili. W Macedonii dosłownie wpadłyśmy w ramiona Filipowi i Solene, którzy martwili się o nas, czytając zdawkowe esemesy. Wszystko dobre, co się dobrze kończy, ale do Grecji w najbliższym czasie się nie wybieram.

Nie pamiętam, co czułam po powrocie, chyba ulgę, że jednak żyję, że nie zawiodłam nikogo swoją śmiercią. Byłam oszołomiona przygodą, ilością wydarzeń, ciekawych osób, pięknych i gorszych chwil. Sama nie zapisałam nic w notatniku, moja odpowiedź jeszcze się nie wyklarowała. Wiem jednak, że ta podróż mnie zmieniła, między innymi nauczyła łagodniej oceniać ludzi, którzy „z własnej głupoty” wpadli w tarapaty. Wiem, że można być już dorosłym, a nadal dziecinnie naiwnym. Z tą wiarą ruszyć w nieznaną w wiadomym sobie celu. Można się po drodze zgubić, źle odczytać czyjeś intencje, nie móc znaleźć żadnego wspólnego języka z ludźmi, od których w danym momencie zależy twoje życie, nie wiedzieć co robić, nie zareagować, kiedy trzeba. Że można mieć sporo pieniędzy na podróż, ale niewystarczająco, że można się zagubić w serii wydarzeń i znaleźć w zupełnie nieodpowiednim miejscu. Bezmyślnie, niechcący narazić się na niebezpieczeństwo. I wiem też, że dobrze jest mieć dokąd wrócić.

MICHALINA JARUGA

Ne mutlu Türk'üm diyene

Gwoli wyjaśnienia.

Mogłabyś zacząć podróż na jednym z krańców Azji i, idąc przed siebie, zbierać do plecaka nowe słowa i konstrukcje gramatyczne, niczym pamiątki z podróży – by na samym końcu tej drogi, czy to w Jakucji czy w Turcji, zorientować się, że nazbierałaś sobie cały język.

Jakuci, Ujgurzy, Uzbegy, Kirgizi, Kazachowie, Turkmeni, Azerowie, Turcy. I wszystkie pomniejsze narody turkijskie pomiędzy nimi. Tatarzy, Baszkirzy, Nogajowie. Pas turkijski. Na całej rozciągłości Azji można znaleźć kogoś, z kim da się dogadać.

Mogłabyś też u Ujгурów nauczyć się grać na dutarze, u Kazachów na dombrze, u Turków na bağlamie – po czym zorientować się, że tak naprawdę każdy z tych instrumentów to po prostu ten słynny kopuz, którego obok łuku powinien mieć na plecach każdy szanujący się turkijski wojownik.

Ne mutlu Türk'üm diyene

Jak szczęśliwi są ci, którzy mogą powiedzieć o sobie „jestem Turkiem”

– Mustafa Kemal Atatürk, rok 1933 (10 lat po utworzeniu Republiki Tureckiej).

Na samym początku poznałaś mnie pod imieniem Tursun – *niech przeżyje*. Byłem synem właściciela malutkiej ujgurskiej restauracji w Pekinie, między uniwersytetami Minzu Daxue i Beiwai Daxue. Byłaś wtedy jak dziecko, oczarowana śmiesznymi drobnostkami jak to, że chiński znak na szaszłyk to 串. Czerwone taśmy led wisiły niedbale pozwijane w taki znak obok każdej restauracji i każdego stoiska muzulmanów sprzedających pieczone mięso. Gdy parę miesięcy później rząd pekiński rozwiesił po całym mieście propagandowe plakaty ostrzegające przed ulicznymi szaszłykami ze szczurów i bezpańskich kotów, wszyscy zrozumieli podtekst: *na pewno nie chodzi o stoiska Chińczyków Han*. Ty też na początku uwierzyłaś tym plakatom. Nic jeszcze wtedy o nas nie wiedziałaś. Najlepsze na co było cię wtedy stać, to posiadówki z innymi zagranicznymi studentami i ćwiczenie chińskiego, czytając na głos znalezione w chińskim internecie

krótkie opisy wszystkich pięćdziesięciu pięciu oficjalnie uznawanych mniejszości narodowych ChRL. „Ujgurscy mężowie praktycznie nie rozmawiają ze swoimi żonami”. Tyle więc o nas zapamiętałaś.

Przechodziłaś obok naszej restauracji co parę dni, kierując się w stronę miejsca, które nazywaliście Słodkimi Uliczkami — kolorowe jedzenie, kolorowe gadżety, cała ta nowość i świeżość i błyszczący chiński kapitalizm, ten krzyk „TO NA MNIE PATRZ!”, które zmieniły cię na zawsze, sprawiły, że stałaś się niezaspokojona, niezaciekawiona błahostkami, niewzruszona przeciętnością. Szaszłyki były dla ciebie *przeciętnością*, nawet jeśli sam znak 串 na początku robił furorę. Ale szybko nas zauważyłaś. Wczesnym popołudniem, kiedy nie było jeszcze tylu klientów, a ty po raz pierwszy urwałaś się z lekcji z panią Zhao, ja siedziałem z dutarem w rękach na brudnych stopniach restauracji mojego ojca i podśpiewywałem ujgurskie piosenki. Muzyka z głośników leciała na tyle głośno, że nikt nie wątpił, że gram dobrze.

Twoje własne palce poruszały się wtedy jeszcze na modłę wiolonczelową — każdy palec zostawał na swoim miejscu dopóki nie był potrzebny gdzie indziej, nie tak jak u nas: one—touch, jak mały na gryfie, to wskazujący w powietrzu. Ale ty wtedy o tym nie wiedziałaś, po prostu stałaś i na mnie patrzyłaś, a ja nie próbowałem zagadywać. „No tak, ujgurscy mężczyźni nie rozmawiają z kobietami” — na pewno tak pomyślałaś. Pomyślałaś tak, nie?

Chciałaś te moje palce. Twoja wiolonczela była już melodią przeszłości. Ale ty wtedy uczyłaś swoje ręce, jak poruszać się po guzhengu, zaplatując się w jego długie, mocno napięte struny, przywiązana do idei, że skoro jesteś w Chinach, to musisz robić chińskie rzeczy, a nie zbierać XP na misjach pobocznych.

W końcu zaczęłaś się zmuszać do tych szaszłyków — tylko po to, żeby podsłuchiwać, jak krzyczymy do siebie na kuchni po ujgursku. Ledwo powstrzymywałaś uśmiech na dźwięk mojego ciężkiego akcentu, kiedy mówiłem po chińsku. Raz dla żartu próbowałaś mnie naśladować, ale udałem, że nie rozumiem. Ciężko było mi zdecydować, czy czuję się urażony, czy zachwycony.

A potem zaczęłaś widywać mnie pod akademikiem dla zagranicznych studentów partyjnego uniwersytetu Zhongqingzhi, w którym uczyliśmy się razem z tobą. Na jedno imię miałem Alibek i chodziłem w klapkach za dwa tysiące yuanów — połowa tego co twój guzheng. Na drugie miałam Aizhan i dwa tysiące yuanów to ja zjadałam na śniadanie. Byliśmy rodzeństwem z Ałmatów.

Jedno z nas grywało na dombrze wieczorami, z resztą chłopaków, z których każdy jeden był mistrzem świata w sambo, judo czy inne zapasy; kipieliśmy testosteronem tak, jak wy w tej Europie nawet nie potraficie. Pod ławkami, na których siadywaliśmy, tworzyły się całe dywany popiołu i skorupki nasion słonecznika. Terytorializm kazachski.

Drugie z nas postanowiło, że będzie twoją przyjaciółką i zrobi z ciebie prawdziwą kobietę. Zabierałam cię do Rosjan w dzielnicy Chaoyang, na wosk, na lasery, na paznokcie, do klubów – bo byłam jedyną kazachską dziewczyną w akademiku i chciałam mieć koleżankę. Oboje z nas, i ja i mój brat, uparło się, że nie będziemy gadać z Rosjanami po rosyjsku. I nie tylko nasza dwójka – gromadziliśmy wokół siebie wielu takich, i udawaliśmy przed Rosjanami, że rozumiemy tylko kazachski i chiński. Och, uwielbiałaś to! Uwielbiałaś stawać po naszej stronie, a wzywana przez Rosjan do słowiańskiej solidarności, odpowiadałaś im po chińsku. Szkoda, że nie nauczyłaś się w końcu kazachskiego, ale trzymam cię za słowo, że jeszcze to zrobisz, *zhany*m, kochana.

O stara, a pamiętasz, jak wyniknęła ta drama z Koreańczykiem? Koleś nazwał jednego z naszych pedałem i dostał po mordzie. „Może i pedał, ale swój”, powiedziałem. A ty tak głupio ukrywałaś zdziwienie, że Kazach może się zadawać z pedałami. Oczywiście, że może. O ile są swoi, znaczy się. Bo jak nie są swoi, no to niestety, to już jest wtedy haram i łatwo za to zarobić w mordę. Nie, nie interesuje mnie, co o tym myślisz. Ważniejsze pytanie to: czy jesteś swoja, czy jednak jeszcze nie?

A potem wróciłaś do Polski i przez długi czas nie mogłaś nas odnaleźć, i próbowałaś sama stać się nami. To były pierwsze próby, na przykład śpiewanie ujgurskich piosenek na konkursie o nazwie Dzień Chiński. Dość żałosne, choć i dość słodkie próby bycia sinologiem buntownikiem, sinologiem od mużulmanów. Potem uparłaś się, że napiszesz pracę magisterską o... O czym to miało być? Architektura sakralna dziesięciu chińskich mniejszości mużulmańskich? I mówiłaś, że chcesz jechać do Kaszgaru uczyć się o ujgurskich muqamach. Ale potem przyszedł rok 2016, zmiana rządu w Xinjiangu, obozy koncentracyjne, sterylizacja ujgurskich kobiet, GPS w każdym ujgurskim samochodzie, wymóg grawerowania numeru tożsamości na nożach kuchennych... A ty miałaś z tego powodu załamanie nerwowe i w końcu nie napisałaś swojej pracy magisterskiej – bo jesteś zwykłym jebanym tchórzem, kiz. „Boję się, że jak coś takiego napiszę, to mnie nie wpuszczą do Chin, a nie umiem poza chińskim nic, z czego mogłabym się utrzymać”. Ta, nie pierdol już, *saçmalama*, miałaś ponoć zarabiać z pisania książek, a ten chiński miał być tylko tak o, na wszelki wypadek. *Tchórz*.

I powiedziałaś, że kupisz ten dutar, że nauczysz się ujgurskiego, że nie zapomnisz. „Jestem tylko biednym studentem, a dutar w Europie kosztuje aż dwa tysiące, poza tym od kogo ja się nauczę na nim grać i mówić w tym języku?” Oj oj, *zavallı bebeğim*, jakbyś naprawdę chciała, to byś to ogarnęła.

No tak, ale wtedy poznałaś mnie i zapomniałaś o bożym świecie. No przestań się wkurwiać, przecież wiem, że tak było. Maczo sraczo, sama prawda. Lecisz na takich jak ja. Zobaczyłaś ten mój instrument i zwariowałaś.

A moje imię brzmiało Volkan — *wulkan*. Volkan Vurgun, *uderzenie wulkanu*. Nie udawaj, że nie wiesz, o co chodzi.

No już, dobra, tak, nie jestem sam na świecie, tamam, poznałaś mnie i *pozostałą dwójkę* — Seyran i Cema. (Kogo oni obchodzą).

„Przecież nie jesteście tak naprawdę Turkami, tylko Zaza”. Blablabla. *Kapa çeneni, tamam mı?* Zamknij ryj i nigdy więcej tak do mnie nie mów. Jesteśmy Alewitami, czyli nie za bardzo muzułmanami; jesteśmy Zaza, czyli prawie Kurdami, tak. I tak, od XIV w. mamy przez obie te tożsamości na pieńku z rządzącymi i resztą społeczeństwa. Ale jeszcze raz powiedz, że nie jesteśmy Turkami, to pogadamy inaczej. *Ne mutlu Türk'üm diyene*, jak powiedział Ojciec Narodu. *Szczęśliwy jest ten, który może powiedzieć o sobie „jestem Turkiem”*. Każdy jest Turkiem. Kurd i Zaza są Turkami. I Grek może być Turkiem, jeśli tylko chce — tak jak Ormianin i Turkmen.

Chyba, że sobie nie zasłużył, nie, *kız?*

Ha.

Wiesz, co mnie najbardziej wkurwia? To, że tak chujowo mówisz po tym turecku, że nie da się z tobą pogadać na poważnie. Jakby cię to naprawdę obchodziło, to postawiłabyś lachę na tym chińskim i skupiła się na tym, co naprawdę ważne. Co tam mówisz? Że to ja mieszkam w Polsce, więc to ja mam umieć mówić po polsku? Słuchaj no Młoda, widziałaś to porsche? Takie teksty to nie do mnie. Ja sobie jakoś radzę, mam swoje polskie biznesy, to ciebie nie było stać na dutar. „Król kebabów” — ha. Myślisz, że mnie to obraża? A ty czego jesteś królem? Niczego. No więc właśnie.

Mam cię nauczyć grać na bağlamie? Bo co, bo dutar kosztuje dwa koła, a bağlama pół? A prześpisz się ze mną? Jak to nie... No to lepiej się postaraj, bo nie mam czasu na twój wstyd i niezdecydowanie. Grasz na poważnie albo spierdalasz.

A potem znów przepadłaś, na lata. Zniknęłaś ze stolicy i zapomnieliśmy o tobie. Czasem któregoś z nas poznawałaś na chwilę, a potem uciekałaś z powrotem w swój smutek, milczenie i bezruch. Özgür — bağlamacı, którego ojciec chciał nazwać Ali, bo tak kochał Alewitów, ale Alewitą można się tylko urodzić, więc dał mu na imię *wolność*. Ali, wytwórca bağlam, który osobiście znał każdego z największych współczesnych muzyków alewickich. Ten przystojny Nogaj na imprezie u Mongołów, którego ani trochę nie interesował twój instrument, bo bardziej w jego typie była tleniona Białorusinka. Gulnur, piękna Kazaszka, która chyba z tobą flirtowała, ale byłaś za bardzo skupiona na swojej zgubionej duszy i tego nie zauważyłaś.

Aż w końcu znalazłaś mnie w internecie i powiedziałaś „Cooooo, nauczyciel ujgurskiego? No dobrze, może już nadszedł czas”. I tak poznałaś mnie, İlham. Historia

zatoczyła koło. A teraz i tak gadamy głównie po chińsku i turecku, bo sfrustrowałaś się, że w takim tempie nigdy nie opowiem ci o sobie i o tym, jak przeszedłem drogę od Urumczy, przez Pekin, przez Stambuł, do Hamburga. Nawet nie próbuję cię pytać, za co dokładnie mi płacisz — za naukę chińskiego? — tak, jak ty nie naciskasz na precyzyjność moich opowieści, bo dobrze wiesz, jak wiele jest rzeczy, których nie mogę powiedzieć na głos — nawet te osiem tysięcy kilometrów od Domu.

Twoje palce poruszają się teraz tak, jak przystało na prawdziwego bağlamacı. W rytmie dziesięć ósmych, usul trzy plus trzy plus cztery. Żaden nie zostaje w miejscu dłużej niż jest to potrzebne. Próbuje dalej, kız. *Ne mutlu Türk'üm diyene.*

MONIKA SOLANIUK

Podróż, które mnie zmieniła

W tym roku minie dokładnie 10 lat od podjęcia decyzji, która zmieniła moje życie. Dopiero po takim czasie dotarło do mnie, że postąpiłam według islandzkiego powiedzenia "þetta reddast". Nie da się tego dosłownie przetłumaczyć na język polski, ale oznacza coś w stylu wszystko jakoś się ułoży nawet jak sytuacja wygląda beznadziejnie. Widocznie tak miało być. Wydaje mi się że są tacy ludzie, którzy rodzą się nie w tym kraju co trzeba. Niby wszystko jest w porządku, nikt im nie karze wyjeżdżać, nie muszą przed niczym uciekać, ale w głębi duszy czują się jakby nie przynależeli, jakby ich gdzieś gnało.

Mnie zawsze ciągnęło na północ, odwiedziłam prawie wszystkie kraje skandynawskie przed 30-tką (zostały mi jeszcze Wyspy Owcze) a Islandia zawsze wydawała mi się tak odległa i niedostępna. Pamiętam jak wielokrotnie powtarzałam sobie, że to jest tak daleko, że pewnie nigdy tam nie dotrę. Pojechałam tam najpierw dwa razy na krótko, a za trzecim razem mając 35 lat kupiłam bilet w jedną stronę.

Fascynacja północą zaczęła się podświadomie kiedy będąc dzieckiem w lokalnej bibliotece odkryłam całą serię o Muminkach. Pochłonęła mnie ta tajemniczość i miałam crusha na Włóczykija (pewnie nie ja jedna). Teraz już wiem, że skoro te opowiadania były napisane w Finlandii to musiała tam być taka Buka i inne niepokojące stwory.

W Polsce przez 10 lat pracowałam jako nauczycielka języka angielskiego. Tyrałam na dwóch, trzech etatach bo wszyscy wiemy, jak wyglądają nauczycielskie pensje. W pewnym momencie zdałam sobie sprawę, że jedyna rzecz jaka mnie jeszcze cieszy w tej pracy to wakacje a to chyba jednak za mało, żeby w tym zawodzie wytrwać do emerytury. A propos emerytury to ZUS czasami mi przysyła prognozę, czyli jakieś 250 zł miesięcznie. No cóż, ZUS to wie jak zachęcić. Pamiętam, że czułam się tak jakbym doszła do ściany i to już miał być koniec. Mogłam albo zostać tu gdzie jestem ze stuprocentową pewnością, że w takim wypadku moje życie za 10, 20 lat będzie wyglądać dokładnie tak samo albo dokonać diametralnej zmiany gdzie odpowiedzią będzie nie wiem czy robię dobrze, ale przynajmniej coś robię i czułam, że jak nic nie zrobię to będę tego żałować do końca życia. To była pierwsza w moim życiu decyzja podjęta czuciem a nie rozumem. Nie wiem co by się ze mną stało gdybym została, CZUJĘ, że nie byłoby wesoło.

Nie jestem jednak typem osoby, która wylądować na lotnisku myśląc, że oferty pracy i pieniądze spadną z nieba. Lubię mieć rozpisany plan A i B bo życie płata nam figle.

Na Islandię wyjechałam w ramach wolontariatu. Miałam zapewnione wyżywienie i zakwaterowanie, ale wszelkie inne wydatki musiałam pokrywać z własnej kieszeni, a że oczywiście miałam oszczędności, więc wiodłam całkiem wygodne życie przez około rok. Nie znałam tam nikogo. Znalazłam się w całkiem nowym środowisku i musiałam mieszkać i współpracować z całkiem nowymi ludźmi z różnych krajów. Wyszłam całkowicie ze swojej strefy komfortu. Chciałam się zająć czymś kompletnie innym, bo miałam dosyć pracy w szkole. W tej organizacji pomagałam w biurze. Zajmowałam się przychodzącymi aplikacjami i przydzielaniem uczestników do odpowiednich workcampów. Przy okazji miałam wiele okazji do zwiedzania Islandii za free.

Potrzebowałam całkowitej zmiany i odcięcia grubą kreską, żeby zastanowić się co dalej a melancholijna i pochmurna Islandia idealnie się do tego nadaje. Nie wyjechałam, żeby zbić kokosy i wrócić do kraju, bo w głębi duszy od początku wiedziałam, że nie wrócę. W związku z tym po roku czasu zaczęłam szukać pracy i mieszkania. Nawet nie brałam pod uwagę opcji, że to się nie uda.

Moim pierwszym płatnym zajęciem, była praca na recepcji w hostelu. Kto kiedykolwiek pracował w hostelu ten wie. Totalny chaos, overbookingi, szemrane typy, picie kawy z prądem i różne inne atrakcje. Mnóstwo wspomnień a zawarte tam znajomości i przyjaźnie trwają do dzisiaj.

Taki wyjazd to przede wszystkim podróż w głąb siebie i warto się na to przygotować bo będziemy musieli zmierzyć się ze swoimi słabościami i odkryć w sobie cechy, o których nawet nie mieliśmy pojęcia, że istnieją. To jak nieustające testowanie siebie. Nie wiem czy jestem lepszą osobą, ale na pewno inną. Islandia sama w sobie jest niesamowitym sprawdzianem z życia. Bardzo wiele zależy od natury i pogody i chcąc nie chcąc to ona tu dyktuje warunki. Islandzkie zimy dają w kość i są takie momenty, kiedy w ciemnościach za towarzystwo mamy tylko siebie i swoje myśli, którymi musimy się zaopiekować. Pamiętajmy jednak, że po najgorszej zimie, wychodzi słońce. Kiedy jadę sobie rowerem, w letni, jasny dzień i patrzę na ocean i szczyty górskie ukryte za cienką firanką z chmur, to wiem, że jestem w domu.

SABINA KASOŃ

Każda podróż mnie zmienia

„Niebezpiecznie wychodzić za własny próg, mój Frodo — powiadał nieraz. — Trafisz na gościniec i jeśli nie powstrzymasz swoich nóg, ani się spostrzeżesz, kiedy cię poniosą.”

J.R.R. Tolkien, „Władca Pierścieni”

Szukam tej jednej podróży, która mnie zmieniła. Szukam i szukam, i nie mogę jej znaleźć. Siedzę i przeglądam w głowie wspomnienia, jak slajdy — z różnych podróży, które odbyłam w moim życiu. I myślę, która z nich mnie zmieniła?

Czy to była pierwsza podróż na obóz harcerski? Pierwsze, nieporadne jeszcze próby samodzielności, bez mamy, za to z druhami i druhnami? Nocne alarmy, stanie na warcie, obieranie ziemniaków dla całego obozu i w końcu, upragniona przysięga i harcerski krzyż przyznany w środku nocy przy ognisku nad Pilicą?

A może to była pierwsza podróż zagraniczna, zupełnie sama, autokarem do Londynu, do nielegalnej wtedy pracy w charakterze au pair? Ekscytacja i lęk zarazem? Tęsknota za polskim chlebem. A jednocześnie podekscytowanie nowym dla mnie i wspaniałym światem?

A może to ta podróż powrotna do domu, z krótkich wakacji, kiedy dostałam telefon od sąsiadki, że zmarła moja mama. Nie pamiętam samej podróży, chyba się zgubiłszy gdzieś po drodze z Roztocza do Bielska. Wiem, że całą drogę przepełkałam. I wysiadłam z samochodu na miejscu już jako sierota. Dorosła, ale jednak sierota.

Myślę sobie, że podróżą, która mnie zmieniła, mogła być też nasza pierwsza rodzinna samochodowa wyprawa do Chorwacji, z noclegiem po drodze, na Słowacji, kiedy nagle jadąc już nocą nasza nawigacja zmieniła tryb na sportowy i zaczęła podawać komunikaty typu „ostry prawy 110 stopni”. A my nie widzieliśmy nic, wiedzieliśmy tylko, że tuż za drogą jest przepaść. I kiedy dojechalismy w końcu do Chorwacji i obudziliśmy się pierwszego dnia i niebo było lazurowe i poczułam, że tu mi dobrze. Że tu chcę wracać.

A może to zupełnie inna podróż mnie odmieniła. Podróż do wnętrza siebie, do spotkania z małą Sabinką mieszkającą wciąż gdzieś tam, w zakamarkach mojej psychiki. Która potrzebowała dostrzeżenia, troski i zadbania o nią. Kiedy zrozumiałam, że potrzeby tej małej Sabinki, to potrzeby dorosłej Sabiny?

Mogła to też być podróż na weekendy jogowe — gdzie za każdym razem odkrywam jakąś nową część siebie. Czasem mniej mistycznie, czasem bardziej.

A może po prostu tak jest, że każda z nich zmienia i zmienia mnie po trochu. Uczy nowego. Zmienia punkt widzenia, odświeża, co było zakryte. I daje nowe, wspaniałe doświadczenia i wspomnienia.

Non-Fiction

CO OZNACZA DLA CIEBIE
“BYCIE PIĘKNYM CZŁOWIEKIEM”?

BEATA DROZDOWICZ

Odwaga bycia piękną



Dokładnie tak wyglądała najpiękniejsza dziewczyna jaką widziałam :).

Miałam 6 lat a pani w bibliotece wyświetliła nam „Królową Śnieżkę”. Kiedy Alex zapodała temat na lipiec, włączył się mi mój pierwszy rysunek jaki odmalowałam. A w domu byłam Kopciuszkiem—ubrania po kuzynkach w wypłowiałych burościach, nowe rzeczy, gdy coś rzucili do sklepów. Pызata dziewczynka, żywcem z popularnych pocztówek, które w latach 70 i 80 wyznaczały swoisty kanon. Kolory, które zapamiętałam to, tylko te z czasów Lambady i tureckich sweterków. W domu z resztą zajmowanie się sobą uważane było za egoistyczne i bee, bo „siedź w kącie a znajdą cię” albo „każda potwora znajdzie swojego amatora”. W liceum wszyscy mieliśmy podobnie i nikt nie dzielił ze względu na status. Z przyjemnością patrzyłam na modelki z tamtych lat: Lindę Evangelistę, Naomi Campbell i Cindy Crawford.

Obecnie walczę o bycie sobą jak Merida Waleczna. Po pierwsze zmieniałam kolor włosów, mimo tego, że nie wszyscy to zaakceptowali. Odkrywam sobie i staram słuchać intuicji. Bawię się stylem i kupuję ubrania z drugiej ręki. Rano uśmiecham się do siebie, wyrabiając poczucie miłości własnej. To daje taką iskierkę, która rozpromienia od wewnątrz. Odrzucam krytykę młodszej siostry parającej się modą, że nie idę z duchem czasu.

MAGDALENA SALA

Bycie pięknym człowiekiem

Pomagam biednym. Czuję się ważny. Mam dużo lajków, followersów. Dzięki mojej pomocy mają jedzenie, ubrania, mogą godnie żyć.

Jestem biedna. Nie umiem sobie z tym poradzić. Te dobre prace są tylko dla takich lepszych ludzi. Ja się tam nie nadaję. — Chodź Azorku. Pani da Ci jedzonko, położysz się obok piecyka i zadzwonimy do babci, zapytamy jak się miewa.

To moja córka Asia. Asia tak ślicznie się uśmiecha na mój widok. Zobacz jaka urocza. Niestety nie mówi od urodzenia. Nie chodzi. Ma porażenie mózgowe i wiele innych dysfunkcji. Jest taka kochana. Teraz idę pod sejm protestować. Ten jebany rząd chce nam obniżyć zasiłek. Skurwysyny! Jak żyć?

O kurczę! Już dwudziesta. Muszę wracać do domu. Kasia i Basia czekają pewnie na kolację, a może też na mnie. Co ze mnie za matka! Nie mam czasu dla swoich córek, bo tylko praca i praca. Szczególnie odkąd odszedł Tomek, wszystko na mnie spadło. Pracuję po dwanaście godzin dziennie, żeby dziewczynki miały ubrania do szkoły, żeby nikt nie powiedział, że są gorsze. Kasia tak wspaniale śpiewa, ma prawdziwy talent. Lekcje śpiewu są drogie.. Basia natomiast uwielbia matematykę. Całe szczęście kółko matematyczne jest za darmo.

Jestem Basia. Moja mama ciągle pracuje. Czuję się trochę samotna. W wolnym czasie uczę się matematyki, żeby potem pracować w banku, liczyć duże pieniądze i dużo zarabiać. Kupię mamie dom i będę jej pomagać, żeby nie musiała tyle pracować.

Mam na imię Kasia. Uwielbiam śpiewać. Niestety mogę chodzić tylko na jedną lekcję w tygodniu, bo matki nie stać na więcej. Jest jakaś nieudolna. Pewnie dlatego tata ją zostawił. On był taki kochany. Kocham go całym sercem. Mam nadzieję, że kiedyś do nas wróci. Brakuje mi go..

Tomasz. Gdy byłem w małżeństwie z Karoliną poznałem Jolę. To było silniejsze ode mnie. Nie umiałem przestać o niej myśleć. Układa nam się wspaniale. Była żona załatwiła mi zakaz zbliżania się do córek. Nie miałem szans w sądzie. Ona ma znajomości i fałszywych świadków. Kocham moje córki ponad wszystko. Może kiedyś w końcu udowodnię swoją niewinność i będę mógł być częścią ich życia, a nie pustą pustką.

Nienawidzę tego pokoju. Nienawidzę jak jest tak gorąco. Nienawidzę tej baby co przynosi mi śniadanie! Uśmiechnięta taka. Nienawidzę rządu i tej sąsiadki z łóżka obok. Zagaduje tak milutko. Oj, oj, nie zesraj się stara raszplo. Kiedyś moje życie było inne. Miałam córkę i syna. Córka wyleciała do Stanów, ma tam chyba wspaniałe życie, a może nie żyje już? Nie wiem nawet. Syn był ślicznym chłopcem. Niestety zakochał się nie-szczęśliwie. Zaczął dużo pić. Nikt nie umiał tego zatrzymać, a może to on nie chciał. Widywałam go czasem na ławce w parku, czasem wpadał z jakąś awanturą do domu. Zmarł na tej swojej ławce. Zamarł po pijaku pewnej zimowej nocy. Teraz ławka jest pusta. Ja i moje życie też...

Gdzie jest to piękno? Czy ono jest w ludziach? Czy w oczach obserwatora? Czy czasem jest, a czasem go nie ma? Prawdopodobnie nie ma nikogo jednoznacznie pięknego, czy jednoznacznie brzydkiego. Wierzę, że każdy ma w sobie choćby pierwiastek piękna, czy miłości. Łatwiej jest podziwiać ludzi, w obecności których czujemy się wspaniale, kiedy widzimy ich szlachetne czyny. W niektórych osobach trudniej dostrzec mi je dostrzec, ale może innym bardzo łatwo.

Chciałabym być pięknym człowiekiem. Może dla niektórych jestem, a dla niektórych nie. Może czasem jestem, a czasem nie? To czy to znaczy, że jestem piękna, czy nie? Już nie wiem...

Może spróbuję być prawdziwa ze swoimi zaletami i słabościami, radościami, smuteczkami... Może kiedyś pomyślę o sobie. Tak! Jestem piękna! A może ktoś swoim zmysłem obserwatora dostrzeże ten mój pierwiastek ? A może to, że widzimy piękno w ludziach też czyni nas pięknymi. I czy wypada nam o sobie tak myśleć?

Non-Fiction

HISTORIA JEDNEJ PRZYJAŹNI

AGNIESZKA ŁADOCHA

Powiedziałam „TAK”... przyjaźni

Dwie zupełnie różne kobiety uśmiechają się do mnie z wywołanego w pobliskiej drogerii zdjęcia. Za nimi zieleni się zwarta grupa drzew. Gdybym nie wiedziała, gdzie zrobiono zdjęcie, to mogłabym przypuszczać, że znalazły się w lesie. Poza wszechobecną soczystą zielenią niewiele można dostrzec. Całą uwagę skupiają na sobie dwie radosne kobiety. Tej może dwa centymetry niższej jasne włosy wpadają do lewego oka. Ta wyższa ma sięgający biustu ciemny, niemal czarny warkocz zakończony różowymi pasmami. Okulary zsunęły się im na koniec nosów, podobnie ale chyba na tym kończą się ich cechy wspólne. Przynajmniej jeśli chodzi o wygląd zewnętrzny.

Uśmiechają się do aparatu, jakby wyjawiały sobie właśnie największe tajemnice albo po prostu spędziły miły dzień w swoim towarzystwie. Wyglądają na rozluźnione i zadowolone. Żaden wykrzywiony mięsień na twarzy nie wskazuje na strach albo niepewność, którą dzień przed zrobieniem tego zdjęcia odczuwała jedna z nich. Przyciśnięte sylwetki kobiet nie zdradzają, że tak naprawdę to pierwszy dzień ich znajomości. Nawet one jeszcze nie wiedzą, ile wspólnie godzin spędziły na czytaniu książek z latarką pod kołdrą. Oczywiście nie w tym samym łóżku, a tym bardziej nie tej samej książki, bo dzieliły je setki kilometrów, ale chodzi o dzielenie wspólnych zainteresowań. O przeżywanie podobnych doświadczeń. To jak z szumem fal. Jeśli zamkniesz oczy, to po samym dźwięku nie podasz dokładnej lokalizacji, ale będziesz mieć pewność, że stoisz na plaży. Choć może się myłę i Morze Bałtyckie szumi inaczej niż Morze Śródziemne.

One jeszcze nie wiedzą, że z wypiekami na twarzy czytały podobne książki. Nie zdają sobie sprawy, że żałują niepodjęcia tych samych decyzji. One jeszcze nie miały szansy się poznać. Geografia spletała im figła i nie dane im było wychowywać się razem.

A może to będzie stanowiło o sile ich relacji. Bo może wspólna podstawówka albo osiedle, na którym się wychowuje nie są najlepszymi fundamentami. Może ten sam rocznik nie gwarantuje lojalności i wspólnych zainteresowań. Może to lepiej, że nie wpadły na siebie na szkolnym korytarzu albo na letnich koloniach. Może lepiej, że przeżyły fragment życia osobno, że mogły się kształtować, nie wywierając na siebie wpływu.

Bo kto powiedział, że najlepsze przyjaźnie to te zawierane w dzieciństwie. Kto powiedział, że tylko takie się liczą. Kto twierdzi, że tylko takie są trwałe.

Przecież z bagażem doświadczeń, z lepszą znajomością siebie, osadzone w swoich życiach, znające swoje potrzeby i słabości — to obraz kogoś zdolnego stworzyć zdrową, stabilną relację. Dziecięce przyjaźnie się rozpadają. Niegdyś najbliżsi odchodzą w stronę zachodzącego słońca, zapominając się pożegnać. Widzę ich ślady w mokrym piasku i próbuję wołać, ale albo ja za cicho krzyczę, albo oni postanowili nie odpowiadać na moje wezwania. Bo ludzkie drogi się rozchodzą. Ludzie wyrastają z siebie. Czasem, kiedy kończy się szkoła, okazuje się, że przyjaciół łączyły jedynie cztery przystanki na trasie i niechęć do nauczyciela matematyki. Owszem, zdarzają się wyjątki, nawet często będące regułą. Ale brak długiej, wspólnej przeszłości nie wyklucza bliskości w przyszłości. Początki na pewno są trudniejsze, bo życie uczy nas wkładania zbroi. Niełatwo jest się otworzyć.

I chociaż cholernie się bałam, to życie sprawiło mi figla. Jedna decyzja odmieniła mój świat. Jedno „tak” zmieniło się w godziny rozmów, śmiechów i wzruszeń. Spontaniczne spotkanie kontynuujemy już dwa lata i obie mamy ochotę na kolejne. I choć wciąż dzielą nas setki kilometrów, bo zbudowałyśmy swoje życia w innych miejscach, to znajdujemy w sobie energię, żeby skracać dystans. Żeby wychodzić sobie naprzeciw każdego dnia.

Po tym poznaje się przyjaźń. Nie po liczbie zdradzonych tajemnic i spędzonych wspólnie godzin. Przyjaźni nie mierzy się w miesiącach ani w latach. Im dłużej oglądam świat, tym bardziej wierzę w przyjaźń od pierwszego wejrzenia, spadającą na ludzi jak grom z jasnego nieba. Zawijającą się z pozoru nieistotnymi słowami. Chowającą się wśród wspólnych ulubieńców.

MAJA ZDUŃ

W drodze

Poznaliśmy się, piorąc skarpetki, w połowie drogi z Oviedo do Santiago de Compostela.

Dzień wcześniej pomyślałam, że moją ulubioną rzeczą na Camino jest chyba robienie ręcznego prania w zimnej wodzie (ciepła woda tam to luksus) i patrzenie na trzepoczące na suchym wietrze ciuchy. A potem zbieranie ich wieczorem, kiedy powietrze nie jest już takie duszne i ciężkie, a ubrania wciąż pachną jeszcze najtańszym mydłem z supermarketu, który akurat był otwarty podczas sjesty, i ciepłem słońca.

Zwyczajne pytanie o miskę, w której mógłby zamoczyć bieliznę, przerodziło się w niezobowiązującą pogawędkę o pijanych muzykach grających do szóstej rano podczas święta miasta z wczorajszego noclegu (pielgrzymi wstawali, kiedy muzycy zaczęli koncert!), fizyce, teatrze i strajkach pracowników hiszpańskich kolei. Wieczorem pożyczyłam od niego scyzoryk, żeby otworzyć kupioną tortillę, potem wymieniliśmy się uśmiechami, a następnego dnia zaproponował mi wyjście do baru z nim i dwójką innych pielgrzymów.

—Jutro chyba ostatni raz będziemy nocowali w tym samym schronisku. Ciekawe, czy jeszcze kiedyś się spotkamy. — Im bliżej celu, tym droga stawała się szersza.

Nigdy chyba nie zmieniałam tylu planów w tak krótkim czasie jak podczas mojego trzeciego w życiu Camino (do trzech razy sztuka?). Mieliśmy się już nie spotkać, a widzieliśmy się codziennie jeszcze przez półtora tygodnia, we dwójkę doszliśmy nawet do Fisterry.

Wyruszałam w tę wędrówkę, myśląc, że chcę samotności (nie takiej całkowitej, bo w końcu podróżowałam z Mamą), wyciszenia, zmęczonych mięśni, potu na czole i zapachu rosy na pustkowiu przed wschodem słońca. Szybko się jednak okazało, że ta droga miała względem mnie większe plany. „Czy marzenie o Camino nie jest też marzeniem o niespodziewanych, niezwykłych i odmieniających życie znajomościach? No właśnie chyba tak.” — zapisałam w moim dzienniku piątego dnia wędrowania, czyli dwa dni przed tym jak się poznaliśmy, ale tego dnia, kiedy zobaczyliśmy się po raz pierwszy. Ktoś mógłby powiedzieć, że to był przypadek, ale ja wolę myśleć o tym jak o niezaplanowanym planie,

który zaczął się spełniać, kiedy w końcu odważyłam się przyznać przed sobą, czego tak naprawdę chcę. Oczywiście, samotność, wycieszenie, zmęczone mięśnie, pot na czole i zapach rosy na pustkowiu przed wschodem słońca też były istotną częścią Camino, ale dzięki tej konkretnej znajomości, droga zyskała jakąś głębię, której nie potrafiłabym doświadczyć, przeżywając ją w pojedynkę.

No więc zaczęło się od wspólnego prania, a skończyło na oglądaniu zachodu słońca na końcu świata.

— Nie było dzisiaj zielonego promienia.

— Może innym razem...

Znaliśmy się dwa tygodnie. Ale w tych dwóch tygodniach zmieściłoby się całe życie.

Podczas takiej podróży inaczej zawiązuje się relacje. Niby mamy mało czasu, żeby się poznać, ale przecież mamy cały poranek, żeby życzyć sobie „buen camino”, myjąc zęby i pakując plecaki, mamy całe przedpołudnie, żeby myśleć o wszystkim podczas samotnego wędrowania, całe popołudnie, żeby porozmawiać ze sobą nawzajem o tym wszystkim podczas prania i jedzenia tortilli, a potem cały wieczór, żeby pośmiać się lub pomilczeć przy lokalnym piwie lub zbyt słabo zaparzonej zielonej herbacie (wspominałam już, że ciepła woda tam to luksus). Na koniec dnia okazuje się więc, że znamy nie tylko kierunki studiów, które skończyliśmy, ulubione filmy i zespoły, ale wiemy też, kto z nas budzi się jako pierwszy, ile czasu potrzebujemy na poranną toaletę, o której porze dnia nadchodzi czas, żeby chwilę pomilczeć, wiemy przy której scenie w filmie o wkraczaniu w dorosłość coś za każdym razem chwyta nas za serca i, że skonstruowanie instrumentów, które grają muzykę gwiazd słyszalną w kosmosie, wcale nie jest takie trudne.

W innych okolicznościach pewnie nigdy byśmy się nie poznali — nie tylko przez fakt, że mieszkamy praktycznie na dwóch krańcach Europy, ale też i przez to, że obracamy się w różnych środowiskach, mamy inne style życia, inne zajęcia. W innych okolicznościach nasze drogi nie miałyby więc prawa się przeciąć, a jednak na Camino się przecięły. To jest kolejna moja ulubiona rzecz w Camino — na tę samą drogę trafiają kompletnie różni ludzie, każdy z nas przychodzi z innej ścieżki, niosąc inny bagaż, ale ostatecznie ścieżki łączą się w jeden szlak i zmierzają we wspólnym kierunku. I okazuje się, że wszyscy jesteśmy do siebie bardzo podobni pod tym pancerzem, który narzuca nam codzienna rzeczywistość w naszych domach porzrzucanych po wszystkich zakątkach świata. Dobrze jest czasem wyjść ze swojego szklanego klosza. A on był pierwszą osobą od dawna, która mnie do tego zachęciła.

Miał w sobie mnóstwo otwartości i takiej zwyczajnej życzliwości względem każdego, z kim rozmawiał. Pamiętam jak drugiego dnia, kiedy zorganizował wyjście na miasto z większą grupą, byłam pod wrażeniem jego umiejętności w zjednywaniu sobie ludzi.

Dzięki temu wyjściu poznałam kilka innych ważnych dla mnie osób. Ciekawa jestem czy te znajomości przetrwają. Ale w sumie czemu miałyby nie przetrwać? Na Camino krok po kroku odkrywałam swoją sprawczość i chyba w końcu zrozumiałam, że na pewne rzeczy mam wpływ. I to jest piękne.

Przez ostatnie miesiące wydarzyło się u mnie sporo niespodziewanych rzeczy, sporo zmian szykuje się dla mnie w najbliższym czasie. Ten rok rzucał mi pod nogi wyzwania od samego początku i pewnie dlatego wiele razy podczas ostatnich ośmiu miesięcy zastanawiałam się, czy te ważne, przełomowe zmiany w życiu da się wyczuć w momencie, w którym się dzieją. Czy można rozpoznać chwilę, która od teraz zmieni wszystko i poczuć ją całą sobą?

Teraz wydaje mi się, że tak. Być może przez to, że jedną nogą wciąż jestem chyba jeszcze w Hiszpanii — nie minął nawet miesiąc, odkąd historia tej przyjaźni się zaczęła, nie wszystkie emocje więc jeszcze opadły, a wspomnienie Camino jest na tyle świeże, że łatwo mi czerpać z tego, co się tam wydarzyło. I może za jakiś czas to minie, a zmiany, które we mnie zaszły, rozmyją się w szarej codzienności. Tylko, że codzienność wcale nie wydaje mi się już szara. I kiedy teraz, mając w pamięci tę przebytą drogę — wszystkie wschody i zachody słońca, rozmowy i wspólne milczenia, ludzi, którzy pokazali mi, że obce wcale nie jest takie straszne jak mi się zawsze wydawało, i mając w pamięci szczególnie jego, którego obecność przypomniła mi czym jest przyjaźń, którą ostatnio tyle razy kwestionowałam — myślę o czekających mnie w najbliższym czasie nowościach, w końcu czuję w sercu pokój.